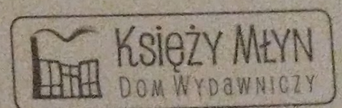
ANDRZEJ LECHOWSKI

SEKRETY BIAŁEGOSTOKU



Księży Młyn
Dom Wydawniczy

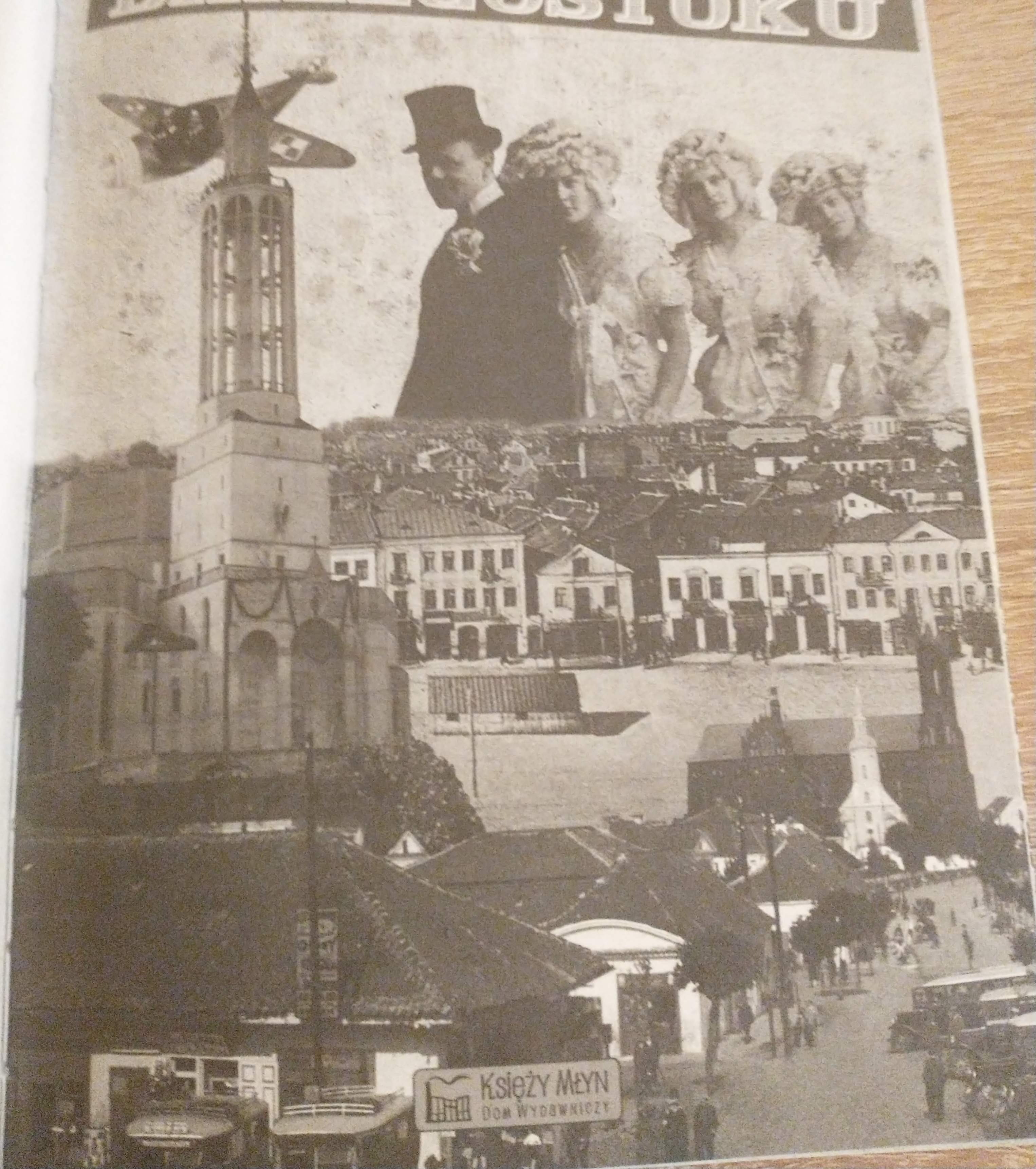


Książki dla ludzi ciekawych

SEKRETY BIAŁEGOSTOKU

ANDRZEJ LECHOWSKI

SEKRETY BIAŁEGOSTOKU



Redakcja:
Aneta Wieczorek

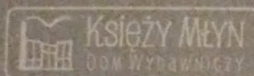
Projekt okładki:
Wojciech Miatkowski

Opracowanie graficzne, skład:
Alicja Pukaczewska

Fotografie ze zbiorów: Muzeum Podlaskiego w Białymstoku, Białostockiego Centrum Onkologii, Automobilklubu Podlaskiego w Białymstoku, kolekcji prywatnych, prasy białostockiej, książek: M. Dolistowska, *W poszukiwaniu tożsamości miasta*, Białystok 2009, *Białystok: Photo album of renowned city and its jews the world over*, New York 1951.

Książki wydawane przez Księży Młyn Dom Wydawniczy mają na celu ukazanie piękna, tradycji oraz historii miast i regionów naszego kraju. Poprzez nasze publikacje pragniemy utrwalać i rozbudzać miłość mieszkańców do swych „małych ojczyzn".

Księży Młyn Dom Wydawniczy – czołowy wydawca książek regionalnych i komunikacyjnych zaprasza do współpracy Autorów mających pomysł na książki związane z miastami, regionami oraz tematami komunikacyjno-transportowymi.
Prosimy także o kontakt osoby posiadające zdjęcia, jak i różnego rodzaju pamiątki nawiązujące do interesujących nas tematów.



Książki dla ludzi ciekawych

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2016

Drogi Czytelniku,
książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.
Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie.
Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.
Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-325-6

KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14
tel./faks: 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02
infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także SMS), gg 414 79 54
www.km.com.pl, e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2016. Wydanie 1

Spis treści



Bal karnawałowy w pałacu Branickich, 1938 r.

Bibi-dżibi i reuniony

Kto chce zdobyć życia szaniec,
I rozkoszy zaznać cuda
Niechaj pozna co to taniec
Jak on kształci mózg i uda.

Jak chcesz zaznać coś miłego,
Ty, co troska wciąż Cię tuczy
Śpiesz więc już do Skrzypkowskiego,
A on tańczyć Cię nauczy.

SZKOŁA TAŃCÓW
(istnieje od roku 1925).
Białystok, M. Piłsudskiego 36.
(róg Częstochowskiej).
Urzędnikom, wojskowym i uczniom
udzielam zniżki.

Reklama szkoły tańców, 1932 r.

Jak anonsował w 1926 roku swoją szkołę tańca maestro W. Skrzypkowski. Do Białegostoku przyjechał w 1925 roku i zaczął uczyć nowoczesnych tańców towarzyskich oficerów 42. Pułku Piechoty. Skrzypkowski wprowadzał ich w tajniki charlestona czy black bottoma. Znakomita opinia o nauczycielu obiegła wnet całe miasto. Chwalono maestra za doświadczenie i europejskie maniery. Mówiono, że „ma inteligencję i w nogach i w głowie". Podkreślano, że ci, którzy nauczyli się u niego tańczyć, mieli tę gwarancję, że właśnie tak tańczy się w Europie. Ciesząc się takimi rekomendacjami, założył Skrzypkowski w 1926 roku szkołę tańca. Mieściła się w tak zwanych dolnych salonach hotelu Ritz. Samo miejsce gwarantowało już szyk i udział wyśmienitego towarzystwa. Zajęcia prowadzone były w godzinach poobiednich. Zaczynały się o 16.00 i trwały do 20.00.

Za Skrzypkowskim poszli następni. Miasto ogarnął szał nauki tańca. Ci, którym nie starczyło gotówki bądź miejsca na parkietach Ritza, mogli się uczyć tanecznych pas u I. Majsa przy ulicy Sienkiewicza 42. Tu gwarantowano, że można nauczyć się pląsać „w najkrótszym czasie bez względu na zdolności". Tak samo zachwalał swoje metody J. Ulicki, którego szkoła mieściła się w kamienicy przy ulicy Lipowej 36. W 1935 roku Majs jako pierwszy zaczął lansować w Białymstoku „światowy przebój, atrakcję salonów zagranicznych, najnowszy taniec murzyński – cariocę". W tymże samym 1935 roku otwarta została kolejna białostocka szkoła tańców. Jej założycielem i głównym nauczycielem był M. Mazur. Szkoła mieściła się w „luksusowo urządzonym lokalu" w pasażu Warnholtza, zwanym też domem ze szklanym dachem, przy ulicy Lipowej 6. Kursantom przygrywała „pierwszorzędna orkiestra jazzowa z Poznania". Zmęczeni tancerze mogli odsapnąć w bufecie, w którym serwowano napoje chłodzące, owoce i słodycze. Szkoła zyskała wielką popularność. Lekcje tańców odbywały się w niej

codziennie od 10.00 rano do 23.00 wieczorem. W środy, piątki, soboty i niedziele od 8.00 rano aż do północy prowadzone były zajęcia z gimnastyki. Z nimi związana jest anegdota, która obiegła miasto w styczniu 1931 roku. Jej bohaterem był, jak go określono, „handlowiec z ulicy Sienkiewicza, Szymon K." Zamykając swój sklep w styczniowy wieczór, zauważył wetkniętą za żaluzję karteczkę, na której koślawymi literami wypisano: „Kochany Panie Szymonie! Z przykrością i bólem w sercu komunikuje Pana, że pańska żona Frima chodzi wieczorami w sekrecie na lekcje tańcuw [sic] i fika różnych pa w krutkie spudniczki [sic] – sportówki co poczuwam się w obowiązku donosić z poważaniem. Życzliwa Dusza". Niewinna z pozoru sprawa zakończyła się ponoć rozwodem.

Gorszą opinią niż wspomniane szkoły cieszyły się kursy taneczne prowadzone przez Klajmersa w jednej z kamienic przy ulicy Polnej (obecnie Waryńskiego). Uczęszczało na nie niezbyt wykwintne towarzystwo, które niejednokrotnie wszczynało awantury. Niewiele lepiej działo się nieopodal przy ulicy Lipowej u Sokołowskiego. W rolę nauczyciela tańca postanowił wcielić się nauczyciel muzyki. Złośliwi twierdzili, że „nawet laik zrozumie, że muzyka z tańcami ma tyle wspólnego, że do tańca przygrywa się". Drwiono, że Sokołowski uczy tańczyć jakieś podejrzane typki, bowiem sam ogłaszał, że tylko we wtorki tańczy u niego „towarzystwo doborowe". Więc w pozostałe dni tygodnia można było spotkać się z mniej wykwintnymi manierami. Dostało się w tej krytyce i Morynowi z ulicy Sienkiewicza. Tam z kolei najsłabszą stroną kursów była mała, ciasna sala. Wobec tego „pary tańczące dokonując ruchu wirowego napotykają się na inne pary, wskutek czego powstaje tarcie, które jest zupełnie w ruchu niepożądane". Ciasnota sali była tym bardziej dokuczliwa, że „nowoczesne prądy choreograficzne wymagają od dansera ruchliwości w najwyższym stopniu". Nic więc dziwnego, że do Moryna zapisywali się „danserzy", których „ruchliwość" nie była największą zaletą. Plotkarski Białystok z uciechą opowiadał, jak to u maestra podrygiwały w rytm charlestona paniusie o odpowiedniej tuszy, a ich zziajani partnerzy ledwo taszczyli swoje wydatne brzuchy. Towarzystwo to, w opinii obserwatorów, „było wiecznie nachmurzone i naciągnięte".

Aby zadbać o poziom miejscowych szkół, postulowano powołanie specjalnej komisji weryfikacyjnej. Pojawiły się opinie, że brak kontroli przez magistrat i starostwo doprowadził do rozkwitu „pokątnych dancingów i tancbud". Zastanawiano się też, co by się stało, gdyby „poddano egzaminom p. Klajmersa i Sokołowskiego i innych domorosłych baletmistrzów i drygmistrzów". Pytano wprost, „jaką akademię choreograficzną oni ukończyli? U jakiego źródła zaczerpnęli wiedzy tanecznej? Skąd nabrali się wiedzy z dziedziny choreografii, plastyki, estetyki, shimmy, charlestonu, bluesów i innych modnych skoków i podrygów?".

Przy okazji nie zostawiono suchej nitki na owych podrygach. Najwięcej kontrowersji budził charleston, który od 1926 roku królował na parkietach. Białostoczanie starszej daty z oburzeniem twierdzili, że jest to „pląs odpoczywającego mordercy". Zaś miejscowi stróże moralności grzmieli, że jest „coś wstrętnego, coś zuchwałego, coś bezczelnego w tych dzikich podrygach,



Rozkosz – ulubione miejsce dancingów, 1910 r.

w tych bezwstydnych splotach nóg, w tym niedwuznacznym rytmie". Co najbardziej zajadli przeciwnicy nowoczesności twierdzili wprost, że to nie taniec, ale „akt miłosny w pozycji pionowej". Stateczne matrony, obserwując szalejących w rytm charlestona, mawiały, że za ich czasów to „takie tańce tańczono pod kołdrą!". Nie mniejsze obiekcje budziły szlagiery karnawału z 1928 roku. Na pierwszy plan wysuwał się bananas-slide. Była to odmiana fokstrota. Gdyby tę nazwę przetłumaczyć jako lisi kłus, to z dodatkiem bananów składał się „z kroków ślizgowych i małych skoków. Miał on obrazować ślizganie się po rzuconych skórkach bananów". Dla miłośników mocniejszych wrażeń było bibi-dżibi. Ten taniec był „najniebezpieczniejszym konkurentem charlestona, do którego jest podobny w ogólnej strukturze, ale odznacza się większą jeszcze dzikością". Ostatnim tańcem tamtego sezonu był budapeszt. W opinii znawców tematu było to połączenie czardasza z bluesem. Co się musiało dziać, gdy partnerka zachowała jeszcze taneczny wigor i przytupywała w rytm madziarskiej nuty, a partnerowi po wizytach w obfitym i tanim bufecie już tylko w głowie i nogach pozostawał blues? W 1938 roku na parkietach Białegostoku królował żywiołowy lambeth-walk czy modny w 1939 roku „nader ekscentryczny" swingalero.

Ta dzikość i ekscentryczność oburzały stateczny Białystok. W rezultacie w 1938 roku białostockie „nauczycielstwo szkół średnich i zawodowych" wystąpiło do władz miejskich z apelem, aby zabroniono młodzieży szkolnej uczęszczania do szkół tańca. Twierdzono, że są to



Reklama salonu obuwniczego Bata, 1935 r.

jaskinie rozpusty i deprawacji. W zamian proponowano, aby rozpocząć prace nad „projektem nauczania tańców w szkole pod nadzorem nauczycielstwa". Inicjatorzy apelu dostrzegali w tańcu, oczywiście nie w niemoralnych wygibasach, lecz w walczykach, poleczkach itp., istotne aspekty wychowawcze. Uważali, że to świetny sposób na naukę przyzwoitego zachowania się w towarzystwie, a też i na podniesienie sprawności fizycznej. Ale była to inicjatywa z góry skazana na niepowodzenie.

Taniec był wszędzie. Gdy w 1935 roku przy Rynku Kościuszki 8 otwarto salon obuwniczy renomowanej firmy Bata, reklama zapraszająca do działającego w sklepie punktu pedicure brzmiała: „Chcesz tańczyć?! Pozbądź się odcisków". W mieście zapanowała moda na „reuniony". Odbywały się one w mieszkaniach, z których wynoszono wszystkie meble. Co bardziej zapobiegliwi gospodarze przygotowywali do tańców podłogę. Ponoć najlepsze rezultaty osiągało się poprzez nałożenie na deski grubej warstwy pasty „Jaśniej Słońca". Dla podniesienia efektu posypywało się ją jeszcze proszkiem stearynowym. Tak przygotowany parkiet dawał tancerzom możliwość popisywania się piruetami, nagłymi zwrotami, a przy bananas-slide był wręcz wymarzony.

– No i jeszcze cała otoczka towarzyska. Niech jej ilustracją będzie anegdotka, którą z rozbawieniem opowiadano sobie w 1933 roku. Oto na „reunionie" zorganizowanym przez „funkcjo-

nariuszy jednego z białostockich urzędów" jeden z urzędników tańczył z pewną nieznajomą. Wypadało w takiej sytuacji zabawić damę stosowną konwersacją. Zaczął więc od niechcenia:

– Niech pani spojrzy na tego starego bałwana, tańczącego z tą tęgą blondyną. To nasz dyrektor. Jeszcze nie widziałem większego idioty jak on!

– A czy pan wie, kto ja jestem? – zapytała partnerka.

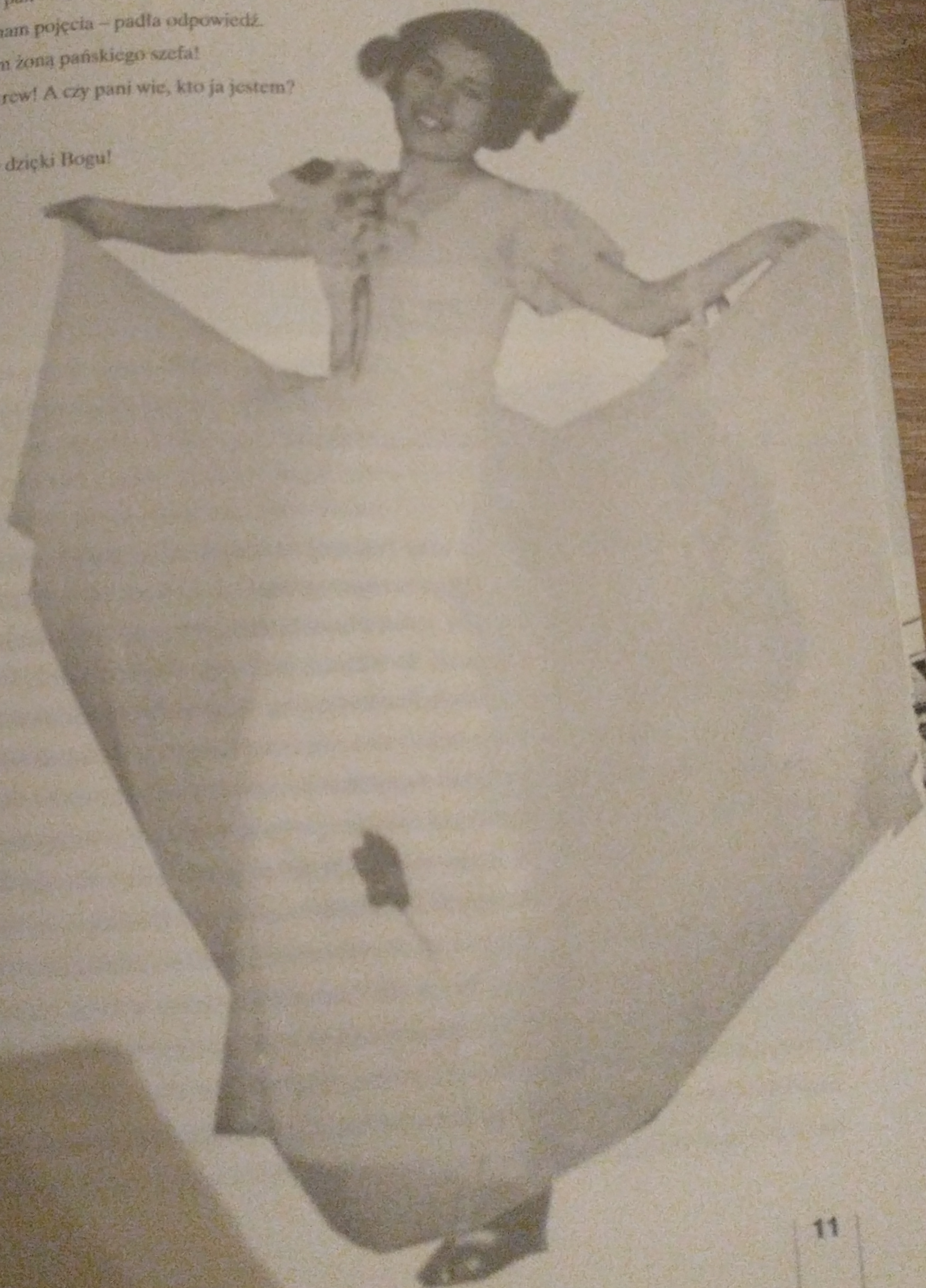
– Nie mam pojęcia – padła odpowiedź.

– Jestem żoną pańskiego szefa!

– Psia krew! A czy pani wie, kto ja jestem?

– Nie...

– No to dzięki Bogu!





Resursa Obywatelska, w której w 1921 r. odbyła się pierwsza wystawa prac Alfonsa Karnego

Na tropie złodziei

Próżno dziś szukać przy ulicy Poleskiej 34 drewnianego, parterowego domu otoczonego dużym, wypielęgnowanym ogrodem, w którym 10 listopada 1901 roku urodził się Alfons Karny, jeden z najwybitniejszych polskich artystów XX wieku. Jest za to szkoła, do której uczęszczał. To budynek przy ulicy Waryńskiego 8, w którym mieściła się Czteroklasowa Miejska Szkoła Powszechna im. Aleksandra Puszkina w Białymstoku.

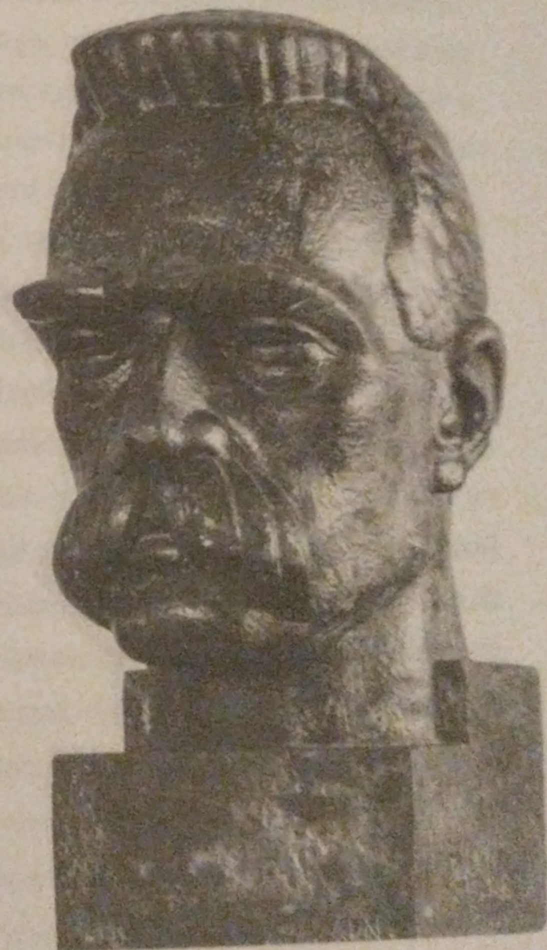
Wiadomo, że pierwszą edukację artystyczną rozpoczął Karny też w Białymstoku. Uczestniczył w kursach rysunkowych. Po latach wspominał dwóch swoich nauczycieli – Rafałowskiego i Kryckiego. Niestety poza nazwiskami nic więcej o tych mistrzach późniejszego artysty nie wiemy. W międzyczasie poznał Karny swojego protektora Mariana Dederkę, który wkrótce miał się stać jednym z najciekawszych fotografików polskich. Dederkowie, mający zapisaną piękną kartę działaczy patriotycznych, w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości odgrywali ważną rolę wśród miejscowych elit. Janina Dederkowa w 1918 roku organizowała Koło Polek, opiekujące się polskimi żołnierzami. Marian Dederko zaangażowany był w tworzenie polskiej administracji wojskowej i cywilnej na przełomie 1918 i 1919 roku. W 1919 roku został dyrektorem nowo powstałego Towarzystwa „Teatr Polski w Białymstoku". Z pewnością Karnego i jego zbliżyły artystyczne upodobania.

Dzięki protektorowi Karny został zatrudniony w Klubie Obywatelskim, w którym w 1921 roku po raz pierwszy publicznie pokazał swoje rysunki. Po wyjeździe Dederków z Białegostoku do Warszawy podjął pracę w I Komisariacie Policji Państwowej. Ten nietypowy dla artystycznej duszy epizod zapisał się w białostockich annałach taką oto historią. Była sobota, 2 grudnia 1921 roku. Na białostocki dworzec wtoczył się pociąg z Warszawy. Przybył nim między innymi Franciszek Mierzykowski. Niespiesznym krokiem przemierzył peron, przeszedł przez dworcową poczekalnię i skierował się na ulicę Kolejową do pobliskiego hotelu „Krakowskiego”. Hotel ów, mimo szacownego szyldu, ani nie cieszył się renomą, ani nie oferował gościom wyszukanych luksusów. Ale samotnemu Mierzykowskiemu to nie przeszkadzało. Zameldował się w recepcji i na kilka najbliższych dni wynajął pokój numer 3. Zagadnięty o cel przybycia do Białegostoku odparł z dziwnym akcentem, że chce rozejrzeć się po mieście. Bąknął coś o tym, że dawno nie był w Polsce i szuka dla siebie nowego miejsca. W hotelu przybycie gościa, który płacił za kilka dni z góry, wywołało sensację. Natychmiast przy przybyszu zjawił się numerowy Sidorowski, którego wprawne oko „poznało w przybyłym Amerykanina”. Licząc na hojny napiwek, ulokował gościa w pokoju.

Gdy nastał wieczór, numerowy, nie chcąc przepuścić nadarzającej się okazji, postanowił kompleksowo zadbać o swego Amerykanina. Szybko wyczuł jego gusty i potrzeby, przeto „sprowadził mu kobietę” i urządził sutą libację, do której sam się też włączył. Naprędce zaimprowizowana bibka przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Wreszcie Mierzykowski, zmęczony wrażeniami, których dostarczyła nadobna białostoczanka, i trunkami serwowanymi przez Sidorowskiego, zapadł



Alfons Karny, 1921 r.



Popiersie Józefa Piłsudskiego, które Alfons Karny pokazał w Białymstoku w 1928 r.

w kamienny sen. Rano z trudem przypomniał sobie, co też działo się w pokoiku numer 3. Przezwyciężając ogólną niemoc, namacał w kieszeni surduta portfel. Wydobył go i z przerażeniem stwierdził, że jest pusty. Zniknęło z niego całe 160 amerykańskich dolarów. To otrzeźwiło Mierzykowskiego w okamgnieniu. Zerwał się, wypadł z hotelu i pognał na Lipową 47 do miejskiego komisariatu policji.

Z impetem wkroczył do dyżurki i w niej spotkał niewysokiego, ale dobrze zbudowanego bruneta. Jego figlarne, czarne oczy dziwnie nie pasowały do powagi policyjnego munduru. Policjantem tym był starszy przodownik policji państwowej, Alfons Karny. Przyszły rzeźbiarz wysłuchał wzburzonego Amerykanina. Następnie wraz z innym starszym przodownikiem, Górniakiem, i pomocnikiem posterunkowego, Czosynką, udał się do hotelu. Przybywszy na miejsce, Karny rozpoczął śledztwo. Przyznajemy, że nie było ono ani specjalnie zagmatwane, ani też nie roiło się w nim od trudnych do wyjaśnienia poszlak. Niemniej to właśnie na barkach Karnego spoczęła odpowiedzialność za uratowanie honoru Białegostoku. Cóż bowiem mógł pomyśleć o naszym mieście Amerykanin, to Karny wiedział doskonale. Śledztwo natychmiast skoncentrowało się na Sidorowskim. Numerowy, wzięty w krzyżowy ogień pytań, przyznał się do wszystkiego. Można więc było zanotować, że przybyli na miejsce policjanci „sprawcę wykryli i pieniądze w całości odebrali, zwracając je właścicielowi". Uradowany Mierzykowski dziękował Karnemu i jego kolegom. Podał do publicznej wiadomości informację o ich kunszcie śledczym i „energicznej działalności w celu odnalezienia skradzionych dolarów". Sidorowski wylądował w areszcie.

Karierę policjanta zakończył Karny w 1923 roku, gdy postanowił przenieść się do Warszawy, aby rozpocząć studia plastyczne. Zaczął w pracowni grafiki u Władysława Skoczylasa, ale wkrótce przeniósł się do pracowni rzeźby Tadeusza Breyera. Szybko zdobył opinię jednego z najlepszych polskich rzeźbiarzy. Białostoczanie mogli sami się o tym przekonać. W kamienicy przy Rynku Kościuszki pod numerem 7 mieściła się popularna księgarnia Świętego Kazimierza, której właścicielem był Albin Brzostowski. 6 sierpnia 1928 roku z okazji zbliżającej się rocznicy Cudu nad Wisłą w jej witrynie wystawiono monumentalne popiersie Marszałka Józefa Piłsudskiego dłuta Alfonsa Karnego. Przypominano przy tym, że artysta „obywatel m. Białegostoku pochodzi z niezamożnej mieszczańskiej rodziny posiadającej niedużą nieruchomość przy ul. Poleskiej" i że na wystawie prac absolwentów warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych w 1928 roku wystawił „biust Marszałka Piłsudskiego" i zdobył pierwszą nagrodę. Publiczność zachwyciła się tym, że „dotąd nikt z rzeźbiarzy nie zdołał tak dokładnie zbudować portretu Marszałka". Podkreślano, że Karnemu udało się „uwypuklić charakterystyczne linie oblicza Marszałka". Zgodnie przyznawano, że „jest nadzieja, że młody i rwący się do pracy artysta szybko wypłynie i zasłynie jako nowa chluba Polski na polu tężyzny ducha". Jakoś nikt nie przypominał sobie śledztwa, które przodownik policji Karny prowadził w sprawie kradzieży dolarów w hotelu.

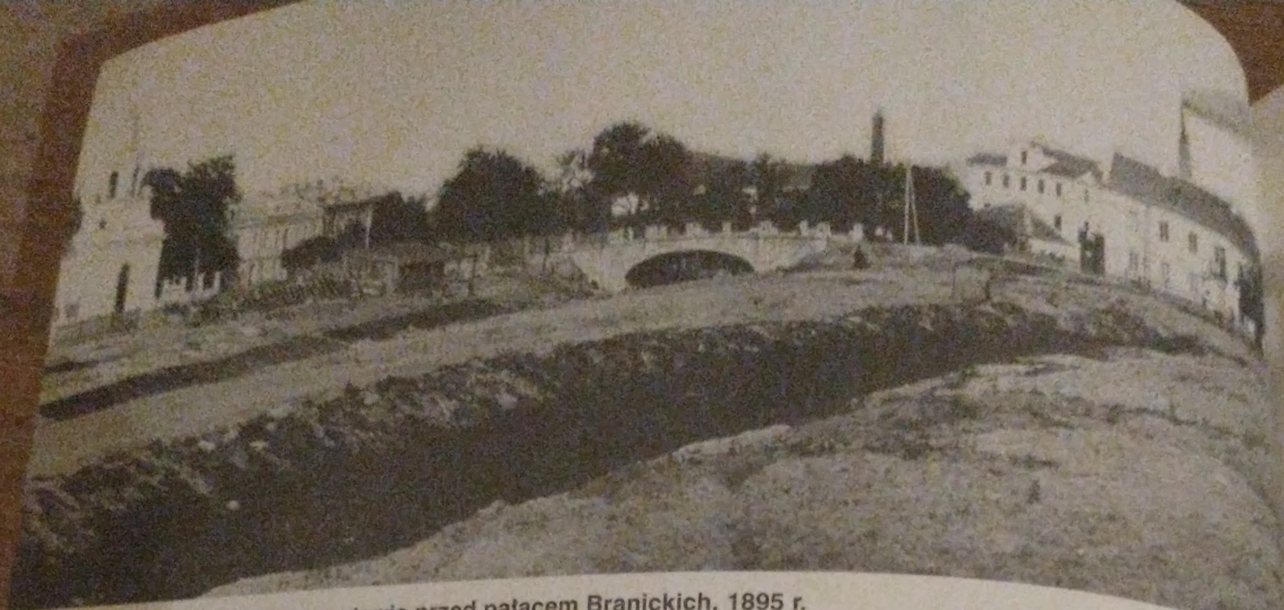


Wysychający wielki staw przed pałacem Branickich, około 1890 r.

Z historii Białej

Statystyczny białostoczanin może nawet kilka razy dziennie przekracza płynącą przez Białystok rzekę, zwaną pospolicie Białką, choć w urzędzie zapisana została jako Biała. Kto by tam sobie głowę zawracał jej historią. Ot, płynie i tyle, taka jej natura. Ale tak naprawdę to Białka jest tutejszą racją stanu. To, że mamy Białystok, wyłącznie jej zawdzięczamy!

Trudno o większy banał niż klasyczny wywód zaczynający się od słów, że „już w starożytności...". Ale w tym przypadku trudno zacząć inaczej. Około 400 roku naszej ery po okolicach dzisiejszego Białegostoku wędrowała sobie grupa ludzi. Musiało im się tu spodobać. Gęste, piękne lasy obfitowały w zwierzynę. Ponadto od czerwca po październik pełno w nich było zdatnych do jedzenia owoców, orzechów i grzybów. Nasłonecznione stoki łagodnych wzgórz porastała trawa, z której nasion udawało się upiec całkiem niezłe placki. W strumieniach było zatrzęsienie ryb. Starszyzna podjęła więc szybką i prostą decyzję: zostajemy. Znaleziono bezpieczne miejsce na rozbicie obozowiska. Od wschodu, południa i północy wiła się niewielka rzeczka. Trudno ją było pokonać, bo brzeg od przeciwnej strony miała podmokły i bagnisty. Od zachodu zaś w kierunku tegoż bagienka schodził łagodny, piaszczysty stok.



Osuszanie terenu po stawie przed pałacem Branickich, 1895 r.

Z budulcem na chaty nie było najmniejszego kłopotu. Drewniany zrąb przykryto gałęziami, te zaś utkano mchem, igliwiem, trawą i ziemią. Wewnątrz izby ułożono kamienne palenisko i już można było mieszkać. W lecie to był raj. Dzieciaki pluskały się w rzeczce. Mężczyźni zbierali i polowali, a kobiety pichciły zdrowe, „regionalne" potrawy. To sielskie życie toczyło się oczywiście nad Białką i to w dodatku w miejscu, gdzie dziś znajduje się dziedziniec wstępny pałacu Branickich. Po tej „starożytności" czas na legendę, której historycy nie lubią, bo jest przecież wyssana z palca. Białemustokowi legendę stworzył nie byle kto, bo sam wielki książę litewski Gedymin, który na początku XIV wieku miał w miejscu dzisiejszego miasta odpocząć po zakończonych łowach. Widząc okoliczne strumyki i rzeczkę, zwrócił się do swojej drużyny, że oto widzi „czysty, biały stok", co miało znaczyć tyle, że spodobały mu się krystaliczne wody Białki.

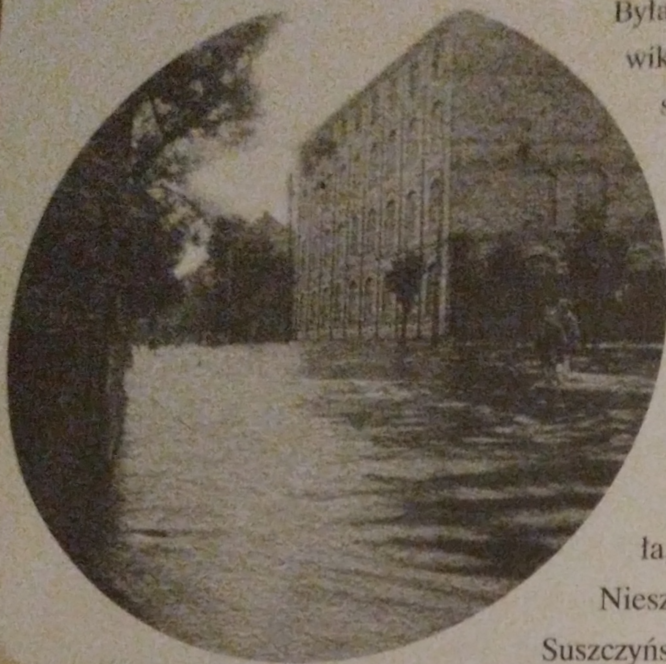
Następne „wejście" miała Białka w 1510 roku. Wówczas to pierwszy raz zapisano nazwę Białystok, ale właśnie w odniesieniu do rzeczki, bo miasta przecież jeszcze nie było. I nikomu się nawet nie śniło, że za 250 lat do Białegostoku ciągnąć będą wielmoże z całej Europy, zwabieni tu wieściami o wspaniałościach rezydencji Branickich. Jedną z atrakcji była właśnie Białka! Jej znaczenie w całej kompozycji hetmańskiej rezydencji zaczynało się od mostu na ulicy Świętojańskiej. W tym miejscu zaczynał się wielki staw, który powstał ze spiętrzonej białkowej wody. Ciągnął się on aż do ulicy Pałacowej, zwanej wówczas Zamkową. I właśnie ten staw stanowił niezwykłą uciechę dla pałacowych gości. Pływano po nim łodziami, zwanymi batami. Zalety białkowej wody docenić mogli też miłośnicy piwa. W browarach Jaśnie Wielmożnego Hetmana na białczance warzono chmiel i słód.

Ale to wszystko były swawole i igraszki. Do prawdziwej roboty wzięła się Białka w XIX wieku. Iluż marzycieli zawdzięczało jej swoje fortuny. Chodzili, kombinowali, jakby tu taki

malutki kociołek parowy postawić, a dalej pasem transmisyjnym uruchomić kilka tkackich krosien i zacząć budować przemysłowe imperia. Pierwszą maszynę parową zainstalowano w Białymstoku dopiero około 1840 roku. Wcześniej wodę z Białki używano do prania przędzy, jej farbowania i do apretury, czyli utrwalenia koloru i splotu tkaniny.

Pierwszym białostockim włókiennikiem białkowiczem był Józef Szlegel, który od 1814 roku produkował sukno i flanelę. Gdy w 1831 roku Rosjanie wprowadzili czternastokrotną podwyżkę ceł na towary wwożone do Rosji, to o Białce zrobiło się głośno w Europie. Jak tu dalej funkcjonować, żeby się utrzymać? To pytanie powtarzano sobie w Łodzi, Zgierzu, Saksonii. Co aktywniejsi pakowali całe fabryki, zabierali personel i udawali się w podróż w nieznane. Tak przybyli do Białegostoku Johan Dantin, Karol Betcher, Moltz, Frohn, a za nimi August Commichau, Adolf Braunek, Fryderyk Voss. Ciekawe, czy na Białkę mówili Weissfluss, a może pieszczotliwie Weisschenfluss? Bo to przecież ona stała się ich żywicielką. W tym pionierskim okresie białostockiego przemysłu pojawiła się w naszym mieście pierwsza dama lokalnego biznesu – Małka Błoch, żona zamożnego kupca Sondera Błocha. Jej fabryka, ulokowana nad Białką w okolicach dzisiejszej ulicy Augustowskiej i Konopnickiej, około 1860 roku była największą tkalnią sukna w mieście. Przy napędzanych parową maszyną 60 warsztatach uwijało się 150 robotników. Następny za nią, Herman Commichau, zatrudniał zaledwie 90 ludzi. Kolejni przedsiębiorcy też lokowali swoje fabryki nad Białką. Adolf Welter miał apreturę przy ulicy Mickiewicza, a Chaja Zilberfenig przy ulicy Włókienniczej. Owsiej Halpern produkował watę przy ulicy Orzeszkowej, a Górnostański na tyłach ulicy Kilińskiego wytwarzał wełnianą i puchową watę. Mosze Niewierzski przy ulicy Orzeszkowej miał parową fabrykę higroskopijnej waty i watoliny. Białostoccy królowie kołder Abram i Lazar Abramowscy wraz z Elkonem Jossemem mieli swoje zakłady przy ulicy Włókienniczej, a Lejba Hendler, K. Lipszyc i A. Litwin przy ulicy Jurowieckiej.

Biała zalała białostockie ulice, 1922 r.



Zalana przez Białą
ul. E. Orzeszkowej, 1922 r.

Była też Białka miejscem dramatycznych prób rozwikłania życiowych problemów. Jedna z pierwszych, opisanych w miejscowej prasie, wydarzyła się 11 lutego 1913 roku. Oto późnym wieczorem przez most na ulicy Pałacowej przechodził niejaki Suszczyński. Kierował się do swego domu, na Bojary. Wtem ujrzał biegnącą za nim dziewczynę, która wspięła się na słupek balustrady i skoczyła. Suszczyński zdołał złapać ją jeszcze za nogę. Lecz wisząca głową w dół panna swoje ważyła, przeto nasz ratownik nie zdołał jej utrzymać. Nieszczęsna chlupnęła do Białki. Słysząc krzyki Suszczyńskiego, z okolicznych domów wybiegli ludzie. Wszyscy razem pomogli samobójczyni wygramolić się z błota i cuchnącej nieczystościami wody. Stan desperatki – jak zanotowano – „był niepewny". Odprowadzona na pobliską stancję nieszczęsna panna powiedziała, że sprawcą jej desperacji był niejaki Malinowski, który udając zakochanego, wyłudził od niej wszystkie pieniądze, które otrzymała od swych rodziców zamieszkałych w Wołkowysku. Gdy gotówka się rozeszła, wówczas Malinowski przeszedł do czynów. Bił nieszczęsną dziewczynę, doprowadzając ją do rozpaczy.

W następnych latach po mieście krążyły różne opowieści, a to o kolejnych desperatach, a to o dorożkarzu, który wraz z koniem, no i oczywiście z dorożką, spadł z mostu. Ale najwięcej opowieści, które ze względu na swoje nieprawdopodobieństwo przeszły niemalże do legendy o mieście, wywołała spowodowana przez Białkę powódź. Wszystko zaczęło się 26 i 27 lipca 1922 roku, gdy nad Białymstokiem przeszły długotrwałe ulewy. W ich wyniku rzeka wylała. W „Dzienniku Białostockim" pisano: „Żywiołowa katastrofalna powódź w Białymstoku. Wylew rzeki Białej. Cała dzielnica nadrzeczna pod wodą. Elektrownia zagrożona. Fabryki zatopione. Milionowe straty". Zalane zostały ulice: Nadrzeczna (w tym miejscu przebiega dziś aleja Piłsudskiego), Sienkiewicza, Kupiecka (obecnie Malmeda), Branickiego i Zamenhofa. Woda zalała hotel Ritz i teatr Palace. Szczęśliwie dzięki akcji strażaków z Białostockiej Ochotniczej Straży Ogniowej obyło się bez ofiar.

W kolejnych dziesięcioleciach Białka spowszedniała. Próbowali zwrócić na nią uwagę białostoccy studenci, którzy podczas jednych z juwenaliów w latach 70. XX wieku postanowili wzorem swoich londyńskich kolegów rozegrać na niej regaty pomiędzy uczelnianymi osadami. Ostatnio na rzekę zwrócono uwagę za sprawą „śmiałków", którzy urządzili w jej leniwych nurtach spływ kajakowy. Ale to już były tylko wesołe zabawy z poczciwą Białką.

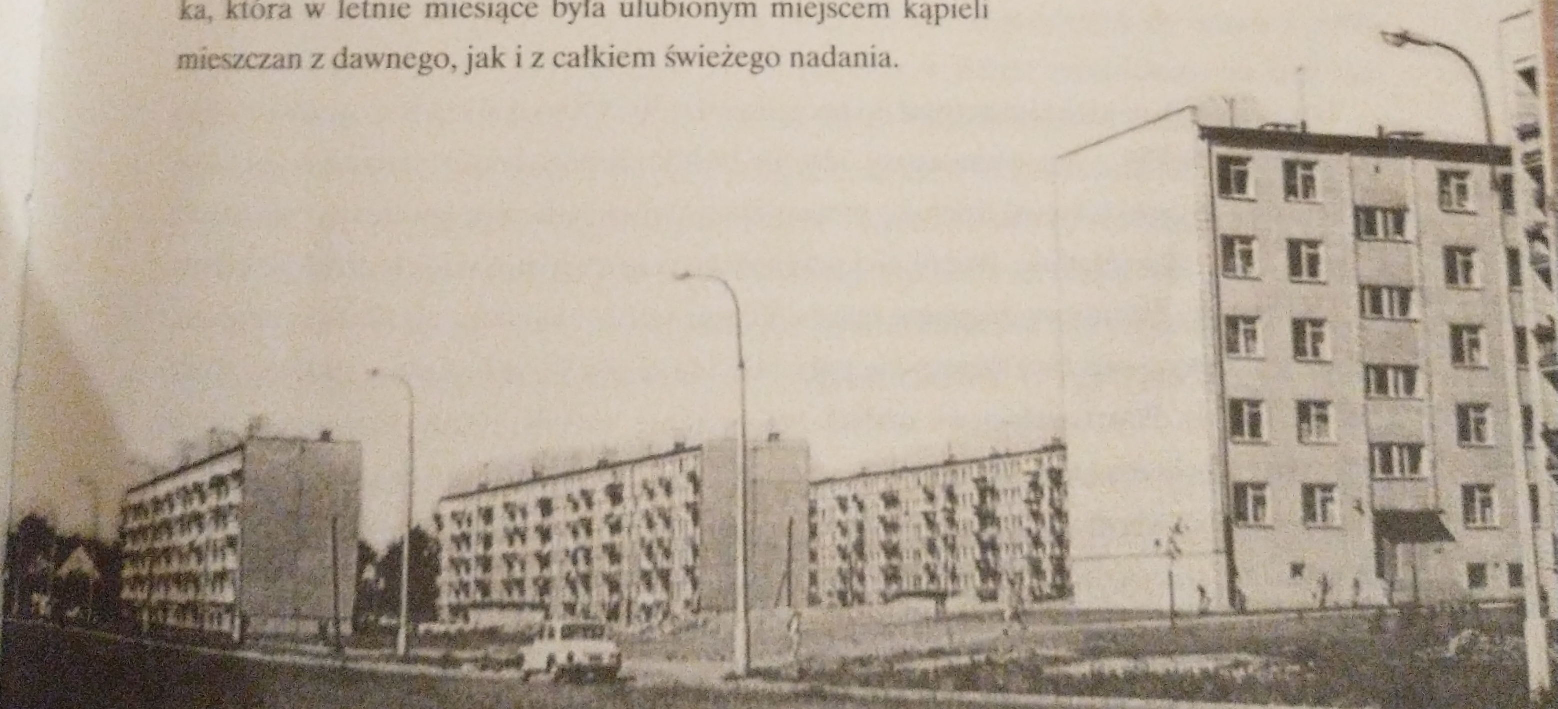
Mieszko I kontra towarzysz sekretarz

Patrząc dziś na osiedle Piasta, nikt by nie powiedział, że niecałe 100 lat temu znajdowała się tu wieś Skorupy. Włączona w 1919 roku do Białegostoku, powoli traciła swój wiejski charakter, aż w końcu całkowicie zniknęła. Ale zacznijmy od początku.

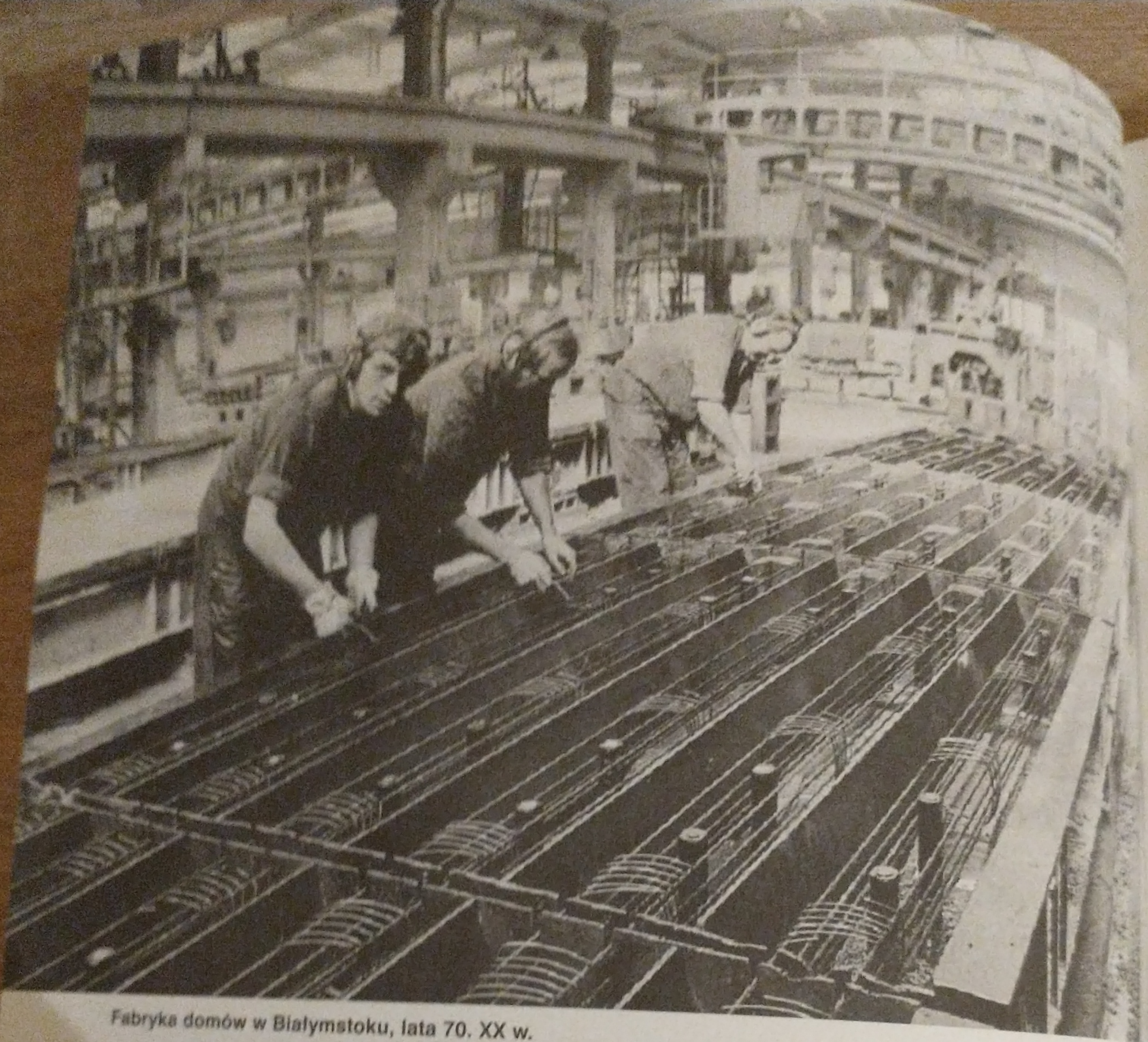


Jan Stąpor, 1972 r.

Przez Skorupy biegła szosa, której po włączeniu wsi do miasta nadano nazwę Nowowarszawska, jako że stanowiła przedłużenie ulicy Warszawskiej. Wzdłuż niej zaczęto wznosić zabudowania, które wkrótce stworzyły typowy białostocki krajobraz z parterowymi domami okolonymi ogrodami. I właściwie tylko ta ulica zaświadczała, że Skorupy to już miasto, bo starzy mieszkańcy nowej dzielnicy żyli sobie jak dawniej. Od sąsiedniej wsi Pieczurki, też awansowanej do rangi miejskiej dzielnicy, dzielił je sosnowy las, zaś od Białegostoku uprawne pola, rozciągające się aż do ulicy Skorupskiej na Bojarach. Okolicznych mieszkańców łączyła płynąca przez te pola niewielka rzeczka, Dolistówka, która w letnie miesiące była ulubionym miejscem kąpieli mieszczan z dawnego, jak i z całkiem świeżego nadania.



Nowe bloki na osiedlu Piasta, około 1975 r.



Fabryka domów w Białymstoku, lata 70. XX w.

Ten ni miejski, ni wiejski stan trwał do początków lat 50. XX wieku, kiedy to wzdłuż dawnej szosy baranowickiej – przemianowanej, aby nie budzić niepożądanych skojarzeń, na szosę wschodnią – zaczęto lokować dzielnicę przemysłową. Jej sztandarową inwestycją była wzniesiona w 1952 roku chłodnia. Wokół niej powstawały magazyny rozmaitych przedsiębiorstw, tworząc brzydki, chaotyczny fragment miasta. Dawny sielski charakter tej okolicy przypominał już tylko pieczurski las i skorupskie pola. Ale i to miało się już wkrótce zmienić. Białystok rozwijał się. Powstawały nowe zakłady przemysłowe, urzędy, szkoły. Prognozowano, że w związku z tym liczba ludności osiągać będzie 100, 200, 250 tys. Tymczasem sytuacja mieszkaniowa w mieście była dramatyczna. Pomimo odbudowy centrum miasta liczba nowych mieszkań wciąż nie zaspokajała potrzeb. Do tego przeważały domy drewniane, parterowe, często pozbawione podstawowych instalacji. Potrzeba nowych, szeroko zakrojonych inwestycji w budownictwie była wyraźna.

22 października 1968 roku odbyło się w Białymstoku posiedzenie Rady Oddziałowej Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego. A to, jak to posiedzenie, nie załatwiało. Zebrani z powagą omawiali „zadania budownictwa mieszkaniowego w województwie w świetle tez na V Zjazd partii". Ale był też i konkret. Jak informowała „Gazeta Białostocka", „na zakończenie odbyło się uroczyste założenie kamieni węgielnych pod osiedle Międzyzakładowej Spółdzielni Mieszkaniowej Zachęta w nowo budowanej dzielnicy Piasta". Osiedle to jako główny swój obszar zajęło właśnie skorupskie pola. Ale nie poprzestano na tym. Zaczęto jednocześnie wyburzać część historycznych Bojar. Pod buldożerami znikały całe ulice – Majowa, Okopowa, Grzybowa, Czarnieckiego, Graniczna, Spacerowa. Wyburzono znaczną część Skorupskiej, Monopolowej (obecnie św. Wojciecha), Piasta, Wiktorii. Nikt nie przywiązywał wtedy większej wagi do tych uznawanych dziś za cenne fragmentów miasta. Nikomu nie w głowie były słowa Marii Dąbrowskiej, która w 1924 roku pisała:

> ileż to razy przenosiliśmy i rozpowszechniali wiadomości o angielskich przedmieściach ogrodowych, obojętnie mijając, nie widząc wcale takich samych piękności u nas. [...] Takie są właśnie Bojary. Kręte, półkoliste uliczki tej dzielnicy mają w swych zarysach nie wyrozumowany, a głęboko uzasadniony sens. Wszystkie ulice są w maluśkich szarych opłotkach, wszystkie pod cieniem poważnych drzew.

W 1968 roku część tego zjawiska zaczęła znikać. Osiedle Piasta zaplanowano z rozmachem. Jego projektantami byli architekci – Janusz Kretowicz, Aleksander Kirow i Gabriel Konopka. Co ciekawe, ten ostatni kilka lat później został wojewódzkim konserwatorem zabytków.

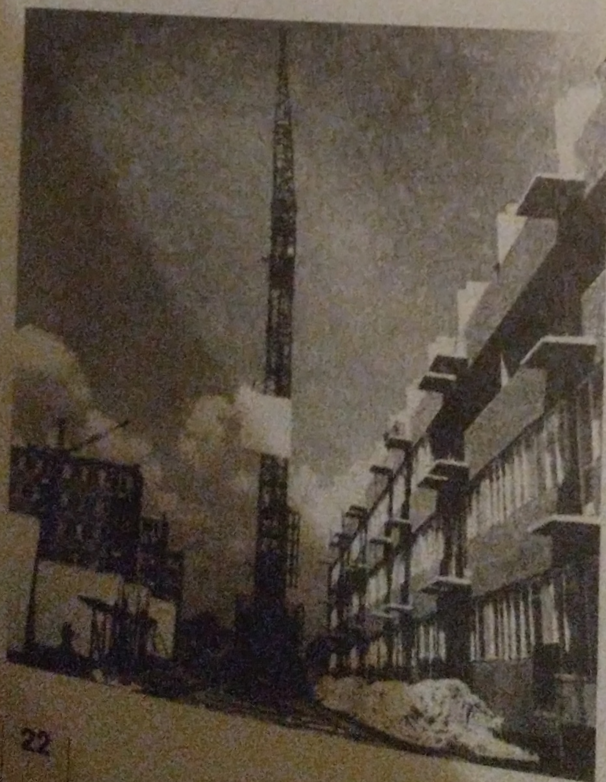
Zaczynało się tak zwane białostockie przyspieszenie. Na miejscu pól i wyburzanych Bojar miało zamieszkać 40 tys. białostoczan, najczęściej dopiero co przybyłych do miasta z pobliskich wsi. Aby sprostać temu zadaniu po raz pierwszy w Polsce zastosowano na taką skalę technologię OWT-67, czyli osławioną wielką płytę. Początki budowy osiedla opierały się o produkcję płyt w tak zwanej wytwórni poligonowej, czyli bezpośrednio na placu budowy. Piastowską wytwórnię zlokalizowano przy ulicy Skorupskiej u wylotu Monopolowej. Dopiero pod koniec 1971 roku na obrzeżach miasta od strony wyjazdu w kierunku Warszawy wzniesiono zakład, nazywany potocznie fabryką domów. Jej uruchomienie zdecydowanie przyśpieszyło stawianie bloków z wielkiej płyty w różnych rejonach miasta. W 1978 roku budowę osiedla Piasta zakończono.

Nazwa osiedla determinowała nadanie nazw ulicom. Prowadząca od strony śródmieścia dawna ulica Piasta nazywała się tak już od 1919 roku. Pomimo sanacyjnego rodowodu zachowała poprawność polityczną. Wszak oficjalna propaganda chętnie nawiązywała do piastowskiej tradycji. Kolejne nowe ulice szły więc już z tego klucza. W 1969 roku główną arterię, wytyczoną wzdłuż Dolistówki, nazwano Piastowską. W tym samym roku ulicy przecinającej

osiedle nadano imię Bolesława Chrobrego. W 1974 roku oddano do użytku trzecią i ostatnią ulicę na tym osiedlu. Jej patronem został… Jan Stąpor. Nazwisko jakby piastowskie. Co też si miejscowi erudyci doszukiwali się genealogicznych tajemnic potomstwa Piasta Kołodzieja i Rzepichy. Na próżno. Nawet legendy o Stąporze nikt nie potrafił sobie przypomnieć. Trop z genealogią Piastów był bowiem fałszywy.

Prawdziwe ślady prowadziły do Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Białymstoku. Tu znajdowała się odpowiedź, kim był Jan Stąpor. A był typowym partyjnym aparatczykiem. Karierę po studiach w Moskwie robił na Kielecczyźnie. W 1966 roku był już w Komitecie Centralnym partii, a w styczniu 1972 roku przeniesiony został do Białegostoku. Tu został sekretarzem do spraw rolnictwa. Na początku lipca towarzysz Stąpor udał się z bratnią, roboczą wizytą do Mongolii. 3 lipca nadeszła do Białegostoku depesza zawiadamiająca, że „Jan Stąpor zginął śmiercią tragiczną w Mongolii". Żadnych szczegółów oficjalnie nigdy nie podano. Tajemnicą poliszynela była opowiadana wersja, że towarzysze polscy wraz z mongolskimi po integracyjnej biesiadzie postanowili popływać łódkami po jeziorze. Nikt nie zwracał uwagi na nadciągającą burzę. Ta zaskoczyła rozbawione towarzystwo na środku jeziora. Jeden z piorunów nieszczęśliwie trafił w łódkę Stąpora, który zginął na miejscu. Pogrzeb sekretarza odbył się 10 lipca 1972 roku z wojskowymi honorami na warszawskich Wojskowych Powązkach. W 1974 roku, gdy przeciętny białostoczanin już kompletnie o Janie Stąporze nie pamiętał, jego nazwisko pojawiło się na osiedlu Piasta.

Tylko on i Bolesław Chrobry dostąpili zaszczytu patronowania osiedlowym ulicom. W 1981 roku przyszło jednak opamiętanie. Zreflektowano się, że sytuacja jest kuriozalna. Stąpora zastąpił Mieszko I. Z tej komitetowo-białostockiej genealogii Piastów wynika więc jednoznacznie, że Stąpor był jednak chronologicznie przed Mieszkiem I.



Budowa osiedla Piasta, około 1970 r.



Wytwórnia powozów i dorożek Aleksandra Stołeckiego w Białymstoku, około 1900 r.

Dygnitarskie limuzyny

Prestiż władzy budowany jest jak misterny gmach. Wydawać by się mogło, że jedynym kryterium w ocenie jej jakości powinno być zadowolenie mieszkańców. Ale nie. Od dawna wiadomo, że dygnitarza można poznać po tym, czym jeździ. Wiedział o tym doskonale już Jan Klemens Branicki.

W wozowni swego warszawskiego pałacu hetman miał dwie „bardzo paradne karety". Szczególnie dumny był z „karety nowej białostockiej roboty", która miała pudło lakierowane na perłowo. Modnym kolorem ówczesnych roczników był jednak zielony. W największej wozowni Branickiego, właśnie w Białymstoku, stały aż cztery karety pomalowane na tenże kolor. Wśród wielu pojazdów było też 10 kolasek. Profesor Elżbieta Kowecka, znawczyni hetmańskiego majątku, pisała, że były wśród nich „nowa paryska, wybita pstrą plisią (plisia – plusz,



Białostockie dorożki, 1916 r.

tkanina półwełniana o wysokim włosiu) lakierowane na perłowo, kolaska nazwiskiem królewiczowska, zieloną plisią wybita, na 3 osoby, a także kolaski wybijane plisią pąsową i niebieską". Hetman z uwagą śledził wszystkie rynkowe nowinki. W 1744 roku otrzymał od swego szwagra, wojewody podlaskiego i podskarbiego koronnego Karola Sedlnickiego, przywiezione wprost z Paryża „abrysy" najnowszych modeli paryskich karet. Na ich podstawie w 1749 roku zatrudniony w Białymstoku dekorator i snycerz Contessa zrobił hetmanowi projekty karet, opierając się na paryskich modelach. Narysował więc ozdobne boki, zaprojektował gałki u drzwiczek i inne elementy. Branicki w międzyczasie nakazał kupno w Gdańsku kryształowych szybek.

W 1752 roku Branicki kupił w Paryżu kolejną karetę. Znad Sekwany wieziono ją statkiem do Gdańska, a dalej Wisłą, na łodzi, spłynęła do Warszawy. Do Białegostoku ciągnęło ją sześć koni ubranych w paradne szory.

W 1758 roku hetman zaangażował uznanego w Warszawie malarza Łukasza Smuglewicza, aby ten ozdobił mu karetę „chińską techniką". Smuglewicz, owszem, malunki potrafił wykonać, ale postawił Branickiemu warunek, aby chiński grunt wykonał jednak oryginalny Chińczyk. Kolejną karetę sprawił sobie hetman w 1766 roku. Zamówił ją u „Mr. De Dzuili w Linevillu". A przecież Lunéville była siedzibą Stanisława Leszczyńskiego, którego Branicki był zajadłym przeciwnikiem. Cóż, widać sympatie polityczne to rzecz jedna, a pojazdowa reprezentacja była ponad nimi. Ostatnim pojazdem hetmana była „karetka paryska", która przypłynęła z Francji do Gdańska w 1770 roku.

Nic więc dziwnego, że mając takie tradycje, białostoccy notable, gdy nastała epoka motoryzacji, nadal zaprzątali sobie głowy, czym jeździć. No i nie zawsze wychodziło im to na dobre.

W sierpniu 1923 roku w Białymstoku zaczęto przebąkiwać o aferze związanej z nabyciem samochodu przez samego komendanta okręgowego (czyli wojewódzkiego) białostockiej policji, Witolda Filimowskiego. Po mieście szybko rozeszła się wieść, że komendant nabył auto o niebagatelnej wartości 3,5 tys. dol. Skąd miał taką sumę? Przecież nie mógł dorobić się jej na państwowej posadce. Ale idźmy po nitce do kłębka.

W 1919 roku wycofujący się z terenów województwa Niemcy pozostawili w Łomży ekskluzywną limuzynę marki Berliet Lyon. Przezorni łomżyniacy, nie chcąc, aby wpadła ona w bolszewickie łapy, rozebrali samochód na części i ukryli go w stodole w stercie słomy. I tak przeleżał tam dwa lata. Przy jakiejś okazji o aucie dowiedział się komendant Filimowski. Bezzwłocznie udał się osobiście do Łomży, dokonał wizji lokalnej i nakazał przetransportować limuzynę do Białegostoku. Przepisy nakazywały, aby traktować takie okazje jako zdobycz wojenną i rejestrować je w „Demacie", czyli specjalnym urzędzie zajmującym się mieniem porzuconym i niczyim. Filimowski, owszem, zarejestrował, ale tylko część zdobyczy – karoserię. Pozostałe części auta – silnik, skrzynię biegów, resory, koła i opony – zapakowane zostały w kufry i ukryte na strychu komisariatu przy ulicy Warszawskiej 3.

W Łomży zawrzało. Jak to! Ich zdobyczne auto, ukrywane z narażeniem życia przez dwa lata przed wszystkimi wrogami, teraz bez walki oddano do Białegostoku. Sejmik powiatu łomżyńskiego wystąpił więc do wojewody białostockiego, Stefana Popielawskiego, z wnioskiem o kupno auta. Taki sam wniosek złożył Filimowski. Rezultat był łatwy do przewidzenia.

Białostocka policja pod dowództwem Witolda Filimowskiego, 1921 r.



W Łomży powtarzano to jak wyrok – „kadłub samochodu sprzedano p. Filimowskiemu” za jedyne 0,5 mln marek. Oferty łomżyńskiej nawet nie rozpatrywano, a o skrzyniach ukrytych na policyjnym strychu nikt się nie zająknął. Filimowski, aby uśpić rozwścieczonych łomżyniaków, odczekał kilka miesięcy, a następnie cały łup przekazał do najlepszego w Białymstoku zakładu mechanicznego prowadzonego przez Michała Zalewskiego przy ulicy św. Rocha 3. Mechanicy uporali się szybko ze złożeniem auta i komendant stał się właścicielem najdroższej w mieście limuzyny. Nie miał on jednak najmniejszego zamiaru nią jeździć. Wysłał berlieta łyona do Warszawy. Tam, w jednym z komisariatów, miał znajomego, który zajął się sprzedażą wojennej zdobyczy, a gotówkę, co tam gotówkę, fortunę uzyskaną z transakcji wysłał do Białegostoku. Teraz to już komendant Filimowski miał przeciw sobie i Łomżę, która ponownie zwarła szeregi, i Białystok, który nie mógł darować swemu pierwszemu policjantowi takich geszeftów. Ten zaś, widząc, że sprawa zaczyna nieładnie pachnieć, zaczął się tłumaczyć. Przedstawił rachunki, że silnik nabył w Grodnie, a resory i koła w Warszawie. Wszystko niby trzymało się kupy, ale ulica i tak wiedziała swoje.

Tymczasem inni białostoccy dygnitarze mogli tylko pomarzyć o samochodach. Ich służbowymi pojazdami były magistrackie powoziki i konie zwane wyjazdowymi. Oczywiście, koniom przysługiwał magistracki owies. Pod koniec 1925 roku trwały prace nad budżetem na rok następny. W żaden sposób nie można było zbilansować wydatków i dochodów. Wówczas przewodniczący Rady Miejskiej, prowizor farmacji, Feliks Filipowicz, zaproponował „skasowanie koni wyjazdowych”. W myśl tego projektu prezydent i inni miejscowi notable mieliby otrzymywać pewne kwoty na jeżdżenie dorożkami. Wywołało to gwałtowną polemikę konno-polityczną. Argumentowano, że cena koni spadła i sprzedaż jest nieopłacalna i że rychło w porę Filipowicz się ocknął, jeżdżąc przez sześć lat służbowymi końmi. Nic to nie pomogło i w marcu 1926 roku magistrat ogłosił licytację. Zakończyła się ona fiaskiem. Dopiero w drugim przetargu pod koniec kwietnia białostoczanie zreflektowali się i wylicytowali „konie wyjazdowe naszych suwerenów municypalnych”. Zlicytowano też magistrackie powozy.

Ale relacje władza – konie przybierały też i inne oblicza. Istniał w Białymstoku Urząd Rozjemczy, który zajmował się sprawami nieruchomości. Praca urzędników polegała między innymi na częstych wyjazdach do miasta w celu oględzin domów czy mieszkań. Powstał problem: czym jechać? Praktykowane były dojazdy dorożką. Opłatę za nią uiszczał na miejscu zainteresowany petent. Rada miejska stwierdziła jednak, że „był to zupełnie niewłaściwy sposób pobierania opłat od interesantów”. Kierownik Urzędu, znany w mieście pionier ruchu spółdzielczego, Hieronim Liwerski, zwrócił się więc do magistratu z propozycją, aby jego podwładni też, wzorem prezydenta, mogli otrzymywać dorożkarskie diety.

Powoli nadchodził jednak czas aut. Ten cywilizacyjny skok nie obył się jednak bez pewnych trudności. W maju 1926 roku plotkarski Białystok powtarzał sobie niesłychaną historię. Oto jeden z dyrektorów miejscowej szkoły wraz z pewnym duchownym wybrali się na podmiej-



Dygnitarski samochód przed bramą Ogrodu Miejskiego, około 1930 r.

ską biesiadkę służbowym autem z szoferem. Nieopodal Białegostoku w zapoznanym bufecie wszyscy trzej spałaszowali „kołduny litewskie i flaki po galicyjsku". Takie menu bez wódeczki, wiadomo, nie występuje. W efekcie – jak poinformowała później prasa – „pan dyrektor, bogobojna osoba i p. szofer troszeczkę się urżnęli". Gdy przyszło wracać do Białegostoku, droga okazała się znacznie krótsza. Ledwo wyjechali na szosę, samochód wpadł do rowu i wszyscy biesiadnicy dotkliwie się potłukli. Przybyłemu na miejsce zdarzenia policjantowi szofer filozoficznie tłumaczył całe zajście. „Samochód wódki nie lubi. Pan dyrektor lubi wódkę, koń też lubił. Samochód psia krew nie lubi. Jak urżnie się, to tak i lezie diabelska maszyna, na słup lub do rowu". Cóż było czynić. Aby odwieźć niefortunnych zmotoryzowanych dygnitarzy do domów, wezwano niezawodną dorożkę.

Turcy w Białymstoku

Tureckie kazanie – czy tylko tyle pozostało nam po Turkach, którzy w Białymstoku mieli się niegdyś całkiem nieźle? Pierwsi Turcy pojawili się w osiemnastowiecznym Białymstoku oczywiście za sprawą Jana Klemensa Branickiego. Jedną z atrakcji jego ogrodów, a jednocześnie sposobem na ich przemierzanie były niewielkie powoziki, zwane zgodnie z obowiązującą francuską modą *brouette* i *vinaigrette*. Cóż to takiego? *Brouette* to „wózek skórą czerwoną wybity na trzech kółkach z Turczynkiem". Czasem zamiast owego Turczynka, czyli Turka, zaprzęgano kucyka. Drugi z pojazdów był natomiast „krzesełkiem na trzech kółkach", które popychało się z tyłu. Oczywiście znów w roli silnika występował Turczynek.



Turek sprzedający rachatłukum na białostockim Rynku Siennym, około 1935 r.



Białostocki Rynek Sienny, około 1910 r.

Ale w 1755 roku do Białegostoku zawitał turecki dwór. Stało się to za sprawą wstąpienia na tron sułtana Osmana III. Obyczajem ówczesnej dyplomacji było powiadomienie innych, zaprzyjaźnionych koronowanych głów o tym fakcie. Tak więc poselstwa tureckie przemierzały całą Europę. Jedno z nich udawało się do Warszawy, ale przy okazji zahaczyło o Białystok. Jan Klemens Branicki, będący u szczytu powodzenia, przyjął posła tak, jakby sam był królem. Towarzyszący delegacji poeta, nie kryjąc zachwytu, opisał, co zobaczył w Białymstoku, i kończąc relację, westchnął: „Boże, podaruj ziemie te wyznawcom islamu". Niestety, nie wiemy, czy Branicki tureckich gości kazał wozić po ogrodach *brouette* i *vinaigrette*.

Przez następne dziesięciolecia nic o Turkach w Białymstoku nie było słychać. Dopiero pod koniec XIX wieku zaczęli przybywać tu ponownie. Przyczyną ich emigracji były wojny i niepokoje w ich rodzinnych stronach. Źródłem utrzymania przybyszów znad Bosforu były najczęściej piekarnie. Jedną z pierwszych była piekarnia, a zarazem cukiernia „Konstantynopolitańska". Mieściła się w nieistniejącej dziś kamienicy Jankiela Szmula Zabłudowskiego na rogu rynku i ulicy Tykockiej (obecnie Lipowa). Piekarnia ta miała swoje oddziały na ulicach: Instytuckiej (obecnie Pałacowa), Mikołajewskiej (obecnie Sienkiewicza) i Pocztowej (obecnie Jurowiecka). To właśnie przy głównej siedzibie „Konstantynopolitańskiej" miał miejsce pierwszy zamach terrorystyczny przeprowadzony przez białostockich anarchistów. Wieczorem 22 października 1903 roku przez rynek szedł policmajster P. Metlenko. Towarzyszył mu miejski inżynier Aleksander Beriezin. Panowie szli nieśpiesznie, zabawiając się rozmową. Gdy



W budynku po lewej stronie, przy ul. Kilińskiego 16, znajdowała się piekarnia oferująca znakomite tureckie chleby, około 1925 r.

byli przy witrynie tureckiej cukierni, znienacka padły strzały. Inżynierowi szczęśliwie nic się nie stało. Policmajster natomiast wyszedł z opresji niby też szczęśliwie, bo trafiono go w... cztery litery.

W okresie międzywojennym cukiernie i piekarnie tureckie cieszyły się już w Białymstoku ogromną popularnością. Czy wieść o tym dotarła aż do Turcji? Być może, bo nad Białą coraz liczniej przybywali Turcy. W związku z tym po pewnym czasie „większość piekarń białostockich w centrum miasta" przeszła w ich ręce. Białostoczanie chętnie kupowali tureckie wypieki. Specjałem cukierni było rachatłukum. Były to formowane niewielkie bryłki skrobi wytłaczane z cukrem, do której dodawano galaretki owocowe. W lecie dużą popularnością cieszyło się orzeźwiające, miętowe rachatłukum. Jednak ci, co jedli waniliowe, twierdzili, że to jest to! W piekarniach natomiast królował turecki chlebek. Był słodki dzięki dużej ilości miodu i przebogaty w rodzynki i migdały. Miały te smakołyki i niemało goryczy. Orientalni piekarze, widząc tak duży popyt, rozpoczęli nieludzki wyzysk „białych murzynów", czyli swoich umorusanych w mące pracowników. Pojawiły się więc doniesienia do Inspektoratu Pracy, że zatrudniony w sklepach z pieczywem tureckim personel pracuje za marne wynagrodzenie, okrągły tydzień bez zmiany i wypoczynku, w niedziele i w święta po 16 godzin na dobę".

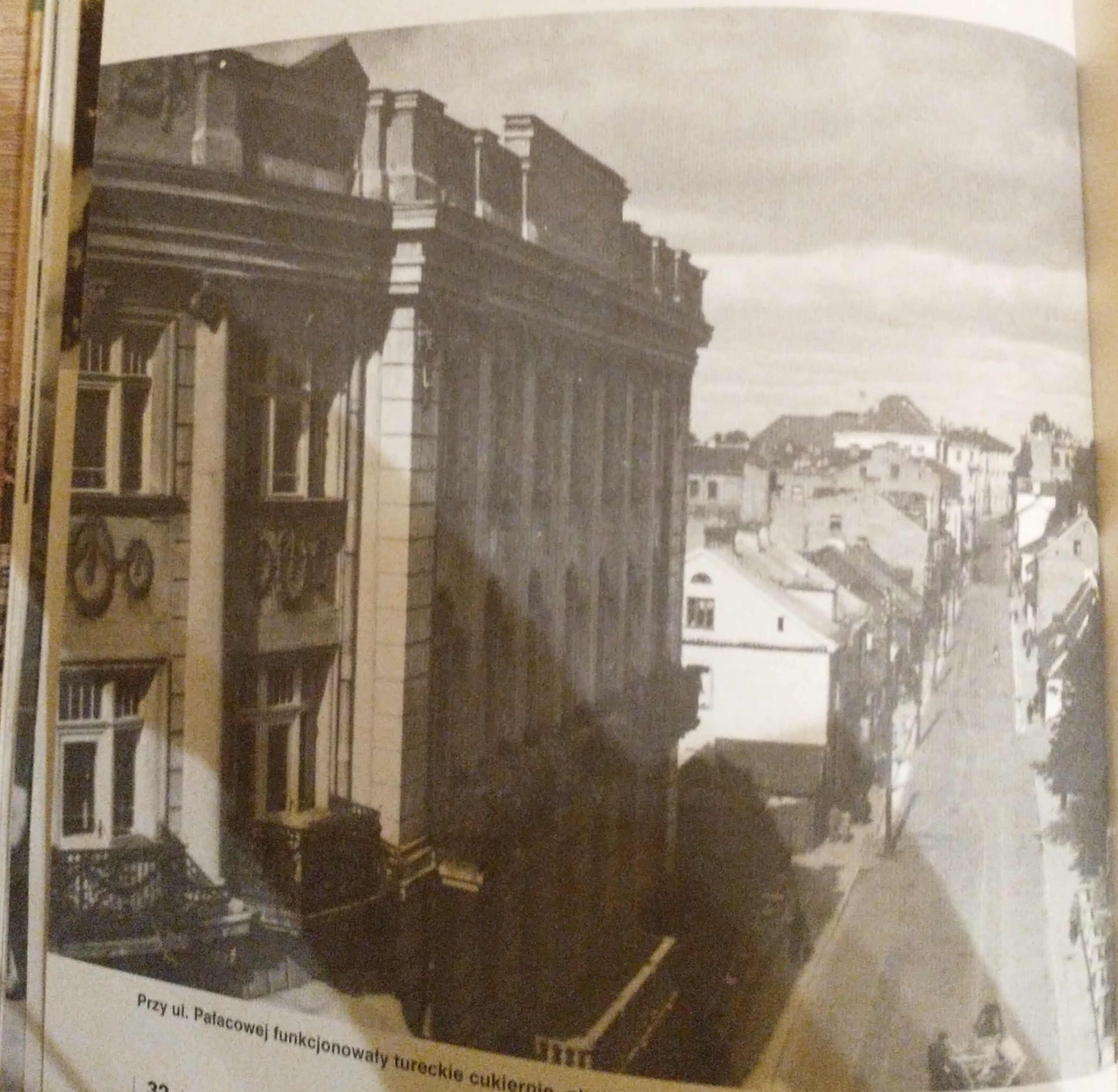
Ale czego oczy nie widzą, o to serce nie boli, jak głosi dawne porzekadło. Przeto białostoczanie chętnie odwiedzali cieszącą się największą renomą piekarnię i cukiernię turecką przy ulicy Pałacowej 5. Była to spółka pod nazwą „Indżerab", której właścicielem był Mustafa Ince Arab. Prowadził ją ze stryjecznym bratem Helilem. Sensacją, która lotem błyskawicy obiegła miasto, stało się to, gdy w maju 1931 roku Helil okradł Mustafę i z niemałą kwotą 3618 zł zniknął. Powiadomiona o wszystkim policja po kilku dniach poszukiwań odnalazła nieuczciwego Turka w Łomży. Po tym przykrym incydencie cukiernia przeszła w ręce kolejnych Turków: Kiazym Kierachana i Efendi Fezy-Zade. Im też nie dopisało szczęście. Kontrolujący piekarnię urzędnicy sanitarni stwierdzili, że panuje w niej karygodny brud. W sierpniu 1934 roku piekarnia i cukiernia przy ulicy Pałacowej 5 zostały zamknięte. Niestety w większości tureckich zakładów panowała „wschodnia higiena". Najwięcej krytyki wywoływały wystawy. Układano na nich stosy ciastek i chałwy. Pomimo przepisu nie były niczym przykrywane. Przeto „łaziły po nich roje much, które przedtem siadały na czem innem, niosąc zarazki, które konsument spożywa wraz z chałwą".

Po zamknięciu „Indżeraba" dużym wzięciem zaczęła się cieszyć cukiernia „Stambuł" przy ulicy Lipowej 16. Ale podobnych miejsc, w których można było kupić bądź zjeść wschodnie słodycze, było w Białymstoku kilka.

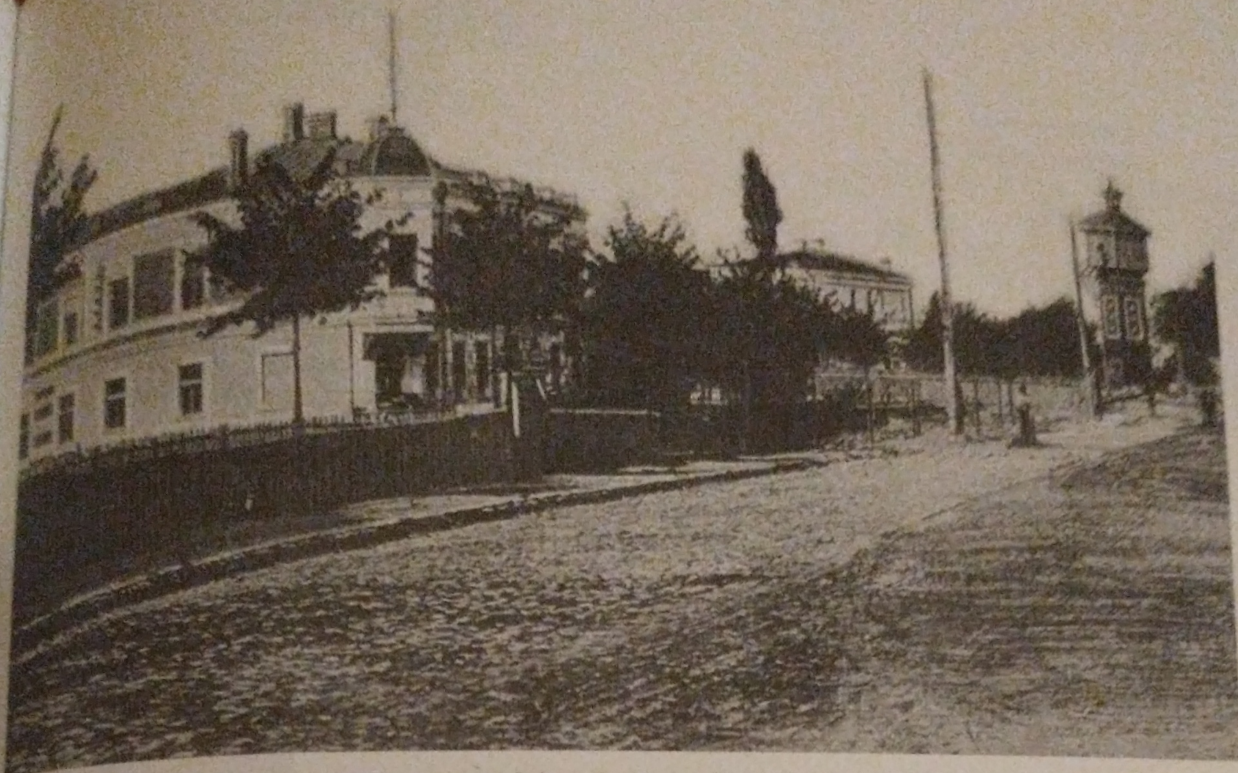
Jednym z nich była cukiernia przy ulicy Dąbrowskiego 14. Prowadził ją Abos Biber, który przyjechał z Turcji do Białegostoku około 1930 roku. Jego cukiernia zyskała szczególną sławę „wśród amatorów bezpłatnej wyżerki". Przyczyną tego było usposobienie pana Bibera. Turek ów „wiecznie spał. Stojąc za ladą drzemał". Dowcipkowano sobie, że pewnie śni mu się porzucona ojczyzna, a może „upajają go wspomnienia i wizje serajów i cudnych mieszkanek haremów?". Klienci odwiedzający cukiernię, wchodząc do lokalu, musieli głośno pokrzykiwać, po to aby cukiernik ocknął się i zaczął ich obsługiwać. Bywali jednak i tacy, którym stan Turka nie przeszkadzał. Widziano więc pewnego konsumenta, który spałaszował pokaźną ilość słodyczy. Gdy skończył ucztę, spostrzegł, że Biber śpi w najlepsze. Skrupulatnie odliczył więc należność, położył pieniądze na stole i cichutko wyszedł z cukierni. Turek ani drgnął. Zobaczywszy to, obżartuch dyskretnie wrócił do cukierni, „zainkasował" własne pieniądze i bezszelestnie znikł. A Biber? Oczywiście spał dalej. Trochę gorzej poszło Biberowi pewnego kwietniowego dnia 1931 roku. Do jego cukierni weszło czterech młodych mężczyzn. Jeden z nich szarmancko skłonił się przed Turkiem i przemówił z „pięknym akcentem konstantynopolskim. *Biur, Wer, efendim, metek, izium usz złotis nuk*". Na takie dictum Biber zaoferował gościom aromatyczną kawę, bakalie i ciastka. Gdy uczta dobiegła końca, cukiernik z ujmującym uśmiechem zjawił się z rachunkiem opiewającym na 8,30 zł. Wówczas ten sam złotousty poliglota już nieco podirytowany rzekł: „Pozwolisz efendi, że się przedstawię. Jestem Roman Ostrzygało. Rachunek proszę zapisać na moje konto". Biber delikatnie zaoponował, że kredytu nie udzieli. Wówczas całe towarzystwo z oburzeniem zerwało się z krzeseł. Wykrzykiwali

przy tym, że to skandal i brak manier i co sobie taki Turek w ogóle myśli. Korzystając z zamieszania, które sami wywołali, zapakowali do kieszeni garście ciastek leżących na kontuarze i z hukiem wyszli na ulicę. Turek z bezradnie rozłożonymi rękoma wyszedł za nimi. Wówczas jeden ze smakoszy tureckich delicji cisnął w witrynę cukierni kamieniem. Brzęk tłuczonego szkła spłoszył zarówno napastników, jak i biadolącego Turka.

Nie wiemy, kiedy tureccy cukiernicy opuścili Białystok. Czy stało się to za pierwszego Sowieta w latach 1939–1941? A może dopiero w 1944 roku? Pozostały po nich jedynie nikłe wspomnienia i wyśmienite tureckie chlebki, które i tak nie są kojarzone z tamtą historią.



Przy ul. Pałacowej funkcjonowały tureckie cukiernie, około 1930 r.

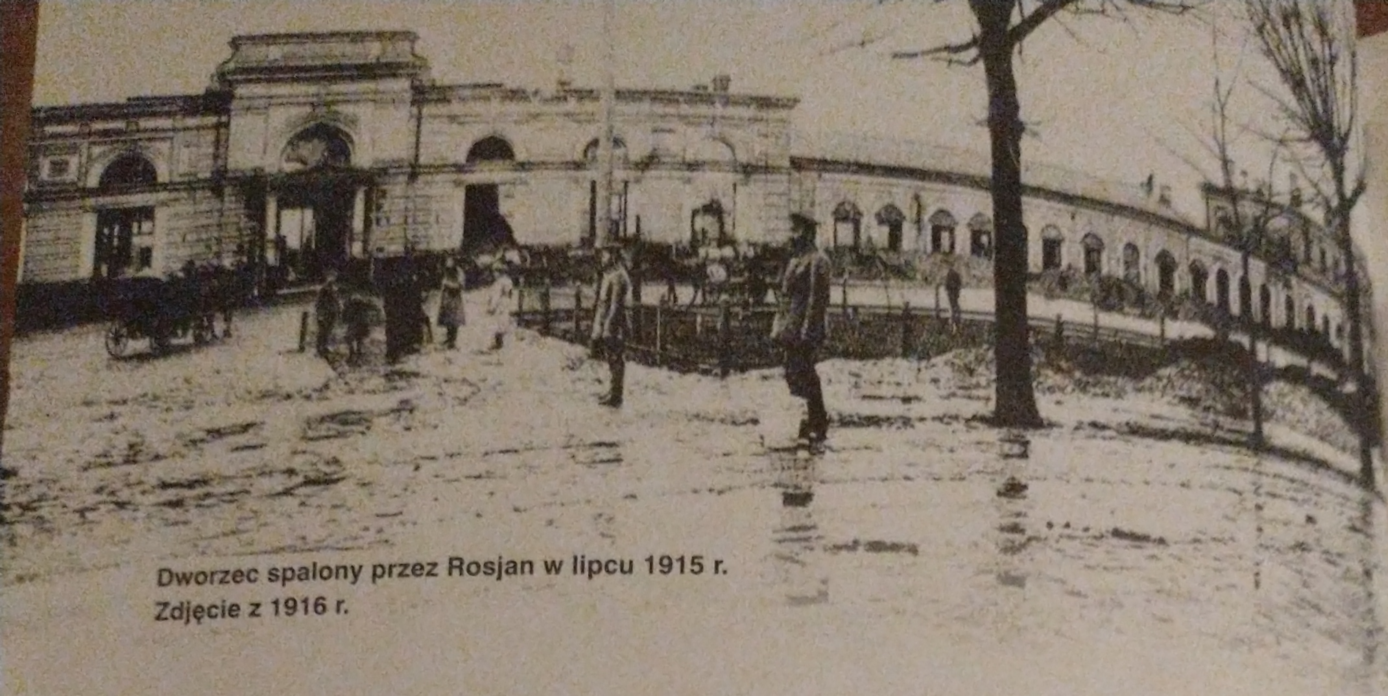


Prowadząca do dworca ul. Staroszosowa (obecnie ul. św. Rocha), około 1900 r.

Dworzec białostocki

Anegdota głosi, że gdy w 1833 roku carowi Mikołajowi I przedstawiono projekty budowy pierwszych linii kolejowych w Rosji, to monarcha znany z niechęci do technicznych ekstrawagancji z nieukrywaną irytacją wysłuchał, o co chodzi, pobieżnie rzucił okiem na przedstawione mu ryciny i plany, po czym pod adresem projektantów ryknął: „Poślijcie ich do domu wariatów!".

Pomimo tej druzgocącej krytyki pierwszy pomysł budowy „żelaznej drogi" wiodącej przez Białystok pojawił się już w 1835 roku, ale dopiero w 1852 roku rozpoczęto prace przy trasie łączącej Warszawę z Petersburgiem. Jej projektantem był Stanisław Wysocki, dziś kompletnie zapomniany pionier polskiego kolejnictwa. Pierwszy pociąg osobowy z Warszawy do Białegostoku przyjechał 18 września 1862 roku. Z ówczesnego rozkładu jazdy wynikało, że trasę Warszawa – Białystok można było przemierzać dwa razy w tygodniu – w niedziele i czwartki. W stolicy wsiadało się na Dworcu Wileńskim o 9 rano i już po 5 godzinach i 50 minutach, czyli jak na tamte realia, w błyskawicznym tempie, było się w Białymstoku. Aby nie przypominać koszmaru zadania matematycznego, że pociąg z miejscowości A do miejscowości B itd., podam od razu: pędził z szybkością 29 km/h.



Dworzec spalony przez Rosjan w lipcu 1915 r.
Zdjęcie z 1916 r.

Pasażerowie przybywający do Białegostoku mieli do swej dyspozycji elegancki dworzec. Rozbudowano go pod koniec XIX wieku. W 1897 roku pisano: „W Białymstoku jest jeden centralny dworzec SPW [taki był oficjalny skrót petersbursko-warszawskiej kolei]. Znajduje się w samym mieście na Szosowej ulicy". W tymże 1897 roku ruch pasażerski w Białymstoku był już całkiem spory. Z Warszawy przybywały dziennie cztery pociągi (pasażerski, pocztowy, towarowy i pośpieszny), z Wilna przychodziły pasażerski, pocztowy i pośpieszny. Były też pociągi z Brześcia, Grajewa i Baranowicz. Dla prowincjuszy nieobeznanych z kolejowym rozkładem jazdy zaznaczono na tablicy uwagę odnoszącą się do godzin przyjazdu i odjazdu: „wielkimi cyframi godziny, a małymi minuty".

W 1913 roku stacja Białystok była już całkiem dużą instytucją. Na jej czele stał „rewizor ruchu". Był nim wówczas Paweł Iszerski. Jego podwładnym był Naczelnik Stacji. To stanowisko piastował Michał Jegorow. Zgodnie z rosyjską biurokracją miał aż pięciu zastępców. Wszyscy oni mieszkali w kolejowych, rządowych domach. Sam dworzec białostocki był wizytówką miasta. Zachwycał wystrojem poczekalni od pierwszej do trzeciej klasy. Miał restaurację, bufet, sanitariaty. Na peronie, który był wówczas zadaszony, w 1908 roku pojawiły się pierwsze w Białymstoku trzy automaty z biletami peronowymi. Wszystko to niestety kosztowało. Nic więc dziwnego, że i bilety kolejowe były koszmarnie drogie. Białostoczanie wymyślili na to pewien sposób. W 1909 roku policja na przedmieściach wykryła tajną drukarnię, w której znaleziono fałszywe bilety, które „tylko z trudnością można było odróżnić od prawdziwych".

Zbliżała się wojna. Automaty z peronówkami stały się bezużyteczne, bo w lipcu 1915 roku zakazano wstępu na perony. Podupadły też bufet i restauracja, w których nie można było zamówić koniaku i likieru. 12 sierpnia 1915 roku Rosjanie, uciekając z miasta, podpalili

dworzec. W kwietniu 1916 roku korespondent „Białystoker Zeitung" pisał, że „spacer po mieście daje pod względem architektonicznym wiele interesującego". Dalej jednak wpadał w minorowy ton, donosząc, że:

> urządzenia dworca kolejowego padły prawie w zupełności ofiarą rosyjskiej wściekłości niszczycielskiej. Poczernione mury i ponure otwory okien przypominają dawne czasy. Wojna, która odrużgotała wiele cennych pamiątek architektury, uszkodziła w naszem mieście oprócz dworców kolejowych i fabryk, mało budynków.

Po zakończeniu wojny przystąpiono do remontu dworca. W grudniu 1923 roku „Dziennik Białostocki" triumfalnie obwieszczał:

> Oglądajcie, podziwiajcie nasz dworzec kolejowy, który oto wynurzył się z powijaków rusztowań i w całej krasie podłatanego wdzięku doprasza się komplementów. A te nie dają na siebie czekać. Starożyły tutejsze na widok odnowionego oblicza dworca wzdychają ze smętną zadumą, kiwają znacząco głowami i szepcą z akcentem najwyższego uznania – jak do wojny… Jej Bogu, jak do wojny! – ma to znaczyć, że gmach stacyjny odzyskał swą świetną zewnętrzność z błogich przedwojennych czasów.



Sala restauracyjna dworca, około 1910 r.



Dworzec w 1897 r.

Ta „świetna zewnętrzność" okupiona została aresztem Matusa Grynberga, majstra kierującego robotami. Okazało się, że ukradł on z budowy większą ilość materiałów. Z oburzeniem pisano, że „trochę gipsu, trochę gwoździ i uzbiera się na domek". Ale i tak dworzec „jak u Boga" robił wrażenie. W 1924 roku Maria Dąbrowska cieszyła się, że dworzec tak pięknie odnowiono. Pisała: „Warszawa przecież nie ma takiej sali bufetowej. Wysoka, śmigająca białymi ścianami ku sufitowi, pod którymi płoną jaśniejąco misy lamp. Na tle olbrzymich okien, szafirowych od zmierzchu, piętrzą się na bufecie stogi ognistych pomarańczy".

W pierwszym półroczu 1925 roku remont dworca ruszył ponownie. Tym razem zajęto się wnętrzem. Komunikowano, że „sala III klasy urągająca dotychczas wszelkim przepisom sanitarnym i hygenicznym zostaje przebudowaną". Miano dobudować specjalny podjazd, a od mostu do dworca ułożyć chodnik betonowy. Prasa zachwycała się, że „dworzec będzie miał europejski wygląd".

Pasażerów wciąż przybywało. Rozkład jazdy z 1932 roku to już poważna sprawa, nie to co niegdyś pociąg w czwartek i niedzielę. Z Warszawy przychodziło codziennie sześć pociągów. Były też z Wilna, Grodna, Stołpców, Brześcia, Białowieży, Ostrołęki. Przy jednym z pociągów, przychodzącym z Warszawy o 4.00 rano, zanotowano jednak, że „ma być zawieszony". W 1939 roku tak opisywano białostocki dworzec i jego otoczenie:

> Białystok jest ważnym węzłem kolejowym. Dworzec kolejowy nie jest jeszcze przysposobiony do nowoczesnych wymagań i nie posiada przejść tunelowych. Ku miastu prowadzi ulica Piusa XI (dawniej Kolejowa). Dla osób idących pieszo do miasta o wiele wygodniej jest udać się bezpośrednio na most ponad torami kolejowymi ku ul. Św. Rocha. Wejście bezpośrednie z mostu na tor kolejowy w porze nocnej nie zawsze jest otwarte. Dworzec ma restaurację i poczekalnię dla I-szej i II-giej klasy razem, dla III-ciej osobno. Podobnie i kasy biletowe. Obsługa sprawna jak zwykle na większych stacjach. Kiosk Ruchu z książkami oraz wszechstronnym doborem dzienników i czasopism. Przed stacją postój taksówek i dorożek konnych. Za kurs dorożką z dworca do rynku oddalonego o 2 km. płaci się 1 zł., względnie kurs dalszy 1 zł. 50 gr. Kurs zwykły dorożki 75 gr. Autobus miejski z dworca jedzie w kierunku Rynku ulicą Piusa XI i marszałka Piłsudskiego. Od Rynku jedzie ulicami Sienkiewicza, Warszawską, Świętojańską, Mickiewicza i kończy swój kurs u wylotu ul. Drewnianej.

I to był ostatni przed wybuchem wojny opis białostockiego dworca.



Hotel Wilhelma Ostrowskiego, w którym około 1900 r. otwarty został „Bar Amerykański"

Amerykański Białystok

Białystok kojarzony jest ze Wschodem, ale swoje prosperity zawdzięczał w dużej mierze Stanom Zjednoczonym. A stało się to za sprawą Jakuba Lewiego, który w 1883 roku przywiózł zza oceanu nieznaną dotychczas nad Białą technologię produkcji przędzy wtórnej, nazwanej nie wiadomo dlaczego tybetem. Ten tani sposób wytwarzania przędzy ze szmat uchronił miejscowych przedsiębiorców przed finansowym krachem. W tamtym Białymstoku epoki fin de siècle'u amerykańsko było też w gastronomii. Przy ulicy Mikołajewskiej (obecnie Sienkiewicza) Wilhelm Ostrowski prowadził hotel. W hotelowej restauracji, która mieściła się na parterze, około 1900 roku otwarty został „Bar Amerykański". Niestety nie wiemy, czy ta nazwa dotyczyła wystroju lokalu czy może menu. Nie zachowały się bowiem żadne barowe karty dań.



Sterylizator podarowany przez Amerykanów szpitalowi Polskiego Czerwonego Krzyża, 1920 r.

Przed szpitalem Polskiego Czerwonego Krzyża, 1920 r.

Ale prawdziwe uderzenie na Białystok przygotowali Amerykanie od 1919 roku. Jako pierwsza zainstalowała się w mieście Y.M.C.A., czyli jak już wówczas popularnie i z pewną czułością mawiano – „Ciocia Imcia". Jej dyrektor, mister Andrzej Sanders, uchodził za jedną z ważniejszych osobistości w mieście. Nie mniejszą popularnością cieszyła się jego małżonka. Panowała w Białymstoku zgodna opinia, że Y.M.C.A. „zdziałała bardzo wiele dla żołnierza i społeczeństwa miejscowego". Duże zasługi przypisywano też dynamicznie działającemu Polsko-Amerykańskiemu Komitetowi Pomocy Dzieciom. Organizował on bezpłatne posiłki oraz zbiórki ciepłej odzieży.

Jednocześnie aktywną działalność w mieście od 1919 roku prowadził Amerykański Czerwony Krzyż. W 1920 roku przystąpił on do organizacji nowoczesnego szpitala w dawnej siedzibie ambulatorium Rosyjskiego Czerwonego Krzyża przy ulicy Warszawskiej 29. Amerykanie zakupili do nowej placówki supernowoczesny sprzęt. Parowy sterylizator budził powszechną sensację. W szpitalu nie brakowało medykamentów, a i lekarze nie narzekali na wynagrodzenie. Szpital, co oczywiste, nosił imię Georga Washingtona. Pierwszy prezydent USA jest też patronem jednej z białostockich ulic już od 1919 roku. Budzi jednak lekkie zdziwienie, że między wojnami nie było w Białymstoku ulicy Amerykańskiej. Była Angielska, Argentyńska, Palestyńska. Sprawę, ale tylko połowicznie, załatwiał Nowy Świat.

Ale wracajmy do Amerykanów. Od początku niepodległości w całej Polsce niezwykle uroczyście, wręcz oficjalnie, obchodzono lipcowe Święto Niepodległości Stanów Zjednoczonych. Pod koniec czerwca 1919 roku w Białymstoku pod przewodnictwem tymczasowego prezydenta miasta Karola Józefa Puchalskiego zawiązany został komitet „w celu urządzenia obchodu święta narodowego Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej". W dniu święta, 4 lipca,

komitet oraz „przedstawiciele władz cywilnych, wojskowych i społeczeństwa polskiego udali się z muzyką na czele na ulicę Sienkiewicza", gdzie znajdowała się siedziba misji Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Tu spotkało ich zaskoczenie. Przygotowani byli, że przyjmie ich naczelnik misji major doktor Chesley. Tymczasem go nie było. Okazało się, że poprzedniego dnia wyjechał w towarzystwie kilku polskich lekarzy, aby zwizytować szpitale w Grajewie, Szczuczynie i Łomży. Celem tej wyprawy było zorientowanie się, jakiej pomocy potrzebują te placówki. Po całodniowej pracy wyjechali z Łomży w kierunku Białegostoku, lecz „wieczorem brakło im benzyny – musieli nocować w drodze" i dopiero rano telefonicznie ściągnęli kolejny samochód z Białegostoku.

Pod nieobecność szefa polską delegację przyjęli więc pozostali w misji oficerowie, kapitan Mc Guire, kapitan Smith, porucznik Campbell i porucznik Caruthers. Białostoczanie dziękowali za pomoc. Okazało się, że jest jeszcze jeden powód do świętowania. Oto bowiem do Białegostoku dotarła wiadomość, że wojska polskie, tocząc ciężkie walki z bolszewikami, zajęły Mińsk. Amerykanie poinformowali natychmiast zebranych, że już wysyłają specjalny pociąg z odzieżą i żywnością „dla zgłodniałego Mińska". W kulminacyjnym momencie uroczystości wręczono Amerykanom stosowny adres „spisany ozdobnie na bristolu". Wszystkie przemowy, które kończyły się okrzykami „Niech żyje Ameryka!", tłumaczyła „uprzejma Amerykanka zarządzająca gospodarstwem misji, miss Perkins".



Dr Konrad Fiedorowicz (stoi) w trakcie operacji w szpitalu Polskiego Czerwonego Krzyża, 1920 r.

Po tej oficjalnej części cała polsko-amerykańska grupa udała się na Rynek Kościuszki. Centrum miasta udekorowane było polskimi i amerykańskimi flagami. Na rynku, przed farą odprawiona została msza polowa w intencji pomyślności Stanów Zjednoczonych. Po niej białostocka delegacja została zaproszona „do Amerykanów na śniadanie". Wszyscy wrócili więc na Sienkiewicza. W saloniku misji panowała swobodna, miła atmosfera. „Czas mijał wśród pogadanek z paniami z misji, wśród których znalazły się dwie nadobne Amerykanki Polki mówiące piękną polszczyzną". W trakcie tych rozmów „przed domem zahuczał samochód". To właśnie zajechał spóźniony major Chesley. Gdy wkroczył do saloniku, podwładni przekazali mu ozdobny adres, który ponownie został przetłumaczony. Major oświadczył, że adres ów „jako miła pamiątka, złożony będzie w Waszyngtonie na wieczną pamiątkę". Po tych wzajemnych kurtuazjach miss Perkins oznajmiła zebranym, że śniadanie podano. Towarzystwo wśród miłych pogawędek „spożywało smakowitą czekoladę amerykańską i paliło papierosy. Przez cały czas śniadania w przyległym pokoju przygrywała kapela Milicji Ludowej". Piękną uroczystość zakłócił tylko jeden incydent. Powszechne zdziwienie budził bowiem fakt, że białostoccy Żydzi wyraźnie zlekceważyli to święto. „Żaden dom żydowski nie był udekorowany, żaden sklep żydowski w czasie nabożeństwa nie był zamknięty".

Kontakty białostocko-amerykańskie zacieśniały się też za sprawą emigracji. To był dobry interes dla obydwóch stron. W czerwcu 1920 roku do Białegostoku przyjechali filmowcy z Amerykańskiego Towarzystwa Kinematograficznego, którzy postanowili wykonać „bezpłatne zdjęcia kinematograficzne mieszkańców m. Białegostoku, mających krewnych w Ameryce". Taki przedwojenny Skype, tyle że niemy, a transmisja danych odbywała się okrętem przez Atlantyk. Zdjęcia do tych filmików nie były jednak bezpłatne – płacili za nie krewni w Ameryce. Filmowano jednocześnie 12 osób. Niestety nie wiemy, czy odbiorca w Nowym Jorku czy Chicago otrzymywał wykadrowanego krewniaka, czy musiał szukać go wśród 11 obcych delikwentów. No chyba że ktoś przyprowadził cały tłum rodzinny. Zdjęcia robiono w ogrodzie przy ulicy Sienkiewicza 28. Po ich zakończeniu wszystkie filmiki wyświetlono na specjalnym wieczornym seansie w pobliskim kinie Apollo.

Kolejni Amerykanie pojawili się w Białymstoku w październiku 1922 roku. Była to grupa przemysłowców, którzy postanowili „otworzyć tu fabrykę szkła". Zainteresowali się pustymi parcelami leżącymi pomiędzy ulicami Sienkiewicza i Sobieskiego. Wkrótce zaczęła się budowa zakładu. I znowu pojawiła się szansa uczczenia Amerykanów. Wytyczając nową ulicę wiodącą do huty szkła, można było nazwać ją Amerykańską, ale nie wiedzieć czemu, nazwano ją Ryską. W tym samym czasie, jakby na domiar złego, szpitalowi Georga Washingtona z kolejną pomocą finansową zgłosił się Belgijski Czerwony Krzyż. Cóż było robić. Dają, to trzeba brać. Cichcem więc usunięto z szyldu ojca narodu amerykańskiego i zastąpiono go belgijską królową Elżbietą.

ХИМИКО-БАКТЕРІОЛОГИЧЕСКІЙ КАБИНЕТЪ

магистра фармаціи Е. О. ВИЛЬБУШЕВИЧА

(Разрѣшенный Медицинскимъ Департаментомъ въ 1905 г. № 680).

Reklama apteki Eugeniusza Wilbuszewicza, 1913 r.



Kamienica przy Rynku Kościuszki, w której mieściła się apteka Eugeniusza Wilbuszewicza, około 1930 r.

Jak Nowik z Wilbuszewiczem pruli kasy

Nowikowie i Wilbuszewiczowie to dwie zacne białostockie rodziny. Pierwsi zapisali najlepsze karty przemysłowej historii miasta, drudzy prowadzili jedną z najpopularniejszych białostockich aptek. Przypadek połączył ich kryminalnymi historiami.

Kamienica Nowików przy Lipowej 35 to jeden ze sztandarowych białostockich zabytków. Oprócz tego, że ładna, jest też jedną z niewielu pamiątek po potentatach białostockiego włókiennictwa. Wszystko zaczęło się w 1868 roku, gdy w Białymstoku zjawił się Całko Nowik. Kupił parcelę w okolicach dzisiejszej ulicy Nowy Świat i wybudował na niej niewielką wytwórnię sukna. Około 1898 roku wzniósł nową fabrykę, tym razem przy ulicy Augustowskiej. Zaczął w niej dodatkowo produkować kapelusze. Miał Całko czterech synów – Eliasza, Pawła,

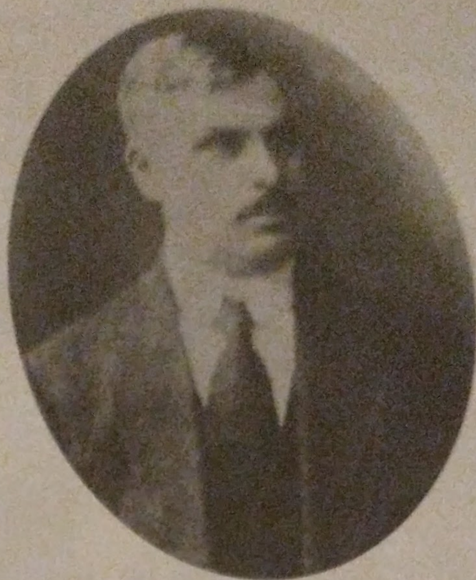
Salomona i Chanona. Paweł w latach 1908–1913 był radnym miejskim. Zasiadał też w zarządzie Białostockiego Banku Handlowego i w radach kilku szkół średnich. To właśnie on, po śmierci ojca, w imieniu całej rodziny, zarządzał fabryką. Eliasz był członkiem zarządu Białostockiej Ochotniczej Straży Ogniowej, a Chanon działał w licznych żydowskich organizacjach charytatywnych. I właśnie Chanon wraz z żoną Sarą w 1910 roku zaczęli się budować przy ulicy Lipowej, aby w 1912 roku zamieszkać w reprezentacyjnej kamienicy. Niestety wkrótce wybuchła wojna i w 1915 roku Nowikowie wraz z fabryką zostali wywiezieni w głąb Rosji.

W 1919 roku Nowików nie było jeszcze w Białymstoku, a działy się wówczas w mieście rzeczy ważne. Organizowano urzędy, powstawały nowe instytucje. Traf chciał, że budynków poszukiwała też białostocka Poddyrekcja PKP. Bez większych ceregieli przejęła więc Nowikowe budynki. Wkrótce do Białegostoku powrócili jednak jej prawowici właściciele. Nietrudno sobie wyobrazić ich reakcję. Ale cóż, odpowiedź kolejarska była prosta. Budynki potraktowano jako mienie niczyje i zgodnie z ówczesnym prawem zajęto na potrzeby państwa. Chanon Nowik argumentował, że przecież budynek ten niezbędny jest rodzinie, bo przed wojną znajdował się w nim skład fabryczny, tak potrzebny ze względu na niedogodne położenie fabryki. To tu brat Chanona, Paweł, oferował i pokazywał swoim kontrahentom interesujące ich tkaniny. Tu dokonywano transakcji i stąd zabierano zakupione towary.

Wreszcie w lutym 1923 roku zarząd kolei przeniósł się na ulicę Kolejową i Nowikowie zaczęli wprowadzać się na Lipową. Niestety, nie było już wśród nich Pawła, któremu pobyt w rosyjskim więzieniu nadszarpnął zdrowie. Zmarł w Berlinie w 1922 roku. Kierownictwo fabryki przejęli jego bracia Eliasz i Salomon i rozpoczęli urządzać od nowa skład sukna. W pokojach na parterze frontowego budynku ustawiono półki, na których leżały próbki materiałów produkowanych przy ulicy Augustowskiej. Na piętrze i w oficynie ulokowano mieszkania dla całej rodziny. W trakcie tych przeprowadzek wydarzyła się niezwykła historia. Był wieczór. Do krzątających się przy wnoszeniu mebli Nowików podszedł nagle nieznany im mężczyzna w kolejarskim mundurze i spytał: „Czy panowie odpowiadają za kasę, która znajduje się w tym gmachu?”. Wszyscy stanęli zdumieni, a tajemniczy kolejarz znikł w mroku korytarza. Jaka kasa? Gdzie ona jest? Dlaczego jej nie zabrano? Chanon Nowik postanowił rozwiązać tę tajemnicę. Wraz z urzędnikiem fabrycznym Alfredem Szejnem ruszył na poszukiwania sejfu. W komórce na podwórzu zauważyli niewielkie okienko, z którego sączyło się światło. Skierowali się ku niemu i w tym momencie ktoś zatrzasnął drzwi, a na „poszukiwaczy” rzuciło się trzech kolejowych strażników. Nowik i Szejn, pobici dotkliwie, ostatkiem sił wyrwali się napastnikom i wybiegli na dwór. Zjawili się i pozostali domownicy zaalarmowani odgłosami bijatyki. Ktoś przyniósł lampę. Zza drzwi komórki wyszli też strażnicy, opowiadając, że przed chwilą ktoś próbował obrabować kolejową kasę i tylko dzięki ich odwadze zamiar złoczyńców został udaremniony. Gdy tak rozprawiali o swoim bohaterstwie, zauważyli obitą i posiniaczoną twarz Chanona Nowika. Wszystko było już jasne. Tylko tajemniczy kolejarz

znikł bez śladu. Wkrótce jednak skończyła się wielka historia tej przemysłowej rodziny. W 1926 roku zmarł Eliasz, a w 1927 roku odeszli Salomon i Chanon.

U Wilbuszewiczów też poszło o kasę. Do Białegostoku przybyli mniej więcej w tym samym czasie co Nowikowie. W drugiej połowie XIX wieku przy białostockim rynku, pod numerem 17, wybudowali niewielką, piętrową kamienicę, w której Osip Wilbuszewicz prowadził cieszącą się zasłużoną renomą aptekę. W 1890 roku przekazał ją swemu synowi Eugeniuszowi. Ten w 1905 roku otworzył przy niej laboratorium chemiczno-bakteriologiczne.



Paweł Nowik, 1908 r.

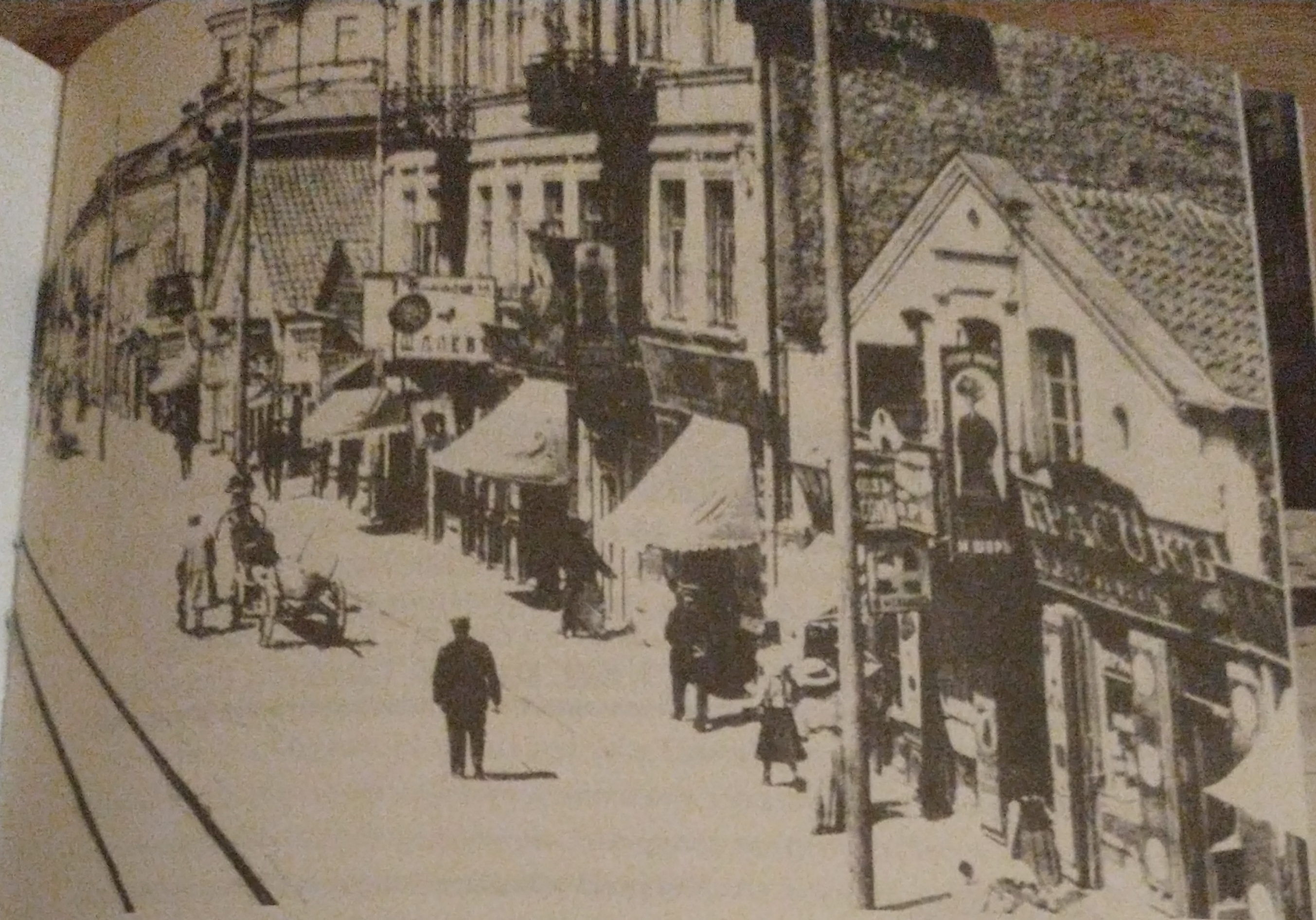
W okresie międzywojennym w kamienicy tej, obok apteki, zainstalował się Bank Spółdzielczy Właścicieli Nieruchomości. I to jest właśnie sedno sprawy. W nocy z 29 na 30 marca 1931 roku dyżur na rynku przypadł posterunkowemu Gawkowskiemu. Tamten marzec nie zapowiadał rychłej wiosny. Zmarznięty policjant chował się przed zacinającym śniegiem i deszczem w załomki rynkowych kamienic. Gdy tak stał w zaułku przy aptece Wilbuszewicza, około godziny 1.00 usłyszał „podejrzane szmery dochodzące z podwórka". Nie namyślając się, zajrzał na nie i w tym samym momencie minął go idący energicznym krokiem mężczyzna. Był elegancko ubrany. Na głowie miał cylinder, a całą postać skrywał nienagannie skrojony płaszcz. Gawkowski grzecznie, acz stanowczo spytał: „Kto pan jesteś?". Nieznajomy równie grzecznie odparł: „Eugeniusz Wilbuszewicz. Właściciel apteki". Na coś takiego policjant nabrać się nie dał. Wilbuszewicz był zbyt znaną postacią w mieście, aby byle goguś mógł się za niego podać. Na dodatek prowizor był starszym panem, miał wówczas 66 lat, i powszechnie było wiadomo, że ostatnio podupadł na zdrowiu (zmarł w grudniu 1931 roku). A tu jakiś energiczny dryblas i w dodatku o 1.00 w nocy! Dalej wszystko potoczyło się w okamgnieniu. Falsyfikat Wilbuszewicza, czując, co się święci, dał drapaka w nomen omen ulicę Ciemną (była to jedna z wielu nieistniejących obecnie uliczek pomiędzy rynkiem a Legionową). Gawkowski za nim, krzycząc, że będzie strzelał. Nieznajomy biegł dalej. Posterunkowy strzelił trzykrotnie i trzy razy trafił. Dwa razy w nogi i raz w część kręgosłupa pomiędzy nogami i plecami. Dopiero ten ostatni postrzał unieruchomił zbiega. Przewieziono go natychmiast karetką „Linas Hacedek" do szpitala św. Rocha na ulicę Piwną (obecnie Marii Skłodowskiej-Curie). Tu dopiero ustalono, kim był nieznajomy. Nie był to, rzecz jasna, szacowny prowizor farmacji, ale znany warszawski kasiarz Edward Zakrzewski. Pod eleganckim paltotem miał skryte świdry

i sznurową drabinkę. Okazało się, że chciał się włamać do Banku Właścicieli Nieruchomości, a nie do apteki, bowiem w bankowej ścianie widniały wyborowane dziury.

Białostocka policja natychmiast połączyła to wydarzenie z włamaniem, które miało miejsce poprzedniej nocy. Stało się to w sklepie z bronią i akcesoriami myśliwskimi Stanisława Homana. Ten pierwszorzędny magazyn mieścił się w dawnym klasztorze Sióstr Miłosierdzia. Włamywacze wywiercili otwór w suficie i po drabince zeszli do wnętrza sklepu. Ich łupem padła gotówka (412 zł), 13 rewolwerów i losy państwowej loterii.



Kapelusz wyprodukowany w fabryce C. Nowik i Synowie, lata 20. XX w.



Wąska ul. Lipowa vel Tykocka, 1910 r.

Kamienicznik dyktuje warunki

Mało kto dziś pamięta, że odcinek ulicy Lipowej pomiędzy Rynkiem Kościuszki a Malmeda w XIX wieku miał nazwę Tykocka. Białostoczanie zwali go też wąską Lipową z racji tego, że faktycznie od cerkwi aż do wzgórza św. Rocha ulica ta była znacznie szersza. Wąską Lipową tworzyły ciasno ustawione kamienice. Najokazalsza należała do Kalmana Goniądzkiego. Wznosiła się na rogu ulic Tykockiej i Ossorgińskiej, jak za czasów carskich nazywana była Spółdzielcza. Dalej stały mniejsze domy Halpernów, Słowiesów i duża kamienica Rachmiela Szpinmana. W niej znajdował się wyśmienity sklep z brzytwami, prowadzony przez Szymona Lwa. Furorę robiły brzytwy nazwane być może na cześć cara – Aleksander II. Jedna kosztowała 2 ruble i 25 kopiejek. Tańszym modelem był hrabia Tołstoj za rubel i 80 kopiejek, a zwykła prosta Łuna kosztowała zaledwie półtora rubelka.

Требуйте бритвы англiйск. стали „Магнитныя" съ фирмой Sch. L. Lew, Solingen готовыя къ употребленiю.

наилучшаго качества!

№ 1/0 . . 1 р. — к.
2/0 . . 1 р. 30 к.
3/0 . . 1 р. 60 к.
4/0 . . 2 р. — к.

Цѣна за шт. съ футляромъ

Бритва безоп. „Alexander II" 2 р. 25 к. Бритва-машинка „Гр Толстой" безоп. посеребр. №--15 1 р. 80 к. и № 20--2 р. 80 к. Бритва-машинка „Луна" № 30 съ 6 запасн. лезвiями въ футляръ 1 р. 50 к., № 35--2 р. 20 к. и № 40 посеребр. 2 р. 80 к.

Продается у пред. въ суконномъ маг. Ш. Л. Льва, Бѣлостокъ. Тыкоцкая, д. Шпинмана.

Reklama brzytew, 1913 r.

Tuż przed wybuchem I wojny światowej za kamienicą Szpinmana stanął podziwiany przez białostoczan dom Warnholtza, nazywany od charakterystycznego świetlika domem ze szklanym dachem. Sam właściciel dorobił się majątku, sprzedając instrumenty muzyczne. Tuż przed ulicą Kupiecką (obecnie Icchoka Malmeda) była duża kamienica Abrama Wellera. W niej mieścił się słynny sklep Gotlieba z rowerami, maszynami do szycia i gramofonami. Po przeciwnej stronie Tykockiej, tam gdzie obecnie jest hotel Cristal, pod numerem 5 uwagę przyciągała największa w tej pierzei kamienica Borucha Gwina. To do niego w 1912 roku przyszedł Konstanty Kosiński i wynajął tam pomieszczenia na redakcję pierwszego polskojęzycznego pisma w Białymstoku – „Gazety Białostockiej". U Gwina wynajmował też pomieszczenia Lejzor Kofman, który prowadził renomowaną, jedną z niewielu w Białymstoku, wytwórnię stempli i numeratorów. Na parterze tej kamienicy niejaki Grinhaus miał duży sklep z galanterią.



Konstanty Kosiński – redaktor „Gazety Białostockiej", 1911 r.

Jednym z lokatorów tej kamienicy, w której mieszkał również sam Gwin, był niejaki Cypin. Wynajmował on wygodne, pięciopokojowe mieszkanie. Od samego początku stosunki pomiędzy obu panami nie układały się najlepiej. Najpierw poszło o drzwi przejściowe do przedpokoju, jako że Gwin i Cypin tę część mieszkań i kuchnię mieli wspólną. W 1922 roku Cypin wystarał się w Urzędzie Mieszkaniowym o orzeczenie, które „zakazywało Gwinowi korzystanie z frontowego wejścia i kuchni". Reszta lokatorów z niemałym rozbawieniem obserwowała, jak Gwin do swego okrojonego mieszkanka wchodził kuchennym wejściem od podwórza, bo frontowym paradował Cypin. Ci, co brali stronę właściciela, pytali: „Kiedyż kamienicznicy zostaną zrównani w prawach z lokatorami?". A tymczasem pani Gwinowa zgodnie z zakazem korzystania z kuchni „musiała pitrasić jadło na prymusie". Pewnego dnia Gwinowie postanowili po obiedzie napić się herbaty. Gwinowa udała się więc z samowarem do kuchni, aby tam napełnić go wodą i rozpalić. Zauważył to natychmiast Cypin i w niewybredny sposób kazał się jej wynosić. W obronie małżonki i herbaty stanął Gwin. Tego lokator już nie wytrzymał, złapał samowar i wyrżnął nim w Gwinową głowę. Sprawa trafiła do sądu – Cypin został skazany na dwa tygodnie aresztu.

Pomimo tych kłopotów kamienica przy ulicy Lipowej przynosiła dobre dochody. Oprócz sklepów były w niej trzy pięciopokojowe mieszkania, trzy z czterema pokojami, trzy czteropokojowe i pięć mieszkań dwupokojowych. Wzbogacony na czynszach Gwin w 1920 roku kupił od Pinchusa i Riwy Korniańskich kamienicę przy Rynku Kościuszki pod siódemką. W niej wynajmował 38 pokoi. I właśnie po nabyciu tej rynkowej kamienicy wydarzyła się historia, która później krążyła jako anegdota. A poszło o… klozety.

Był kwiecień 1922 roku. Pewnego dnia lokatorzy obu kamienic z konsternacją stwierdzili, że wszystkie ubikacje zamknięte są na cztery spusty. Oburzeni udali się gremialnie do Gwina, a ten niczym babcia klozetowa oświadczył, że za wpuszczenie ich do wychodka życzy sobie dodatkowych, jednorazowych opłat. Żadne tłumaczenia i prośby nie skutkowały. Wobec tego lokatorzy udali się do Urzędu do Walki z Lichwą i Spekulacją. Urząd stanął po ich stronie. Nie dość, że nakazał Gwinowi otworzyć klozety, to jeszcze wymierzył mu grzywnę – 5 tys. marek. Kamienicznik ani myślał ustępować. Odwołał się do Warszawy. Ta stwierdziła, że czym jak czym, ale białostockimi wychodkami to się zajmować nie będzie i odesłała sprawę z powrotem do Białegostoku. Tu Gwin nie miał szans. W dodatku szalejąca inflacja z 5 tys. zrobiła 50 tys. Wściekły właściciel złożył klozetową apelację w Sądzie Okręgowym, dowodząc, że „w umowach najmu nie było mowy o klozetach, które wynoszą o wiele drożej niż całe komorne". Tym razem sąd uznał argumenty Gwina. Nieszczęśni lokatorzy, chcąc udać się tam, gdzie i król piechotą chodzi, musieli płacić i już.

Kolejnym nabytkiem Gwina była kamienica Tartackich przy Rynku pod numerem 9. Wybudowana została na początku XX wieku. Mieściła się w niej ulubiona przez białostoczan cukiernia Wacława Fijałkowskiego. W 1921 roku Tartaccy sprzedali kamienicę Polskiemu



Kamienica przy Rynku Kościuszki 7 (pierwsza od prawej), 1897 r.

Loydowi. W 1930 roku kolejnym właścicielem został Boruch Gwin. Nabył ją z całym dobrodziejstwem inwentarza, którym był przede wszystkim Dom Handlowy Braci Głowińskich. Istniał on od 1919 roku. Dwoma głównymi działami tego dużego jak na białostockie realia sklepu były towary kolonialne i alkohole. Głowińscy byli przedstawicielami wytwórni doskonałych lwowskich wódek Baczewskiego. Polecali też „największy wybór win zagranicznych, własnego rozlewu, win krajowych, miody, kawę, kakao, czekolady, karmelki śmietankowe, „Brzeźniszki" czekoladowe [co to takiego? – pojęcia nie mam!], tytonie, denaturat [też mi delikates!]" i jako nieodzowny rekwizyt alkoholowo-papierosiany – karty do gry. Bracia Głowińscy cieszyli się szacunkiem białostoczan, a ich sklep uchodził za jeden z najlepszych w mieście.



I oto w marcu 1939 roku po Białymstoku gruchnęła wieść, że dom handlowy, prowadzony już tylko przez jednego z braci – Henryka, będzie zlikwidowany. Powodem tego miała być drastyczna podwyżka czynszu. Dodatkowo właściciel kazał płacić należność za cały kwartał z góry. Oburzenie było tym większe, że poprzedni czynsz był i tak wyśrubowany. Sytuację tę wykorzystały natychmiast środowiska antysemickie. Prawicowa prasa grzmiała:

> rozumiemy doskonale politykę p. Gwina, ale przecież nie zmusi on nas do płacenia haraczu na rzecz wydalonych z Niemiec jego współplemieńców! [...] Na miejsce wyrugowanego Polaka, przyjdzie Żyd, by tym łatwiej zdusić młody polski handel [...]. Musimy tym panom Boruchom

Gwinom odpowiadać, że my jesteśmy gospodarzami tego kraju i że przybłędom z całego świata nie pozwolimy [...].

W obronie Henryka Głowińskiego prezes Rady Okręgowej Organizacji Kupiectwa Chrześcijańskiego, Wacław Sandomierski, złożył na ręce wojewody białostockiego Henryka Ostaszewskiego odpowiedni memoriał. Nie odniósł on oczekiwanego skutku. Dom Handlowy został zamknięty.

Inna historia przytrafiła się Boruchowi Gwinowi w związku z białostockim domem starców. Mieścił się on przy ulicy Kupieckiej 34 (obecnie Icchoka Malmeda). Instytucja ta notorycznie cierpiała na brak funduszy. Wreszcie zmęczony tym stanem rzeczy zarząd, na którego czele stał Benjamin Cytron, syn znanego fabrykanta, w 1936 roku podał się do dymisji. Zaczęto gorączkowe poszukiwania nowego prezesa. Wybór padł na Borucha Gwina. Już miał objąć tę prestiżową posadkę, gdy odkryto, że sam zainteresowany też jest dłużnikiem. Otóż swego czasu Gwin do przytułku postanowił oddać swoją matkę. Staruszka mieszkała w nim przez siedem lat, aż do śmierci. Szkopuł w tym, że Gwin nie płacił za jej pobyt. Kwota była niby niewielka, 40–50 gr dziennie, ale przez siedem lat uzbierało się tego 1200 zł. Przyszła prezesura jednak nie takie pieniądze była warta, Gwin więc szybko wyrównał długi i mógł już zasiąść w fotelu prezesa.

Wybuch II wojny światowej oznaczał kres tej historii. Kamienicznik Gwin nie mógł spokojnie żyć w zajętym przez Sowietów mieście. Jego sytuacja stawała się coraz bardziej stresująca. Miał też już swoje 67 lat. W połowie czerwca 1940 roku (inni twierdzili, że była to jesień) Gwin zasłabł na ulicy. Przybyły lekarz stwierdził atak serca. Jego żona, Miriam, widziała, jak w czerwcu płonie ich kamienica przy Rynku Kościuszki 7. 6 lipca 1943 roku w białostockim getcie zastrzelił ją niemiecki żołnierz. Kamienica przy ulicy Lipowej 5 spłonęła w lipcu 1944 roku.



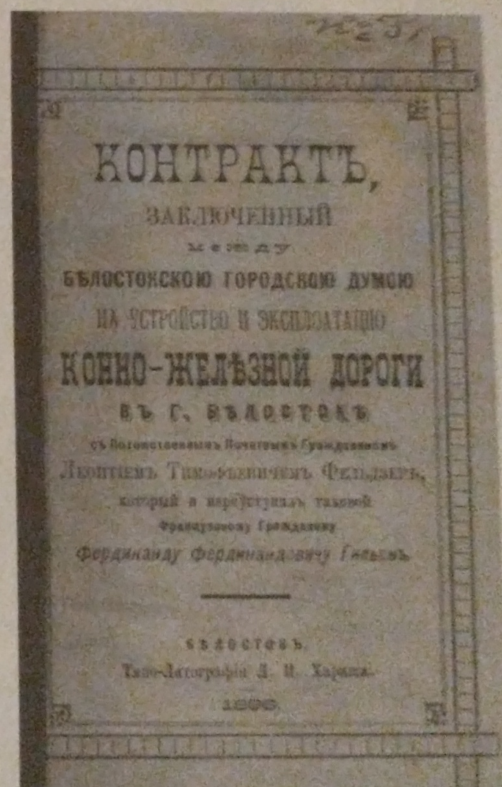


Konka u wylotu ul. Lipowej, 1900 r.

Konką przez miasto

W 1895 roku władze Białegostoku zawarły z Belgijskim Towarzystwem Akcyjnym kontrakt na budowę i eksploatację linii tramwaju konnego. Na okładce wydrukowanej broszury zawierającej ten dokument pysznił się światowo „Tramways de Bialystok". Białostoczanie, nieprzywykli do francuskich fanaberii, nazwali tę miejską nowość pieszczotliwie konką.

Jeszcze w tym samym roku przystąpiono do budowy. Wytyczone zostały dwie linie. Pierwsza prowadziła z dworca kolejowego ulicami Nowoszosową (obecnie Dąbrowskiego), Lipową, Tykocką (obecnie Lipowa na odcinku między ulicą Malmeda i Rynkiem Kościuszki), Bazarną (obecnie Rynek Kościuszki), Mikołajewską (obecnie Sienkiewicza), do dworca kolei poleskiej (Białystok Fabryczny). Druga rozpoczynała się z placu Bazarnego (obecnie Rynek Kościuszki) i wiodła ulicami Niemiecką (obecnie Kilińskiego), Instytucką (obecnie Pałacowa), Aleksandrowską (obecnie Warszawska), Prudską (obecnie Świętojańska). W miesiącach letnich linia ta przedłużana była przez Las Zwierzyniecki do „bufetów" – miejskiego letniska Rozkosz.



КОНТРАКТЪ,
ЗАКЛЮЧЕННЫЙ
между
БѢЛОСТОКСКОЮ ГОРОДСКОЮ ДУМОЮ
НА УСТРОЙСТВО И ЭКСПЛОАТАЦІЮ
КОННО-ЖЕЛѢЗНОЙ ДОРОГИ
ВЪ Г. БѢЛОСТОКѢ
съ Потомственнымъ Почетнымъ Гражданиномъ
Французскому Гражданину
БѢЛОСТОКЪ.

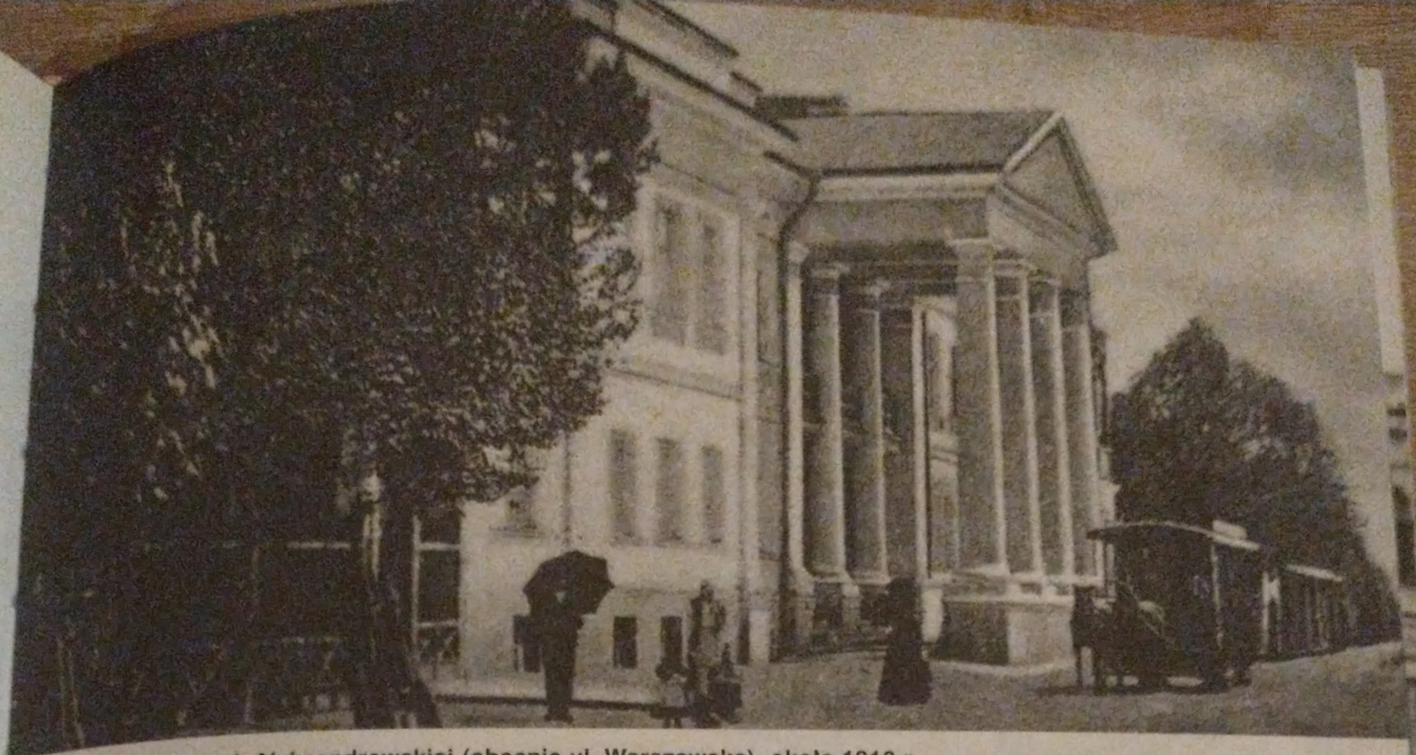
Kontrakt na budowę i eksploatację tramwaju konnego w Białymstoku, 1896 r.


Konka w Lesie Zwierzynieckim, 1910 r.

Wagony konki były I i II klasy. Latem po białostockich ulicach od godziny 7.00 rano do 23.00 wieczorem jeździły 23 odkryte, wyposażone jedynie w lekki daszek, wagoniki. Zimą w godzinach 7.00–21.00 pasażerowie mieli do dyspozycji 16 zabudowanych pojazdów. Ceny biletów były umiarkowane – od 3 do 8 kopiejek w zależności od klasy wagonu i trasy.

Zajezdnię tramwajową wybudowano przy końcu ulicy Prudskiej, to obecnie fragment Plant, pomiędzy ulicami Świętojańską, Akademicką i Skłodowskiej-Curie. Ta pierwsza w Białymstoku zbiorowa komunikacja miejska cieszyła się dużą popularnością. Wagoniki konki wpisały się doskonale w pejzaż miasta. Ale czy to z powodu nadmiernej eksploatacji czy może z szybkiego tempa budowy pasażerowie zaczęli narzekać na zły stan techniczny wagonów. Dokuczał on zwłaszcza zimą. Odnotowano liczne przypadki zamarzania hamulców, co powodowało, że ciężkie wagoniki najeżdżały na konie, raniąc je dotkliwie. Kroniki policyjne wspominały też zdarzenie z marca 1913 roku, kiedy to jadący z nadmierną prędkością wagonik wywrócił się. Wypadek miał miejsce nieopodal wiaduktu kolejowego. Prasa doniosła, że „damy powypadały na bruk i uległy potłuczeniu". Konka przestała kursować w 1915 roku po zajęciu Białegostoku przez Niemców. Wagoniki zmagazynowane zostały w zajezdni i tam niszczały, ale szyny tramwajowe jeszcze przez wiele lat leżały na białostockich ulicach.

Ostatni bodaj i to dosyć oryginalny kurs tramwajowy w Białymstoku odbył się w maju



Konka na ul. Aleksandrowskiej (obecnie ul. Warszawska), około 1910 r.

1919 roku. W mieście po odzyskaniu niepodległości doskwierał głód. Mieszkańcy wyczekiwali transportów mąki, cukru i ziemniaków. Te zaś przyjeżdżały na Dworzec Poleski przy ulicy Towarowej. I właśnie tam wieczorem 7 maja 1919 roku na końcowy przystanek nieczynnej konki niby widmo zajechał zaprzężony w dwa wychudzone konie wagon tramwajowy. W okamgnieniu załadowany został workami kartofli i ruszył w stronę miasta. Z Sienkiewicza skręcił w Warszawską i zatrzymał się na rogu Elektrycznej, gdzie łup został równie błyskawicznie rozładowany i wniesiony do niewielkiego sklepu. Całe to wydarzenie zauważył przechodzący ulicą żołnierz. Natychmiast o wszystkim powiadomił policję.

Pozostałe po konce tory inspirowały do przywrócenia tramwaju miejskiego. Stutysięczne wojewódzkie miasto nie miało przecież żadnej zbiorowej komunikacji. Cały czas myślano o tramwaju. Już we wrześniu 1921 roku do białostockiego magistratu wpłynęła oferta od dyrekcji Belgijskiego Towarzystwa Akcyjnego. Belgowie widać darzyli Białystok sentymentem. Rozmawiano rzecz jasna o tramwaju elektrycznym. Po pertraktacjach została podpisana z nimi umowa, która zobowiązywała ich do uruchomienia komunikacji. Jednak w 1924 roku na „wskutek niedotrzymania przez Akcyjne T-wo Tramwajów Białostockich umowy koncesyjnej" została ona zerwana. Przystąpiono do licytacji majątku.

Władze miejskie nie zrezygnowały jednak z planów realizacji tej inwestycji. Nadal działała powołana już wcześniej Komisja Tramwajowa. Zwróciła się ona do władz Torunia, Grudziądza, Bielska-Białej i Łodzi o nadesłanie umów, na mocy których w tych miastach zorganizowano komunikację tramwajową. Poproszono też dyrektora warszawskich tramwajów miejskich inżyniera Alfonsa Kühna o pomoc. W mieście wierzono, że „już może w niedługim

„Dziś nie będziemy mówić o tramwajach, lecz naprawdę nimi jeździć". Kluczową rolę w tej przeciągającej się sprawie odgrywał dyrektor białostockiej elektrowni Kazimierz Riegert, który był jednocześnie pełnomocnikiem belgijskiego towarzystwa eksploatacji tramwajów. Towarzystwo to, będące od 1895 roku głównym akcjonariuszem konki, skutecznie blokowało wszelkie poczynania władz Białegostoku. A że projektowany tramwaj miał być elektryczny, więc Riegert rozdawał w tej rozgrywce karty. W mieście panowała więc opinia, że „sprawa tramwajów posuwa się w żółwim tempie i zdaje się kwestią dalekiej przyszłości". I sprawa faktycznie ciągnęła się w nieskończoność.

Pomimo zerwania umowy w 1924 roku koncesja Belgów okazała się nadal obowiązująca. Do Brukseli jeździli więc kolejni przedstawiciele magistratu. I tak na początku 1927 roku z tramwajową misją udał się tam radny Samuel Edelsztejn. Niestety i on nic nie wskórał. Tymczasem Białystok przeżywał ogromne trudności z powodu braku sprawnej komunikacji publicznej. W 1929 roku koncesję na zorganizowanie komunikacji autobusowej otrzymała firma Samochód. Jej usługi wywoływały falę krytyki. Pisano, że „autobusy są niewygodne, obsadzone na zbyt wysokich podwoziach, trzęsą, kopcą i utrzymane są w stanie arcyniehigienicznym. Wnętrza brudne, siedzenia odrapane, podłoga stale zabłocona, obsługa ciężka, ubrana niechlujnie i często niesforna wobec publiczności". Pomimo tych niedostatków firma, jak szacowano, przewoziła 0,5 mln pasażerów rocznie, co przynosiło jej 100 tys. zł czystego zysku.

Opinia publiczna podnosiła po raz kolejny kwestię tramwajów. Upatrywano w nich i dochód dla miasta, i wygodę dla pasażerów. Sugerowano, że najbardziej opłacalnym będzie udzielenie koncesji do 1965 roku. Tramwaje miałyby kursować w godzinach od 7.00 do 23.00. Proponowano trzy linie, które były zmodyfikowaną trasą konki. Linia 1 zaczynać miałaby się na dworcu kolejowym i dalej przebiegać ulicami: Lipową, Rynkiem Kościuszki, Kilińskiego, Pałacową i kończyć się na Mickiewicza. Linia 2 startowałaby z Rynku i przez ulicę Sienkiewicza dochodzić miała do Dworca Poleskiego. Linia 3 uruchamiana miała być na czas letni i prowadziłaby ze Świętojańskiej do Zwierzyńca. Proponowano też „przerzucenie linii tramwajowej" do Supraśla i Wasilkowa. Pomysłodawcy podkreślali walory komunikacji tramwajowej. Jej bezawaryjność, punktualność i brak spalin. Niestety, lata, w których dyskutowano w Białymstoku o tramwajach, nie sprzyjały tej inwestycji. W pierwszej dekadzie po odzyskaniu niepodległości borykano się z niedostatkiem. Gdy już wydawało się, że Białystok stabilizuje się, przyszedł światowy kryzys gospodarczy. To on skutecznie przeciął dyskusję o budowie tramwaju.

W PRL-u o tramwajach mówiło się w Białymstoku jak o fantazji. I tak budując szeroką ulicę 1 Maja (obecnie Piłsudskiego), zamiast przygotować na niej torowiska, snuto mrzonki o tunelu pod ulicą Lipową. Gdy modernizowano układ komunikacyjny Białegostoku w okresie białostockiego przyspieszenia, to też nie dostrzeżono szansy budowy tramwajowej trakcji. I tak oto zamiast tramwaju mamy w Białymstoku jedynie wspomnienia o konce.



Kino Modern, 1912 r.

X muza w służbie PRL-u

W powojennej Polsce niewiele miast mogło się poszczycić nowoczesnym kinem z prawdziwego zdarzenia. A Białystok mógł. Kino Pokój, bo o nim mowa, zaliczano do najpiękniejszych w Polsce. Panowała w nim atmosfera nowości, wielkości i ekskluzywności, jak na ówczesne warunki oczywiście.

Dziś już nie można stwierdzić, czym kierowali się projektanci, gdy wybierali miejsce na kino. Może uznali, że białostoczanie przyzwyczajeni są, że na rogu ulic Lipowej i Nowego Światа musi ono być? W końcu od 1912 roku było w tym miejscu kino Modern, a po jego plajcie w 1937 roku wybudowano najnowocześniejsze w mieście kino Pan. Po sąsiedzku, przy ulicy Lipowej 18, znajdował się założony w 1913 roku kolejny – jak wówczas określano – elektro-teatr Wies Mir (Cały Świat), a za niemieckiej okupacji w latach 1915–1919 Ganze Welt. Plac przy ulicy Lipowej, wówczas ulicy Stalina, był więc po prostu skazany na kolejny przybytek X muzy.

Jego otwarcie zapowiedziano na 22 lipca 1952 roku. W przeddzień lipcowego święta poinformowano, że kino otrzyma ustaloną urzędowo nazwę Pokój. Prasa informowała

Kino Pan, po 1941 r. przemianowane na Capitol, lata 1941–1942



Spalone kino Pan, 1944 r.

w pompatycznym stylu, że „wypisanie tego napisu na froncie kina przypadło w udziale brygadzie sztukatorskiej Antoniego Leonowicza". Dalej wspomniała o podżegaczach wojennych, o „zwyrodniałych mordercach spokojnej ludności koreańskiej" i, co najważniejsze, dodawała, że „słowo pokój wyryte na budynku kina, które powstało z pracy robotników budowlanych, będzie zawsze przyświecać masom pracującym Białegostoku w walce o pokój i mobilizować do walki przeciwko podżegaczom do nowej wojny" (ni mniej, ni więcej odnosiło się to do idei pokoju propagowanej przez Związek Radziecki w przeciwieństwie do imperialistycznych zapędów Zachodu, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, oskarżanych o podżeganie do nowego konfliktu zbrojnego).

22 lipca wszystko było gotowe. No prawie wszystko. W wirze prac nie zwrócono większej uwagi na otoczenie kina, a to przypominało zaiste pobojowisko: porozrzucane i połamane deski, rusztowania, zwały gruzu. Gdy jednak goście przedarli się przez plac budowy, witały ich: obsługa kina, elegancko ubrana w brązowe kostiumy, przestronna klimatyzowana sala i wygodne fotele. W oczekiwaniu na seans widz mógł znaleźć „wygodny odpoczynek w jasnej i pięknie udekorowanej czytelni obficie zaopatrzonej w książki współczesnych pisarzy polskich i zagranicznych". Co ciekawe, jak podała później prasa przy okazji opisywania różnych akademii z okazji rocznicy rewolucji październikowej i Miesiąca Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, owe dekoracje stanowił ukwiecony portret Józefa Stalina. Pod jego marsowym obliczem rzeczywiście można było zagłębić się w lekturze zagranicznych publikacji, czyli... kompletów radzieckiej prasy i literatury z bratniego kraju. Już później, po latach, na ścianach pojawiły się fotosy znanych aktorów i scen z filmów, mające przyciągnąć kinomanów.

A gdy nadchodziła godzina seansu, widz przechodził do sali projekcyjnej. Mogła ona pomieścić aż 800 osób. Aby poprawić akustykę, ściany obito eternitem falistym, czyli cienkimi płytami azbestowo-cementowymi. Dzięki temu dźwięk miał się rozchodzić „równomiernie po całej sali, odbijając się od tylnej ściany obciągniętej ceratą. Należy podkreślić, że pomysł ten wyszedł od projektanta kina inż. architekta Zygmunta Rogulskiego". Zadbano także o to, by kinomani nie cierpieli z gorąca. Wspomnianemu inżynierowi Pokój zawdzięczał bowiem skuteczną wentylację, określoną jako „urządzenie klimatyzacyjne". Iście nowatorskim rozwiązaniem była podłoga widowni, wyłożona „specjalnym materiałem posadzkowym zwanym ksylolitem. Ksylolit jest twardy i trwały, a jednocześnie elastyczny".

Kino Pokój, lata 50. XX w.





Kino Pokój, około 1970 r.

Gdy w 1956 roku ukazał się bodaj pierwszy powojenny przewodnik turystyczny po Białymstoku, autorzy wspomnieli w nim o kinie. Pisali: „Na rogu ul. Nowy Świat znajduje się kino Pokój, w tym samym gmachu gustowna kawiarenka, w niej można otrzymać przysmak bałkański, buzę – napój z fermentującego mleka". Kawiarnia nazywała się „Kinowa" i jak zapewniano w reklamach, „mile spędza się w niej czas, a szczególnie czekając na rozpoczęcie seansu filmowego". Niepokój wzbudza tylko serwowana tam buza z zsiadłego mleka. Po takim napoju mało kto dotrwałby do końca seansu.

Od strony Nowego Świata znajdowała się jeszcze jedna sala. Kameralna. Zanim dana produkcja została pokazana szerszej publiczności, poddawano ją cenzurze: gromadziły się tam władze partyjne i oceniały, czy film nie zawiera szkodliwych dla państwa treści. Widać nie znalazły nic niebezpiecznego chociażby w filmie o Beatlesach *Help*, na który chętnie przychodziła młodzież. Były to też czasy, gdy kina nie samym filmem stały. Stanowiły też swego rodzaju domy kultury. I tak każdego roku 22 lipca odbywały tu koncerty dla przodowników pracy. Działał także klub miłośników filmu, organizowano dni filmu oczywiście radzieckiego.

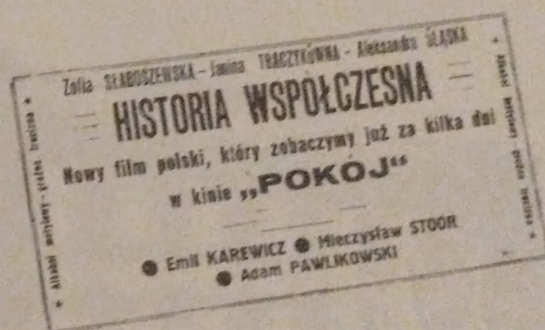
Kierownictwo kina dbało o sprowadzanie nowinek. W Pokoju po raz pierwszy białostoczanie oglądali filmy na szerokim, panoramicznym ekranie. Wkrótce też mogli docenić efekty stereofonii. Ale najważniejszy był repertuar. Kinomanów elektryzowały dwutygodniowe „Konfrontacje filmowe". Przed kinem stały potężne kolejki chętnych do obejrzenia zachodnich filmów, które wyświetlano tylko na dwóch, trzech seansach. Kto nie zdobył biletu, musiał obejść się smakiem albo rujnował się, kupując bilety od koników. Pokój miało rangę kina premierowego. Drugim takim było w Białymstoku kino Ton. W praktyce oznaczało

to, że filmy, które po raz pierwszy pojawiały się w rozpowszechnianiu, najpierw musiały pojawić się właśnie w Pokoju bądź w Tonie. Pierwsze cieszyło się większym splendorem. Nie bez znaczenia było to, że w tym samym budynku mieściła się wojewódzka administracja kinowa. Urzędnikom od kinowej polityki zależało więc na reputacji „swojego" kina. Tak więc w Pokoju prezentowano między innymi najgłośniejsze polskie realizacje. Nakręcone przez Jerzego Hoffmana dwie części *Potopu* wyświetlano przy ulicy Lipowej ponad miesiąc przy kompletach widowni. Na ostatnią część Hoffmanowej trylogii, *Ogniem i mieczem*, zjechał sam reżyser. Przywiózł ze sobą białostoczankę Izabellę Scorupco. W Pokoju wyświetlano też *Noce i dnie* Jerzego Antczaka. Film trwał cztery i pół godziny! Białostoczanie zjawiali się na seanse z kanapkami i termosami, twierdząc, że idą do kina na dzień i noc. Gdy nastał czas polskiego kina moralnego niepokoju, wszystkie filmy tego gatunku wyświetlano wyłącznie w Pokoju. Wtedy stał się on swoistym klubem towarzyskim. W foyer kinowym przed seansem można było spotkać całą miejscową śmietankę towarzyską.

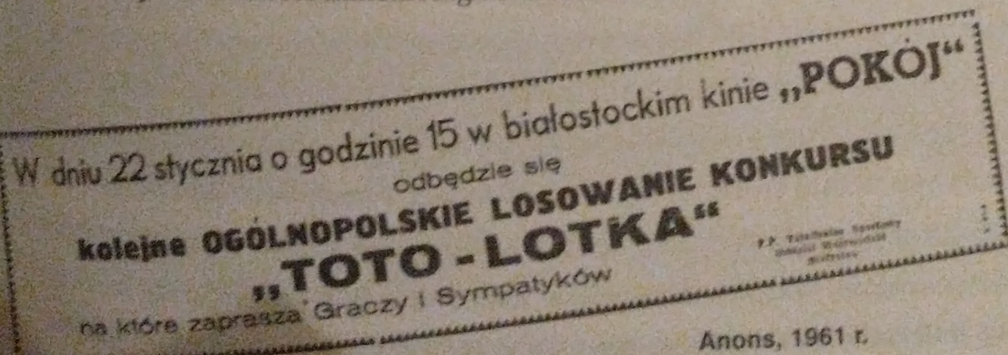
Budynek kina, przykład typowego budownictwa socrealizmu, przetrwał do dziś, chociaż w nieco zmienionej formie – w latach 70. pojawiła się szklana przybudówka. Nie ma w nim już jednak kina. Ostatni seans odbył się 28 sierpnia 2009 roku, kino zakończyło działalność filmem *Angielska robota*.



Dni Filmu Radzieckiego w kinie Pokój, lata 50. XX w.



Zapowiedź nowego filmu połączona z walką z alkoholizmem, 1961 r.



Anons, 1961 r.

11 tysięcy widzów obejrzało film „CZTERDZIESTY PIERWSZY"

Informacja prasowa, listopad 1957 r.



Pierwsza w Białymstoku buzna otwarta w kamienicy przy Rynku, 1913 r.

Buza z chałwą

Bodaj jedynym obszarem wielokulturowości, który nie budzi żadnych animozji i dyskusji, była i jest kuchnia. Przecież w dawnym Białymstoku byli Polacy, Żydzi, Rosjanie, Białorusini, Cyganie, Ukraińcy, Tatarzy, Niemcy, Francuzi, Litwini, Turcy i Macedończycy. Wszyscy dogadywali się ze sobą raz lepiej, raz gorzej, ale na kuchnię nie narzekali nigdy. Żydzi mieli swoje cymesy i kucheny, Rosjanie bliny, Litwini kindziuki, Tatarzy kołduny, Niemcy baumkucheny, strucle i sznycle, Turcy rachatłukum, ale do legendy miasta wpisała się jedynie macedońska buza. O niej to pisał Aleksander Brückner w 1927 roku, że to „z tureckiego boza, buza, napój z prosa albo z kukurydzy i nazwa bardzo rozgałęziona na Bałkanie", a w słowniku języka polskiego z 1958 roku zapisano, że „buza to napój orzeźwiający pochodzenia wschodniego, rodzaj kwasu sporządzanego zwykle z mąki owsianej albo prosa". Kariera buzy w Białymstoku zaczęła się w 1913 roku wraz z przyjazdem Macedończyków Biso Pejkowa i Najdo Stojanowicza. Wkrótce dołączyli do nich bracia Boszkow. Wszyscy uciekali z ogarniętych wojną Bałkanów. Pomysłem na nowe życie była buza. Do jej produkcji zamiast

kukurydzy użyli kaszy jęczmiennej. Wystarczyło jeszcze dodać drożdży, cukru, rodzynków i wszystko w odpowiednich proporcjach zalać wodą.

Pierwszą buznę, tak nazywano lokale, w których serwowano ten napój, otworzył Pejkow w 1913 roku przy placu Bazarnym (obecnie Rynku Kościuszki) w kamienicy Szapiry pod 26. To był szlagier. Moda na buzę, do której podawano obowiązkowo chałwę, ogarnęła miasto. Nic więc dziwnego, że gdy w 1913 roku otwarto hotel Ritz, to w nim oczywiście była też macedońska buzna. Ale idylla nie trwała długo. Latem 1915 roku Białystok szykował się do wojny. W mieście panował nastrój przygnębienia i wszechobecny chaos. Największym problemem było dostarczenie czystej, świeżej wody. Kłopoty mieli wszyscy, nawet tak renomowane firmy jak Ritz, no i oczywiście macedońskie buzny. Pod koniec lipca miasto obiegła informacja, jak to pewna dama z towarzystwa „poważnie zachorowała po wypiciu szklanki wody sodowej w sklepie t.zw. Macedończyków". To przykre wydarzenie miało miejsce właśnie w Ritzu. Za ten niewyobrażalny przed wojną skandal odpowiedzialnością obarczano inżyniera Dymitra Iljina, dyrektora wodociągów, który dostarczał niefiltrowaną wodę. Podejrzewano też, że przyczyną zatrucia mogły być brudne miedziane syfony, w których przetrzymywano wodę sodową. Wkrótce jednak problem buzy sam się rozwiązał. Rosjanie, wycofując się z Białegostoku, wywozili szkoły, fabryki, urzędy. Kazali ewakuować się i Macedończykom. Białystok został bez buzy.



Na parterze hotelu Ritz otwarta została kolejna buzna, 1913 r.





Przy ul. Mikołajewskiej (obecnie ul. Sienkiewicza) znajdowały się popularne buzny, 1916 r.

Buzna Mikołaja Murawiejskiego przy ul. Lipowej, około 1930 r.

Bałkańscy przybysze z wojennej tułaczki powrócili już w 1919 roku. Prasa z nieukrywaną radością komunikowała, że „kupcy macedońscy, którzy przed wojną posiadali u nas sklepy, powracają. Jeden sklep już otworzyli". Znajdował się on przy ulicy Sienkiewicza 15 w budynku hotelu, którego właścicielem był Wilhelm Ostrowski. Białostoczanie z miejsca udowodnili, że stara miłość nie rdzewieje. Sentyment do tego, co dobre i przedwojenne, był ogromny. Gwarantem ponownego sukcesu była stara zasada – niskie ceny i wysoka jakość. Napój zawładnął wyobraźnią i emocjami. Dochodziło do takich sytuacji jak ta z września 1921 roku, gdy w buznie przy ulicy Lipowej „pewien furman założył się ze swoim kolegą, że wypije 3 butelki buzy i zje 2 funty chałwy". Te dwa funty to około 1 kg. „Zakład wygrał, lecz niebawem zasłabł. Wezwano lekarza, który musiał udzielić mu pomocy". W 1922 roku pisano, że „Chałwa przedwojenna. Macedońska Buzna, Sienkiewicza 15, na święta wielkanocne wyrobiła wielki zapas i wybór niezrównanej jakości chałwy przedwojennej, którą sprzedaje po cenach bardzo przystępnych".

W tymże 1922 roku donoszono, że „wyrabiana przez Macedończyków w Białymstoku chałwa obecnie dostarczana jest nawet do Warszawy". Popyt na chałwę wzrastał. Buzę od biedy moż-

na było zrobić sobie samemu w domu. Lepsza czy gorsza, zawsze buzowała. Ale z chałwą to już poważniejsza sprawa. Buzny nie nadążały z jej produkcją. Tak więc we wrześniu 1924 roku uruchomiona została w Białymstoku fabryka chałwy. Jej założycielami byli dwaj Żydzi – Jakub Szwarc i Owsiej Epsztajn. Fabryczka znajdowała się na posesji Szwarca przy ulicy Żydowskiej 22 (obecnie Białówny). Miejsce wyśmienite, bo przecież wszystkie białostockie buzny zlokalizowane były w pobliżu, przy Lipowej, Rynku, Sienkiewicza i w Ritzu. Oprócz Macedończyków zaczęli je zakładać także Żydzi. Jeden z nich, Bilbel Nowieski, z powodzeniem prowadził, jak to czasem pisano, buznie przy Lipowej 25. W czerwcu 1924 roku do buzującego interesu, właśnie za sprawą Nowieskiego, dołączył Mikołaj Murawiejski. W rejestrze handlowym białostockiego sądu okręgowego zapisano pod numerem 2687: „Firma przedsiębiorstwa: Buznia – Bilbel Nowieski. Przedmiot: utrzymanie kawiarni i buzni. Siedziba: Białystok, Lipowa Nr 25. Właściciel: Bilbel Nowieski, zamieszkały w Białymstoku przy ul. Lipowej pod nr 25. Do zarządzania i prowadzenia kawiarni i buzni w Białymstoku upoważniony został Mikołaj Murawiejski". Wkrótce jego lokal został uznany za najlepszy w mieście. W październiku 1927 roku prasa białostocka informowała, że „w żadnej z tutejszych buznych nie można dostać tak smacznie uszykowanego napoju tego". Porównując wystrój lokalu Murawiejskiego z innymi zauważano, że „lokal buznej po gruntownym remoncie został powiększony, posiada cały szereg oddzielnych stolików, robi wrażenie dobrej cukierni". Asortyment też był na odpowiednim poziomie, choć konkurencyjne buzny wcale mu nie ustępowały. „Oprócz buzy można było łakomić się słodyczami wschodnimi, chałwą, rachatłukumem i innymi. Zakład miał wielki wybór czekolady, rozmaitych słodyczy krajowego wyrobu, owoce". Białostoczanie docenili wnet, że „czysty i widny lokal oraz dużo światła, wszystko to robi z tej buznej przyjemny kącik".

Macedończycy nie dawali za wygraną. Doceniając sukces Murawiejskiego, przystąpili do ofensywy. W styczniu 1927 roku przy ulicy Sienkiewicza 2 otwarta została nowa buzna. Jej oficjalna nazwa brzmiała Centralna Macedońska Buzna i Kawiarnia Bałkan. Jej właściciel, Tancze Boszkow, który mieszkał w tym samym budynku, dziarsko zabrał się za odrabianie dystansu do Murawiejskiego. Na urządzonej wiosną 1927 roku w Białymstoku Wielkiej Wystawie Przemysłu Krajowego za wyroby swojej firmy Bałkan otrzymał dyplom. Nie był to pierwszy wystawowy sukces Macedończyka. Już w 1925 roku Boszkow wysłał swoje wyroby na II Międzynarodową Wystawę do Brukseli. Jury po degustacji orzekło, że buza, chałwa i inne specjały z Białegostoku są „dobre i nieszkodliwe dla zdrowia" i przyznało mu złoty medal. Ale największy sukces przyszedł w 1927 roku. Tancze Boszkow na kolejnej Wielkiej Wystawie, tym razem w Paryżu, otrzymał Diplóme de Grand Prix avec Médaille d'Or. Informacja o tym zaszczycie do Białegostoku dotarła dopiero w 1928 roku. Pisano, że „białostocka firma wyrobów słodyczy wschodnich Tańcze Boszkow otrzymała za wystawione na Exposition du Bien Entre w Paryżu w r. 1927 eksponaty swych wyrobów (rachatłukum, chałwa, syropy i in.) dyplom Grand Prix ze złotym medalem". Macedończycy, wiedzeni tymi sukcesami, nie ograniczali się

już tylko do buzy z chałwą. Boszkow w swoim głównym lokalu przy ulicy Sienkiewicza i w filii w Ritzu polecał „nowoczesne słodycze wschodnie, a także wielki wybór czekolady najlepszych gatunków" oraz „lody pierwszorzędnej jakości". W tym samym 1927 roku białostocka buza rozpoczęła swoją ekspansję. Nestor buzowników, Biso Pejkow, który nadal z powodzeniem prowadził buznę przy Rynku Kościuszki 26, latem tegoż roku otworzył lokal w Grodnie przy ulicy Dominikańskiej 28. Grodnian zachęcał reklamowym hasłem „Spieszcie się przekonać".

Z chwilą wkroczenia do buzującego interesu Murawiejskiego Macedończycy, być może czując się zagrożeni utratą monopolu, zaczęli też stosować nowoczesny jak na owe czasy marketing. Celem, jaki chcieli osiągnąć, było podkreślenie ich wyjątkowości. Za przykładem Boszkowa, który swoją buznę nazwał Bałkan, poszedł Najdo Stojanowicz z ulicy Sienkiewicza 14 i zaczął promować się pod nazwą Orient. Tradycją macedońskich buzn było oprócz szykowania specjalnych ofert świątecznych także składanie życzeń stałym i potencjalnym klientom. Niezwykły zabieg reklamowy zastosował Boszkow w 1935 roku. Wiedząc, że przez radio transmitowany będzie koncert słynnego kantora Kusowitskiego, wystawił przed swoim lokalem głośniki. Przed buzną zgromadził się tłum słuchaczy. Oczywiście, po koncercie wszyscy rzucili się na buzę z chałwą. Były też w tym lokalu niezamierzone przez właściciela elementy politycznej pseudoreklamy. Otóż jesienią 1935 roku zadomowił się w nim pewien jegomość, nieukrywający swych sympatii do faszystowskiego dyktatora Włoch, Benito Mussoliniego. Indywiduum to nawet upozowało się na włoskiego Duce i co najważniejsze, kazało tytułować się per Mussolini. I to też okazało się magnesem przyciągającym klientów. Wszyscy chcieli napić się buzy z Duce. Komu bardziej buzowało w głowie? To już pozostawiam bez odpowiedzi.

Ale były też buzny miejscem nieobyczajnych incydentów. Szokowały one białostoczan, bo lokale te uchodziły za oazy spokoju i dobrych obyczajów. Tym bardziej piętnowano to, co zdarzyło się wiosną 1932 roku w buźnie Temelki Stojanowicza przy ulicy Lipowej 16. Ruch w lokalu był spory, gdy nagle weszło do niego „6 nieznanych osobników". Nie było w tym nic nadzwyczajnego, więc mało kto zwrócił na nich uwagę. Panowie zamówili buzę z chałwą. Gdy zostali obsłużeni, zaczęli wśród śmiechów i niewybrednych słów rozlewać buzę na podłogę i stoliki. Przywołany przez personel Stojanowicz zwrócił im uwagę na niestosowność takiego zachowania. To wywołało atak. Młodzieńcy wyraźnie nabuzowani innymi napojami, awanturując się, rozbili gablotę, w której znajdowały się reklamowe prospekty i menu. Tego im było za mało. Wybili więc szybę wystawową buzny i uciekli. Stojanowicz wybiegł za nimi na ulicę i przy pomocy policjanta zatrzymał jednego z awanturników. Wkrótce cała kompania spotkała się w sądzie.

Po wojnie Macedończyków w Białymstoku już nie było. Pozostała jednak buza, tyle że robiona domowymi sposobami. Z czasem zaczęły ją wypierać rozmaite oranżady, lemoniady i inne gazowane napoje. Dziś tylko w kilku białostockich lokalach można zamówić szklankę buzy z obowiązkowo serwowaną do niej chałwą.

Lotnisko na Krywlanach, 1937 r.

Pogoń za lotniskiem

Historia białostockiego lotniska to lokalna wersja popularnej piosenki Skaldów z 1967 roku o gonieniu króliczka. W piosence jednak chodziło tylko o nic nieznaczącą sytuację męsko-damską, gdy tymczasem w sprawie lotniska występującego jako króliczek idzie o marzenia zbiorowe. Zajrzyjmy więc do historii białostockiej awiacji.

Gonienie króliczka po białostocku sięga 1911 roku. Wtedy to bowiem odbył się pierwszy pokazowy lot aeroplanu w mieście w wykonaniu pioniera polskiego lotnictwa – hrabiego Michała Scipio del Campo. Ale miał też Białystok i swojego asa przestworzy, Jana Awinosa. Cóż za piękne nazwisko dla lotnika. To jakby z genami przodków i ich rodowym zawołaniem otrzymać nosa do awiacji. Był rodowitym białostoczaninem, absolwentem miejscowej szkoły realnej, która mieściła się w gmachu na rogu ulic Warszawskiej i Kościelnej. Niestety, fascynacja przestworzami skończyła się dla niego tragicznie. 29 sierpnia 1913 roku, odbywając lot w okolicach Petersburga, „spadł ze swym monoplanem". Ciężko rannego śmiałka przewieziono natychmiast do szpitala, w którym po godzinie zmarł. Tymczasem w mieście fascynacja podniebnymi wyczynami trwała nadal. „Gazeta Białostocka" z 20 stycznia 1913 roku donosiła, że „białostoczanie byli bardzo zaciekawieni zjawieniem się jakiegoś tajemniczego aeroplanu, który dwa razy już bujał się wieczorem nad miastem".

Kolejne „bujanie" nad Białymstokiem nie było już przyjemne. Rankiem, 20 kwietnia 1915 roku, nad miasto przyleciało 15 niemieckich samolotów. Ciekawscy białostoczanie wylegli na ulice, aby przyglądać się temu, jak sądzili, widowisku. Niestety, okazało się, że było to pierwsze w dziejach miasta bombardowanie. Zrzucono ponoć 150 bomb. W wyniku wybuchów zginęło 13 osób, a 34 zostały ciężko ranne. Trwała wojna. W nocy nad miasto nadlatywały bezszmerowo sterowce zwane od nazwiska konstruktora zeppelinami. Ich celem była stacja kolejowa. Jednemu z lotników udało się zrzucić bombę wprost w stojący na bocznicy wagon z amunicją. Potężna eksplozja postawiła na nogi całe miasto. Ale były i momenty humorystyczne. Białystok stanął jak wryty, gdy niemiecki lotnik trafił bombą w stojący na rynku stragan z pierzem. Można śmiało przypuszczać, że sam sprawca szeptał do siebie: „*Mein Gott*, co ja narobiłem".

W 1919 roku, wraz z odzyskaniem niepodległości, w Białymstoku zainstalowała się 1. eskadra wywiadowcza, którą dowodził porucznik Henryk Skoczdopole. Lotnicy mieszkali w pałacu hrabiny Zofii Rüdygier na Dojlidach, a samoloty trzymali na rozległej łące tuż za browarem. To było pierwsze białostockie lotnisko.

Jednak ambicji lokalnych notabli zadowalać nie mogła prowincjonalnie wyglądająca łąka za browarem. Dlatego też w czerwcu 1926 roku wojewoda białostocki Marian Rembowski i działacze Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej podjęli decyzję o budowie nowego lotniska. W tym celu w kwietniu 1927 roku do Białegostoku przyjechała komisja lotnicza, aby wskazać nową lokalizację. Wybrano łąki podmiejskiej wsi Krywlany. Wszystkich ogarnął



1. eskadra lotnicza stacjonująca na Krywlanach, 1919 r.



Dowództwo 1. eskadry lotniczej mieściło się w pałacu Lubomirskich na Dojlidach, 1919 r.

entuzjazm. W mieście zaczął ukazywać się miesięcznik „Wiadomości Lotnicze", który w latach 1927–1930 wydawał Marian Wojewódzki. W 1930 roku Białystok zelektryzowała wiadomość, że już na wiosnę następnego roku miasto będzie miało „stację lotniczą". Właśnie planowano uruchomienie linii pasażerskiej Ryga – Wilno – Warszawa i jak nic pasowało, aby jeszcze wylądować nad Białą. Ustalono więc, że gdy tylko zima z 1930 na 1931 się skończy, to ruszą prace w majątku Dojlidy, gdzie planowano ulokować „stację". Ogólny kryzys gospodarczy opóźnił jednak realizację tego ambitnego planu. Ucierpiały też z tego powodu loty do Rygi, które przełożono na lato 1931 roku. W tej sprawie trwały natomiast permanentne „konferencje polsko-łotewskie". Białystok jednak, nie bacząc na ogólny marazm i gadulstwo, szykował się. Nawet ogłoszono, że „przy pracach nad urządzeniem lotniska winni znaleźć zajęcie liczni bezrobotni z Białegostoku". Sprecyzowanie i ogłoszenie tej myśli spowodowało kolejne przesunięcie terminów. Szczęśliwie, że był kryzys i o wszystko można było go winić. Dopiero 29 kwietnia 1932 roku został uroczyście podpisany akt notarialny. Stanęli do niego właściciel Dojlid Janusz Rafał Lubomirski i reprezentujący skarb państwa wojewoda białostocki Marian Zyndram-Kościałkowski. W mieście zaczęto organizować zbiórki pieniężne na budowę lotniska. Wiadomość, że wreszcie ruszą prace budowlane, przyjęta została entuzjastycznie. Pierwszy z pomocą zjawił się Mikołaj Kawelin, który ze swojego tartaku podarował deski na hangary.

Zainteresowanie lotnictwem graniczące z euforią podsycały jeszcze sukcesy polskich pilotów. Gdy 11 września 1932 roku zginęło dwóch najsłynniejszych – Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura, to już 24 września Rada Miejska uchwaliła, że ich imię będzie nosiła ulica Pałacowa. Gdy w 1933 roku kapitan Stanisław Skarżyński maleńkim, turystycznym samolocikiem przeleciał Atlantyk z Senegalu do Brazylii, to już miał w Białymstoku pamiątkowy głaz u zbiegu ulic Wołodyjowskiego i 11 Listopada, który po dziś dzień jest w Zwierzyńcu. W 1936 roku dochód z występu gwiazdy kabaretów warszawskich, Lody Halamy, która bawiła białostoczan w sali kina Świat (obecnie Ton), przeznaczony został na budowę hangarów na Krywlanach.

Goniąc za lotniczym króliczkiem, wszyscy – władze i obywatele – zdawali się trwać w awiacyjnym amoku. Ne baczyli, że ich marzenia i rzeczywistość to dwa krańcowo różne byty. Ten niezwykły stan opisał w 1929 roku anonimowy felietonista miejscowego tygodnika „Prożektor”. Jego dziełko zatytułowane *Białystok w roku 2029 (quasi una fantasia)* brzmi i dziś niczym fantazja. Wizja, którą miał w 1929 roku żurnalista, zaczęła się w teatrze. Pisał więc, że teatry, do których on chodzi, „zaliczyć można do jakiejś szopy na rewizyty”. Ten, który stanie w 2029 roku,

> pomieścić może do dziesięciu tysięcy widzów [tamten przeznaczony był zaledwie dla kilkuset osób – A.L.]. Dziś scena tego teatru jest dostosowana do urządzania przedstawień nie tylko scenicznych, lecz i filmowych. Wnętrze teatru naszego jest takiej konstrukcji akustycznej i głośnikowej, że dziesięć tysięcy widzów jednakowo widzi i słyszy bez względu na zajmowane miejsca.

Dalej wizjoner w podobnym tonie zajął się kinami i służbą zdrowia. Tu już było trochę o lotnictwie, gdy bujając w obłokach swoich fantazji, pisał, że „w pięć minut po powiadomieniu stacji dyżurów lekarskich telefonem bez drutu przybywa lekarz aeroplanem, mając możność poziomego wznoszenia się z miejsca wyjazdu, jak również w poziomy sposób opuszczania się na gładki dach, gdzie mieszka chory”. A jak będzie wyglądać Białystok? „Tam, gdzie kiedyś były stragany i jatki mięsne, gdzie harce wyprawiały szczury i koty, dziś mamy najwspanialszą dzielnicę miasta, tam, gdzie kiedyś była najgorzej prezentująca się dzielnica miasta – Chanajki, dziś mamy stację samolotową”. Znikną też wykoślawione białostockie bruki i „auta starożytnej konstrukcji, a zastąpią je auta-samoloty”.

Ku zaskoczeniu wszystkich marzenia o pasażerskich lotach z Białegostoku ziściły się w 1945 roku. Wychodząca w mieście gazeta „Jedność Narodowa” informowała:

> w dniu 28 kwietnia o godzinie 11.50 nastąpiło otwarcie Polskich Linii Lotniczych LOT w Białymstoku. Na uroczystość otwarcia przybyli z Warszawy samolotem pasażerskim typu Douglas, Minister Poczt i Telegrafów Kapeliński, wiceminister Komunikacji Olewiński oraz Dyrektor linii lotniczych Zieliński wraz z personelem. Ponadto wziął w uroczystości otwarcia udział płk

sztabu wojsk sowieckich płk Worszennikow. Przedstawiciele władz zabawili w Białymstoku godzinę, poczem odlecieli do Warszawy.

Od 30 kwietnia 1945 roku loty na trasie Warszawa – Białystok – Warszawa dostępne były „dla ludności cywilnej". Uwaga była jedna: „korzystać z niej będą mogli wszyscy oddelegowani służbowo, a w miarę wolnych miejsc i inni". Bilety sprzedawane były na poczcie. Samoloty startowały z Krywlan o godzinie 12.50 i po 50 minutach były już w stolicy. Informowano też, że LOT przewozić będzie też „pocztę codzienną i czasopisma". Niestety wkrótce loty pasażerskie do Warszawy zawieszono. Stan ten trwa do dziś. Pozostaje jedynie myśl, że patrona dla białostockiego portu lotniczego już mamy – Jana Awinosa.



Kamień upamiętniający wyczyn kpt. Stanisława Skarżyńskiego, 1933 r.



Sala Domu Żołnierza przy ul. Mikołajewskiej (obecnie ul. Sienkiewicza), 1916 r.

Książę i cukierpuszki

Okupacja niemiecka Białegostoku w latach 1915–1919 miała różne, często zaskakujące oblicza. Oto jedno z nich. Wspominano, że „ponieważ okupacja Białegostoku trwała parę lat, a wojsko niemieckie miało jeszcze zamiar te zajęte tereny przetrzymać w swoim posiadaniu długo – niemieccy żołnierze zadomowili się tu na dobre". Krótko rzecz ujmując, stworzyli tu sobie namiastkę rodzinnego życia. Wcale nie zniewalali niedostępnych białostoczanek. Korzyści były obopólne. Niemcy zyskiwali ukojenie, a ich partnerki dostatnie życie. Wspominano, że „nie były to wcale jakieś przelotne miłostki czy flirty. Prawie każda feldfeblowska bogdanka afiszowała się swym oblubieńcem i gdy pierwsze lody zostały przełamane, kochanice oficerskie wprowadzały się do mieszkania zakochanego Hansa czy Fritza, utrwalając zadzierzgnięty stosunek w konkubinat". Zjawisko było powszechne, a przykład szedł z góry. Białystok miał bowiem nader kochliwego bürgermeistera Lehmana. Szkopuł w tym, że jego pasją były „mężatki z najlepszego towarzystwa". Skandalem zakończył się jego romans z „pewną panią G." Mąż pani G., gdy dowiedział się o zbyt poufałych kontaktach swej małżonki z burmistrzem, „urządzał bewerie, publiczne skandale, lecz wskórało to tyle,

że wojskowa policja zaczęła coraz częściej zaglądać do zdradzonego Otella i prześladować go na każdym kroku". Nerwy puściły też i Lehmanowi, który poirytowany tą sytuacją wezwał do siebie pana G. i zażądał, aby ten natychmiast rozwiódł się ze swą małżonką.

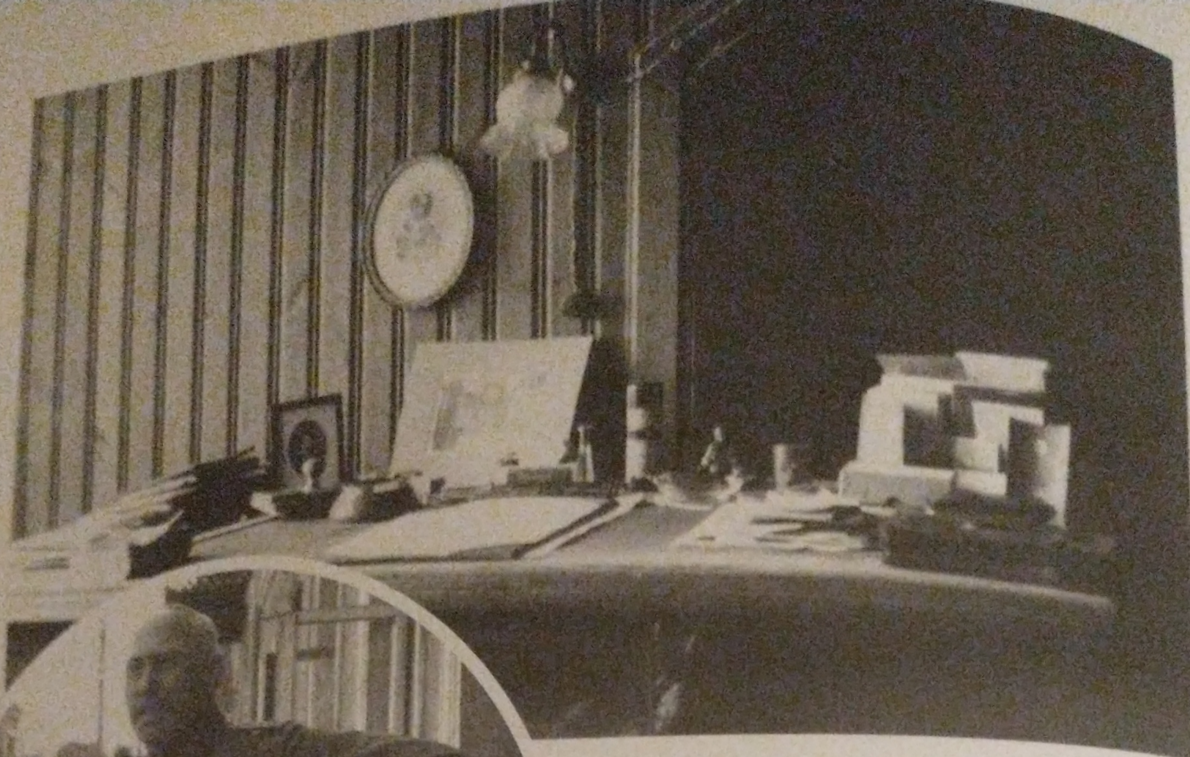
Czasem uczucia splatały się z biznesem. Z zachowanych wspomnień białostoczanina Stefana Brzostowskiego dowiadujemy się, że

> najbardziej popłatnym interesem w owych czasach był nielegalny przemyt oraz handel cukrem. Z powodu zakazu wolnego obrotu cukrem musiano na jego import uzyskiwać zezwolenie władz. I tu właśnie oferowały swe usługi kochanki oficerów niemieckich, które wpływały na swych wielbicieli, by albo wydali zezwolenie na handel cukrem, lub zdejmowali z zajętego cukru rekwizycję.

Panie wplątane w te biznesowe konszachty zaczęto nazywać w mieście cukierpuszkami. Brzostowski dodawał, że „nazwa ta kryje w sobie niezmiernie dużo złośliwości, jeśli zauważyć, że obdarzono nią kobiety robiące w interesie cukrzanym". Z czasem kompletnie zatracono



Koncert niemieckiej orkiestry na Rynku, 1916 r.



Kwatera oficerska przy ul. Aleksandrowskiej (obecnie ul. Warszawska), 1917 r.



Dowódca wojsk inżynieryjnych Höfig na balkonie w biurze przy ul. Mikołajewskiej (obecnie ul. Sienkiewicza), 1916 r.

granice przyzwoitości. W mieście powstawały w prywatnych mieszkaniach lokale „dla różnych hulanek oficerów niemieckich z cukierpuszkami". Ponoć najwytworniejszy i najbardziej znany był przy ulicy Nowy Świat 25. Tu w jednym z pokoi urządzono nawet scenę z kurtyną, która „miała służyć jako miejsce następujących ponętnych widowisk. Miały się na niej ukazywać przeróżne tańce i piosenki. Rozumie się, że piosenki i tańce służyły tylko jako pozór do bardziej wybrednych ewolucji", w których występowały roznegliżowane cukierpuszki. Gdy oficerowie urządzali sobie orgie w eleganckich mieszkaniach, to ich podwładnym pozostały tak zwane „hale herbaciane". Opisywano, że „były to duże, przestronne sklepy, w których można było za parę fenigów dostać herbatę osłodzoną sacharyną. Tak wyglądało to oficjalnie. Faktycznie jednak rzecz się miała trochę inaczej. Zwykle hale herbaciane miewały ustronne gabineciki, gdzie nimfy białostockie oferowały swe usługi".

Wkrótce jednak pojawił się problem chorób wenerycznych. Wobec tego dowództwo niemieckie zakazało żołnierzom utrzymywania jakichkolwiek kontaktów, w tym rozmów, z miejscowymi kobietami. Siła natury i okupacyjna monotonia były jednak mocniejsze od groźby sądu wojskowego. Obydwie strony szybko znalazły więc sposób na ominięcie tego zakazu. W praktyce wyglądało to tak, że

> po ulicy chodził sobie żołnierz lub oficer niemiecki i patrząc pogodnie przed siebie, głośno coś mówił, przy tym do wyimaginowanego rozmówcy zwracał się zawsze jak do kobiety. Przyjrzawszy się uważniej, można było zauważyć tę lub ową białostoczankę, która również nie mając nikogo obok siebie, w odległości 5–6 kroków od żołnierza także samo monologowała. Dziwnym trafem zdania obydwóch monologistów żołnierza i dziewczyny, składały się w jedną harmonijną całość.

Cały ten tłumek „ustawionych w tyralierkę i monologizujących żarliwie" powoli kierował się ulicą Świętojańską do Zwierzyńca. Tam już zmrok skrywał to wszystko, czego zakazywały wojskowe rozkazy.

Bohaterem tych obyczajowych ekscesów był też syn cesarza niemieckiego Wilhelma II, książę August Wilhelm. Przyjechał do Białegostoku w lutym 1917 roku i jako Kreishauptmann pozostał tu blisko dwa lata. Zamieszkał w Supraślu w wygodnym, dobrze urządzonym pałacu Buchholtzów. Nie minęło wiele czasu, jak po Białymstoku zaczęły krążyć pyszne ploteczki o Jego Wysokości. Książę miał bowiem w zwyczaju od czasu do czasu przechadzać się po białostockim rynku. Czynił to bynajmniej nie dla parady. Osobiście przy okazji owych spacerów „ściągał z pleców i rekwirował przekupkom produkty żywnościowe". Tego już białostoczanie pojąć nie mogli. Jakże to, cesarski syn, a charakter i zachowanie jak u carskiego stupajki. Ale to jeszcze nie wszystkie książęce wyczyny. August Wilhelm swą błękitną krwią szafował nad wyraz hojnie i niezbyt rozsądnie, biorąc udział w „różnych orgiach erotycznych". Miasto obiegła opowieść o przygodzie pewnego białostockiego zecera. Zbliżał się wieczór. Zecer wracał po całym dniu pracy do domu. Szedł w kierunku Antoniuka. Gdy mijał „pewien domek otoczony ogrodem", zauważył przez niezasłonięte okno „parkę przebywającą w danej chwili w błogosławionej pozie". Widok był tak zajmujący, że zecer po wielogodzinnym wpatrywaniu się w czcionki postanowił nasycić oko czymś ponętniejszym. Tak się zagapił w ukazujące się przed nim wdzięki, że zaczepił nogą o leżącą gałąź i narobił hałasu. Na to „przestraszona parka oderwała się gwałtownie i odwróciła się w stronę trzasku. Ku swemu zdumieniu i przestrachowi ujrzał zecer przed sobą samego księcia z pewną kokotą białostocką". Oniemiały, stał jak słup soli. Książę wyskoczył do niego i bez namysłu uderzył go w twarz, a następnie odwrócił struchlałego zecera i wymierzył mu potężnego „książęcego kopniaka w wygódkę obcowania".

Wojna się zakończyła, zniknęły cukierpuszki. Ale jeszcze przez wiele lat plotkarski Białystok pamiętał co poniektórym paniom ich naganne kontakty z okupantem.



Białostoczanie chodzili i jeździli, nie przestrzegając żadnych zasad ruchu. Ulica Lipowa, 1897 r.

Nauka chodzenia po chodniku

Spacerowanie po chodnikach wydaje się czynnością prozaiczną. Ot, idziemy i tyle. Ale to tylko pozór. Trzeba po nich umieć chodzić. Przekonali się o tym białostoczanie w sierpniu 1915 roku, gdy Białystok zajęli Niemcy.

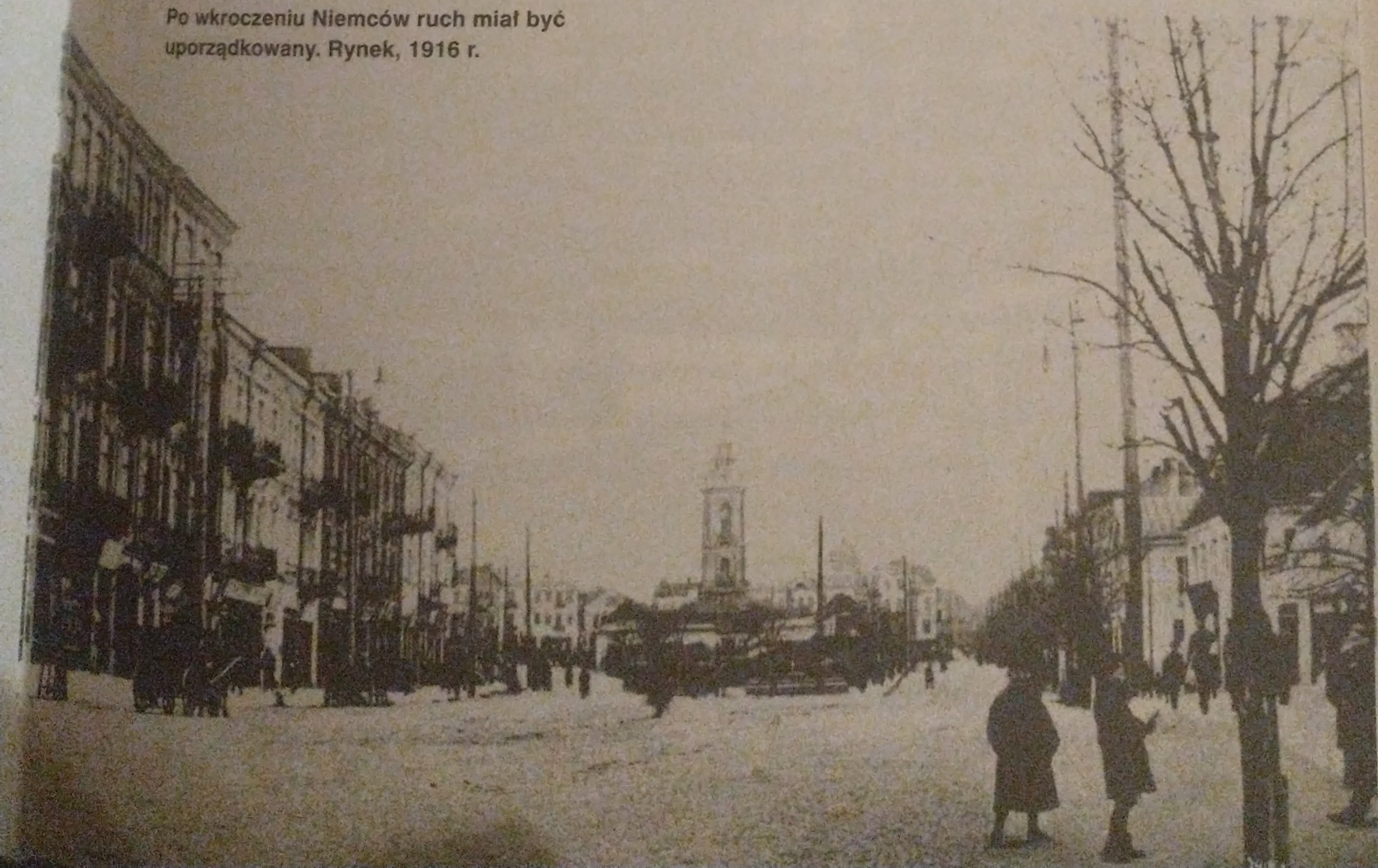
Okupanci „nie mogli jakoś strawić nieporządku w Białymstoku, specjalnie zaś postanowili nie tolerować chaotycznego sposobu chodzenia i spacerowania ludności po wąskich wówczas chodnikach białostockich". Nie mieściło się porządnemu Niemcowi w jego *deutsche Kopf*, że można tak szwendać się po mieście bez jakichkolwiek zasad. Wnet więc komendant miejscowej policji, von Flotov, wydał w tej sprawie stosowne rozporządzenie. W dziejach białostoc-

kiego prawodawstwa funkcjonowało ono pod nazwą *Rechts gehen* (Iść w prawo). Oto i jego historyczna treść:

> Z powodu wielkiego ruchu na ulicach Lindenstrasse (Lipowa), Nikolajstrasse (Sienkiewicza), Aleksanderstrasse (Warszawska), Deutschestrasse (Kilińskiego), w godzinach między 8 a 11 wieczorem nakazuje się chodzić w wyżej wymienionych godzinach tylko na prawych chodnikach. Opornym grozi kara od 600 mk., lub areszt.

Który to był prawy chodnik? Ano ten, wzdłuż którego stały domy z parzystą numeracją posesji. Poruszając się po mieście, trzeba było więc zachować czujność. Wychodzący z domu białostoczanin musiał się dobrze zastanowić, dokąd i jak chciał iść, aby nie narazić się na areszt. Co miał robić, jeśli mieszkał w domu stojącym przy lewym chodniku? To oczywiste, że wychodząc z domu, musiał iść w prawo. A jak potrzebował w lewo? To musiał iść również w prawo, dojść do najbliższego skrzyżowania, tam przejść na drugą stronę i prawym chodnikiem iść w lewo do kolejnego skrzyżowania, aby wejść na lewy chodnik i dalej maszerować... no tak, w którą stronę? Chyba w lewo, a jak się chciało w prawo, to nie w lewo tylko prosto i dalej w lewo, a następnie? *Zum Donnerwetter* z Niemcami i ich porządkami! Białostoczanie ani myśleli przestrzegać rozporządzenia, co jedynie rozwścieczyło von Flotova. Nakazał więc natychmiast podwyższyć kary. Teraz nieposłusznym mieszkańcom groziły grzywna w wysokości 1000 marek albo trzy miesiące aresztu.

Po wkroczeniu Niemców ruch miał być uporządkowany. Rynek, 1916 r.





Nauka chodzenia? Rynek, 1917 r.

Ale wojna się skończyła i znów można było bezkarnie chodzić po Lipowej, Sienkiewicza i w ogóle gdzie tylko dusza zapragnęła. Wnet jednak okazało się, że wolość wolnością, a porządek dobra rzecz. Najpierw do miasta dotarły wieści z Warszawy, gdzie w 1932 roku postanowiono uregulować ruch pieszy. W Białymstoku czekano chyba, aż nadejdzie 20. rocznica ogłoszenia *Rechts gehenn,* i w 1936 roku podjęto w grodzie nad Białą próbę ponownego wzięcia białostoczan w ryzy. Zauważono, że to, co dzieje się na tutejszych chodnikach, woła o pomstę do nieba. Drwiono, że cały Białystok oszalał na punkcie szkół nauki tańca, a powinien udać się do szkół chodzenia. Pytano, „po co wysilać się na grację i fason, skoro po ulicach chodzi się jak chłop ze wsi?". Zauważono, że na białostockich chodnikach panują oburzające maniery „ktosiów idących zamaszyście trotuarem i trzymających bezceremonialnie obie ręce w kieszeniach, oba łokcie takiego ktosia stanowią broń kruszącą cudze boki i żebra". Rozróżniano rozmaite „chodnikowe manewry", chodzenie szeregiem bądź „kupą". Sarkano więc, że białostoczanie jakby niepomni dawnych, okupacyjnych zasad chodzą po mieście bez przestrzegania lewej i prawej strony chodnika, „czyniąc zamęt". Wszystko to bardziej przypominało wiejską drogę niźli wielkomiejską ulicę. W połowie stycznia 1936 roku starosta grodzki

skierował na białostockie ulice specjalne patrole policyjne, „które miały za zadanie regulowanie ruchu pieszego". Ale i to nie skutkowało. Postulowano więc wydrukowanie specjalnych obwieszczeń i umieszczenie ich na wszystkich białostockich ulicach. W rozporządzeniu miała też znaleźć się wzmianka o zachowaniu się na chodniku. Miano tu głównie na względzie „rozpychanie się, potrącanie przechodniów, ordynarne wyzwiska, zaczepianie kobiet i temu podobne wyczyny ludzi źle wychowanych lub ordynarnych zawadiaków". Akcja chwyciła. Zaczęto organizować w mieście „Tygodnie nauki chodzenia ulicami".

W 1937 roku starosta białostocki z pełnym animuszem ogłosił regulamin chodzenia po chodnikach. Każdy białostoczanin i przybywający do Białegostoku miał wiedzieć, gdzie jest prawa i lewa strona, i zgodnie z tą zasadą iść! Nie mógł pluć, zatrzymywać się gwałtownie, komentować w sposób niewybredny wdzięków mijanych właśnie pań ani też wypowiadać opinii na temat panów. Policja zobowiązana była do „uczenia chodzenia". Po zakończeniu kursu

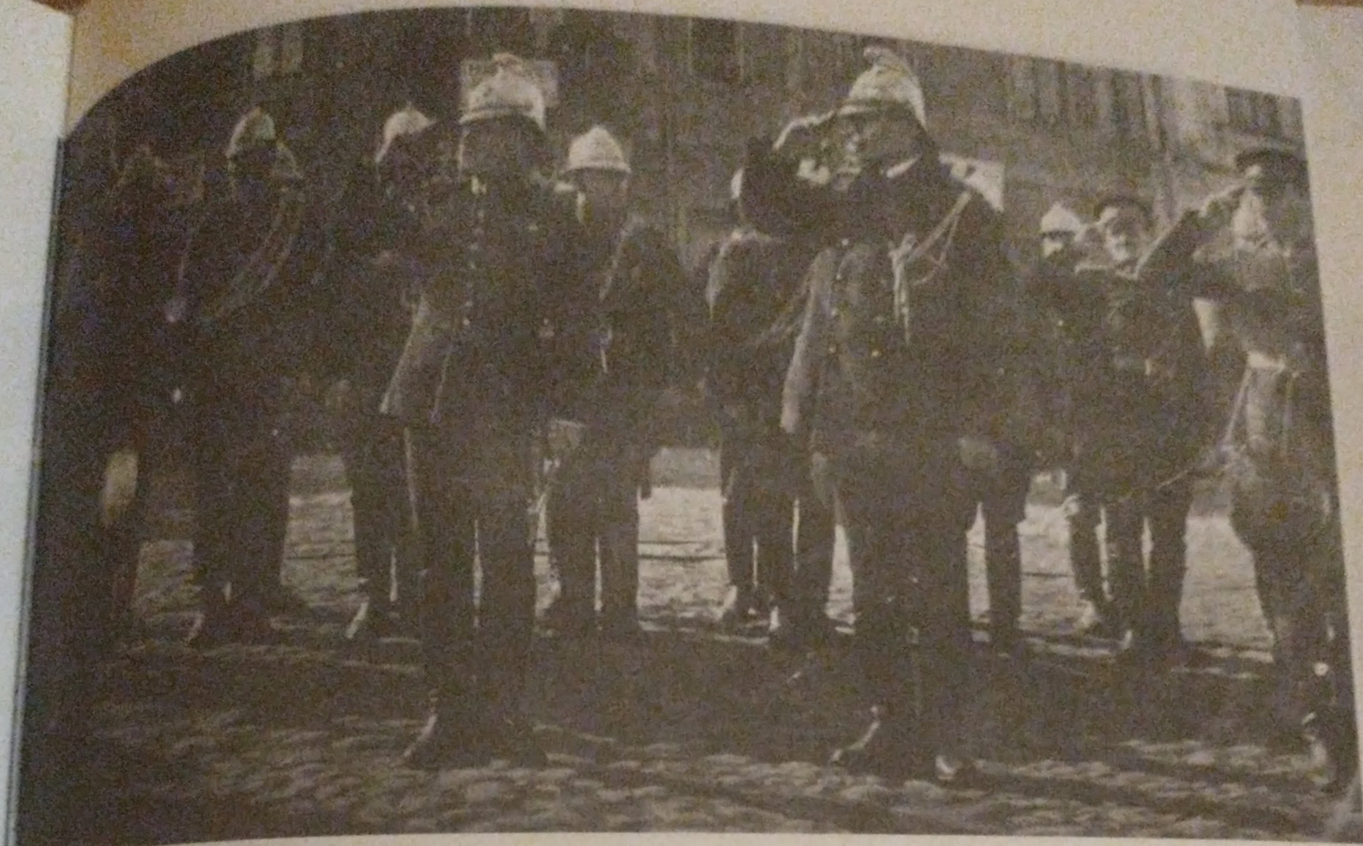


Pomimo asysty policjanta każdy chodzi, jak chce. Rynek, 1928 r.

„niezdolnych uczniów" miała karać mandatami. Komendant policji zajął się tym metodycznie i przeprowadził „szczegółowe studia i badania" oraz wydał rozkaz „wyszkolenia odpowiedniej ilości oficerów i szeregowych policji państwowej, jak również przygotowanie odpowiedniego materiału propagandowego". No i zaczęło się. W całym mieście pojawiły się afisze z instrukcjami. Policjanci rozdawali ulotki, przez specjalnie zamontowane megafony nadawano „pogadanki". Białostocki fraszkopis Józef Mayor o tych zwielokrotnionych policyjnych obowiązkach pisał:

Tu strzał,
Tam pożar, ówdzie chryja!
Ktoś szybę kamieniem wybija,
Tu się otruto,
Tam flaki wypruto…
A kto reguluje ruch pieszy, kołowy?
Też on, wszystko on – pan posterunkowy!

Białostoczanie czuli się w tym całym zamieszaniu z lekka zdezorientowani. Z jednej strony rozpierała ich duma, że stosując się do „zasad zachodnich", stają się prawdziwymi Europejczykami. Z drugiej zaś myśleli sobie, że jakże to może być, aby we własnym mieście nie móc sobie chodzić jak dusza zapragnie! No, a tu jeszcze pojawił się inny problem. Nauka nauką, ale w Białymstoku często nie było po czym chodzić. Miejskie chodniki pozostawiały bowiem wiele do życzenia. Bywało, że „rozchodziło się o dwadzieścia kroków chodnika… Ani jednego kroku więcej! Bowiem po co i na co więcej, skoro właśnie tyle go brakuje".



Parada BOSO na Rynku Kościuszki. Pierwszy z lewej Izaak Markus, około 1920 r.

Sikawki i alarmy

Białostocka Straż Ogniowa powstała w 1875 roku. Mieściła się tam, gdzie i obecnie, przy ulicy Warszawskiej, wówczas Aleksandrowskiej, pod numerem 3. Od 1898 roku miasto miało też Białostocką Ochotniczą Straż Ogniową (BOSO). Obie formacje miały swoje punkty obserwacyjne: pierwsza na wieży wybudowanej przy remizie w 1891 roku, a druga na wieży ratusza. To tam dyżurujący strażacy wypatrywali pożaru.

Na początku XX wieku dużym problemem było jednak to, czym gasić. Dlatego w 1920 roku BOSO kupiła w Berlinie „sikawkę-samochód". Białostoczanie z niecierpliwością oczekiwali strażackiego wozu, ale ten się nie pojawił. Okazało się, że nieoczekiwanie utknął na komorze celnej w Grajewie, dlatego „że sprzedawcy niemieccy nie dodali kilku śrubek itd. do sikawki". Gdy tę skompletowano i uzyskano z Ministerstwa Finansów glejt „pozwalający na swobodne przewiezienie sikawki do Białegostoku", pojawił się kolejny problem: jak przetransportować samochód-sikawkę. Komendant BOSO, znany białostocki przemysłowiec Izaak Markus,



Dowództwo BOSO, 1909 r.

wykluczył kolej („ruch kolejowy jest nienormalny") i zarządził „przewiezienie samochodu szosą". I tak w piątek 6 lutego 1920 roku o godzinie 15.00 samochód-sikawka wyruszył w drogę. Przy okazji zabrało się kilku pasażerów, o których przewiezienie poprosił spedytor z Grajewa. Z braku miejsca w szoferce mimo mrozu musieli zasiąść na platformie wokół sikawki...

Podróż nie była łatwa. Samochód nie miał żadnego oświetlenia, bowiem kierowca, chcąc zdążyć przed nocą do domu, postanowił nie tracić czasu na montaż latarni. I tak w ciemnościach dojechał aż pod Dobrzyniewo. Droga była śliska i w tym miejscu wiodła w dół, trudno było panować nad samochodem w takich warunkach. Do tego wystraszeni pasażerowie wszczęli alarm. W efekcie auto wpadło w poślizg i wjechało do rowu. Na szczęście nikomu nic poważnego się nie stało, jedynie „Dwóch pasażerów skutkiem wstrząśnienia uległo potłuczeniu i lekkiemu poranieniu". Został jednak uszkodzony motor sikawki i dalsza nią podróż okazała się niemożliwa. Przybyły następnego dnia na miejsce wypadku komendant Izaak Markus zarządził więc, że samochód-sikawkę należy przyholować do Białegostoku. Co też uczyniono, ale dopiero w niedzielę, by uniknąć zbędnych gapiów. W garażach BOSO przy ulicy Lipowej przez następne trzy tygodnie reperowano go i pucowano.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym sikawkę można było pokazać. W piątkowe popołudnie 27 lutego przechodnie na ulicy Lipowej, Rynku Kościuszki oraz ulicach Kilińskiego, Mickiewicza i Elektrycznej z „ogólną uwagą" przyglądali się, jak z komendantem Markusem i kilkoma strażakami powoli jechała do białostockiej elektrowni. Tu zaprezentowano ją prezesowi BOSO, dyrektorowi Kazimierzowi Riegertowi. Zapowiedziano też, że w najbliższą niedzielę

o godzinie 12.30 dokonana zostanie publiczna prezentacja nabytku. Tego dnia na placu przed bramą pałacową i Ritzem zebrał się pokaźny tłum białostoczan. W eksponowanym miejscu tuż przy głównym wejściu do hotelu stał prezes Rady Miejskiej Feliks Filipowicz. Towarzyszył mu wiceprezydent Białegostoku Witold Łuszczewski. Przybyli też radni i przedstawiciele różnych instytucji. Punktualnie o wyznaczonej godzinie na plac „w pełnym rynsztunku z muzyką na przedzie przybyła cała straż". Na polecenie Markusa na wieży ratusza uruchomiono syrenę alarmową. Na jej dźwięk z remizy przy ulicy Lipowej miała wyjechać sikawka i na pełnym gazie zajechać pod Ritza. Ale nie pojawiła się. „Okazało się, że na czatowni strażackiej przy Lipowej nie usłyszano sygnału alarmowego, wiatr wiał bowiem w stronę przeciwną". W końcu sikawka ze znacznym opóźnieniem dotarła na miejsce. W mig podłączono węże do „kranu wodociągowego". Zebrani z zachwytem obserwowali, jak „potężny strumień wody wyrzuca sikawka na wysokość sześciu pięter". Rozochocony Markus wydał polecenie, aby „podłączono" sikawkę do Białej. Strumień rzecznej wody bił ponoć jeszcze wyżej niż szóste piętro. Po zakończonej pełnym sukcesem prezentacji odbyła się strażacka defilada, którą „w marszu ceremonialnym prowadził dzielny komendant Markus". A wieczorem w klubie BOSO przy ulicy Lipowej 52 odbył się raut, czyli oblewanie sikawki.

Sikawkowe perturbacje nie ominęły też miejskich strażaków. W 1928 roku finalizowano prowadzone od pięciu lat rozmowy w sprawie zakupu samochodów strażackich. Układano się z berlińską firmą Koebe. Już prawie podpisano kontrakt, gdy nagle kupiono samochody – jak wówczas pisano – „Benc-Daymler". Cena była okazyjna, lecz kupowano kota w worku. Gdy strażackie mercedesy zjechały do Białegostoku, okazało się, że są to stare wozy asenizacyjne, czyli zwykłe szambowozy, tyle że przerobione na strażackie. Obyło się więc bez publicznej fety, a nowe-stare strażackie samochody już wkrótce stały się przedmiotem kpin białostoczan. W marcu 1928 roku paliła się fabryka sukna i kołder Dawida Gubińskiego przy ulicy Konopnickiej 3.



Zarząd BOSO, 1925 r.

Strażacy zjawili się na miejscu momentalnie. Rozciągnęli węże i już mieli gasić ogień, gdy okazało się, że te, rzucone w żar, same się zapaliły. Mało tego, za chwilę mógł od nich spłonąć wóz strażacki. Nie było na co czekać, z fabryki i tak już pozostały tylko zgliszcza – trzeba było ratować własny sprzęt.

Kpiono też z innych strażackich wyczynów. 11 marca 1931 roku pomimo nadchodzącej wiosny noc była mroźna. Przysypiający na wieży obserwacyjnej strażak nagle ocknął się i zauważył na skraju miasta, nad Dojlidami, ogromną łunę. Włączył syrenę i powiadomił remizę o ogromnym pożarze. Natychmiast w tym kierunku ruszyły bojowe wozy. Już na miejscu strażacy odlupieli. Ich oczom ukazał się niezwykły widok. Znad dojlidzkich stawów unosiły się opary, które podświetlane przez światło księżyca z pewnej odległości dawały złudzenie łuny bijącej od pożaru. Strażacy poobserwowali to romantyczne zjawisko, rzucili kilka nieparlamentarnych słów pod adresem kolegi z wieży i księżyca, po czym w „wesołym nastroju powrócili do remizy".

Ale najsłynniejszy strażacki wyczyn miał miejsce w pewną kwietniową noc 1936 roku. Białystok zapadł już w głęboki sen. Nagle ciszę nocy rozerwał ostry dźwięk syreny strażackiej. Strwożeni białostoczanie zrywali się z łóżek i z niepokojem wyglądali przez okna. Gdzie się pali? W samej remizie też zrobił się ruch. Dokąd jechać? Co gasić? Po kilku minutach wszystko się wyjaśniło. A było to tak. W niewielkim pokoiku na wieży dyżur tej nocy miało dwóch strażaków. Wiosna w rozkwicie to i w strażackich głowach zaszumiało. Postanowili więc miło spędzić nudne, długie godziny służby. Przygotowali odpowiednią ilość trunków i wyborną zakąskę, a do towarzystwa zaprosili dwie „wesołe panienki". Zabawa od początku szła na całego. Strażacy byli szarmanccy, panienki chętne. Zaczęły się nawet tańce! Wszyscy byli w siódmym niebie. I tak by pewnie zostało, gdyby nie pomysł jednej z pań. Co ją podkusiło, żeby przekręcić „kontakt alarmowy"!? Następnego dnia dwaj zmęczeni nocnym dyżurem rycerze św. Floriana tłumaczyli się dowództwu ze swoich wyczynów.



Brygada BOSO, 1932 r.



Do 1924 r. przed ratuszem stało mauzoleum żołnierzy niemieckich

Pomnikowa altanka z kamienia i polepy

Dziś miejscem większości uroczystości państwowych w Białymstoku jest część Rynku Kościuszki z pomnikiem Józefa Piłsudskiego. Postać ta symbolizuje wszystko, co z niepodległością jest związane. Miejsce też jest historycznie ważne, bo tu 21 sierpnia 1921 roku Marszałek rzeczywiście stał jako żywy. Było to podczas mszy polowej, w trakcie której poświęcono i przekazano sztandar białostockiemu 42. Pułkowi Piechoty. Ale w 1919 roku miasto z przyczyn oczywistych nie miało żadnych patriotycznych symboli. Trzeba było je dopiero urządzać. Już w maju tego roku część Lasu Zwierzynieckiego nazwano parkiem Konstytucji 3 Maja. Kilka miesięcy później, jesienią, założono cmentarz wojskowy w Zwierzyńcu. W zamyśle władz miasta i województwa miało to być mauzoleum bohaterów walczących i poległych za Ojczyznę. Z miasta do bramy cmentarza wytyczona została aleja 11 Listopada, a na nekropoli w 1932 roku wybudowano stosowny monument.

Tymczasem w samym centrum Białegostoku, przed ratuszem, stała zapomniana budowla. Chyba wszyscy się do niej przyzwyczaili, bo dopiero w marcu 1924 roku rozgorzała dyskusja wywołana apelem „szczerego patrioty", który zapytał, „czy stać Białystok na pomnik Wyzwolenia". Patriota ów, czyli podpisany jako Edward Nowakowski, w liście skierowanym do Antoniego Lubkiewicza, redaktora naczelnego poczytnego „Dziennika Białostockiego" pisał:

> Zwracam się do Pana w sprawie następującej, a mianowicie: podaję myśl, która o ile się domyślam dawno była tematem rozważań W.P., a to podjęcie akcji budowy pomnika, któryby



Odsłonięcie tablicy Nieznanego Żołnierza. Przemawia prezydent Białegostoku Bolesław Szymański, 15 sierpnia 1925 r.

> zamanifestował uczucia patriotyczne Białegostoku. Białystok – miasto tak wielkie nie zdobyło się dotychczas na nie, tymczasem o ile słyszymy z gazet, mieściny, nie mówię miasta, zdobywają się na to choć z wielkim trudem. Nie wątpię, iż ludność tutejsza tak polska jak i nie polska nie poskąpi i przyjdzie z pomocą materialną w braku pieniędzy na zakup kamieni na ten cel potrzebnych. Stosowne byłoby rozebranie altanki w ogródku przy ratuszu, spuścizny po okupantach niemieckich.

Cóż to za altanka? Otóż w 1918 roku, gdy wojna praktycznie była zakończona, to okupacyjne władze niemieckie postanowiły w samym centrum miasta zostawić pamiątkę swego w nim pobytu i wybudowały żelbetonową, ośmioboczną kolumnadę. Na spinającym zwieńczenia kolumn trawersie, obłożonym piaskowcem, wykuty został „krzyż równoramienny kształtu odznak wojskowych", a pod nim widniał napis w języku niemieckim: „Pamięci bojowników, którzy polegli za ojczyznę w latach 1915–1918". Pomnik stał sobie w najlepsze. Jedyne komentarze, jakie wywoływał, to te w rodzaju, że „najpierw budują, później burzyć zaczną". Nawet nikt nie zwracał uwagi na niemiecki napis. A gdyby był po polsku, to może altanka stałaby do dziś? Uwagę ówczesnych krytyków bardziej przykuwała forma architektoniczna o „posępnym obliczu i zagadkowym stylu", wykonana z „kamienia i polepy". Znawcy tematu przypomi-

nali, że podobna budowla już od średniowiecza stoi w okolicach angielskiego miasta Leeds. Otaczała ona miejsce straceń. Pisano, że „budowla ta ogólnym zarysem kształtów przypomina – podobnie jak nasza – altanę". To zdanie wystarczyło, aby wraży pomnik zaczęto pogardliwie nazywać altanką. Wnet też podniosły się głosy, że jako „haniebny znak niewoli, urągający swoim kształtem i napisem poczuciu polskości" musi zostać zburzona. Zauważono, że jednak w „całym kulturalnym świecie" groby i pomniki ku czci obcych wojsk otaczane są szacunkiem należnym zmarłym. Ale jeśli szacunek taki ma być „cierpiącym śladem przemocy i ucisku w tak prowokującej formie", białostoczanie godzić się na niego nie powinni. Postulowano, że na miejscu „ośmiobocznego monstrum" musi stanąć „godny polskiego miasta pomnik poległym, swoisty w kształcie i zrozumiały w serdecznej treści".

Oczekiwano, że magistrat zajmie stanowisko. Tymczasem władze miasta całkowicie ucichły. Złośliwcy twierdzili, że „Białystok jest nierychliwy, spostrzega z trudem, kombinuje flegmatycznie, mozolnie wyciąga wnioski, trawi pracowicie". Jednocześnie zauważano, że taka sytuacja jest nadzwyczajna. Wymagałaby więc natychmiastowej reakcji magistratu, który powinien wykazać się „zdrowym instynktem narodowym" i w związku z tym mieć jednoznaczny pogląd „na to curiosum architektury, będące widomym znakiem junkierskiej prowokacji". Zapytywano, czy białostocka „bezprzykładna tolerancja" doprowadziła do tego, że władze nie czują „zaklętej w tem straszydle ironii". Redakcja „Dziennika Białostockiego", stając po stronie „szczerych patriotów", lojalnie ostrzegała, że jeśli prezydent miasta na najbliższym posiedzeniu Rady Miejskiej nie wystąpi z jednoznacznym wnioskiem zburzenia altanki, to „posypią się gradem" interpelacje radnych. Sugerowano też, że w tej sprawie może interweniować sama Warszawa, a „do takiego blamażu dopuścić niepodobna".



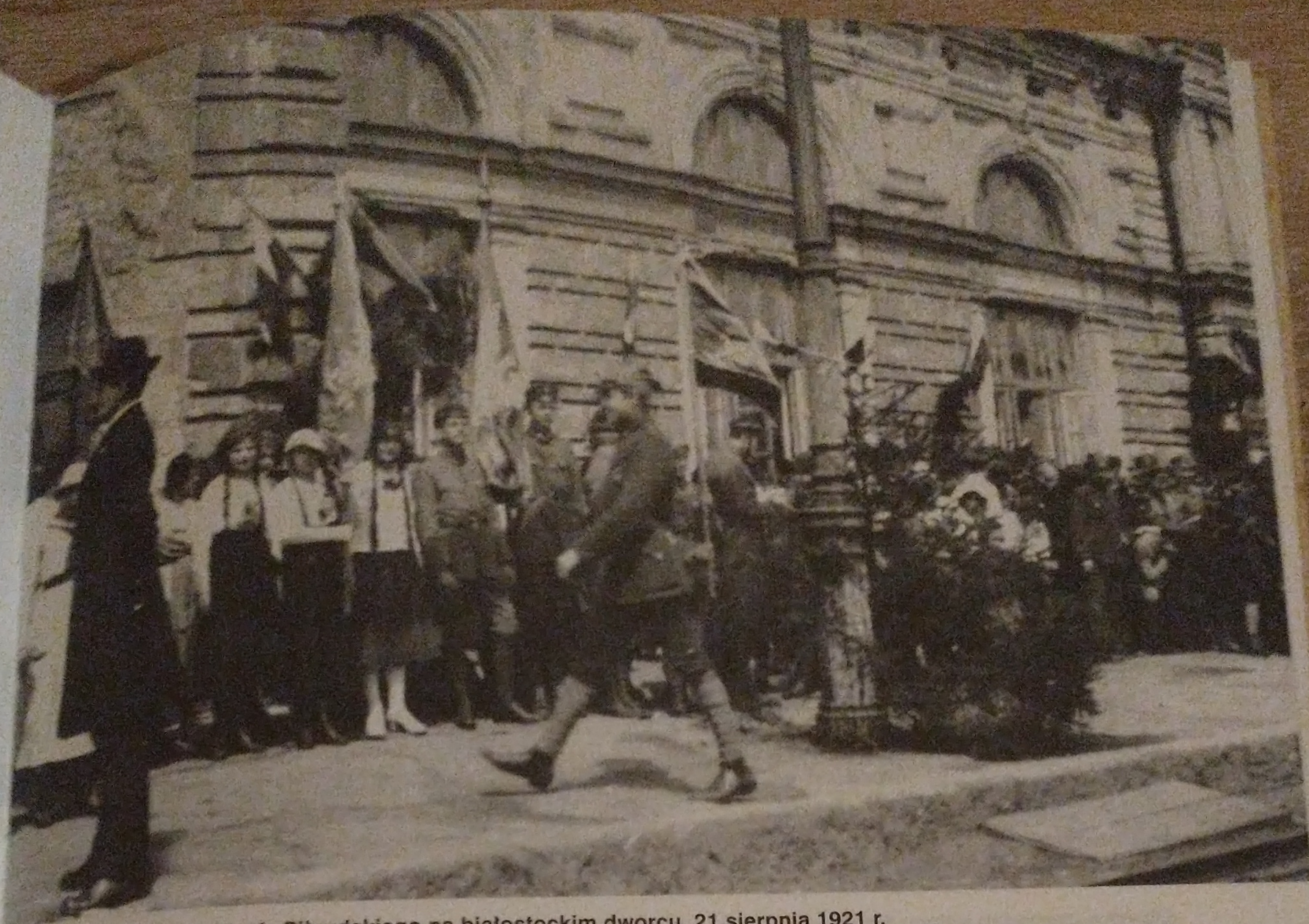
Obchody Święta 3 Maja przy tablicy Nieznanego Żołnierza, 1936 r.

Tymczasem na posiedzeniu Rady, które odbywało się kilka dni później, zażarcie dyskutowano o wodociągach, oświetleniu ulic i nikt nie zająknął się nawet o altance. Gazeta skapitulowała. Z nieukrywaną goryczą redaktor Lubkiewicz wspominał, że nie stać białostoczan na czyn wielki, a jedynie na tandetę „jak na kpiny z desek i tektury". Miał tu na myśli tymczasowy pomnik Orła Białego wystawiony przed ratuszem w 1921 roku. Był to drewniany obelisk, na którego szczycie umieszczono rzeźbę przedstawiającą Orła Białego. Na froncie widniała data – 1863. Obelisk, w kolejnych latach nieodnawiany, popadał w stopniową ruinę, aż w 1924 roku został usunięty. Utyskiwał Lubkiewicz, że inicjatywa budowy trwałego pomnika Wyzwolenia rozeszła się bez echa, a zatem „ohydna altanka na Rynku Kościuszki pozostała i jest w tej chwili symbolem polskości Białegostoku". Upatrywał w tym triumfu naczelnej cechy niemieckiej – praktycyzmu, dzięki któremu niemiecka pamiątka w mieście zastąpiła polską. Przy okazji poruszona została sprawa projektu budowy domu ludowego. I tu też zamiast konkretnych działań ciągnęły się nieskończone dyskusje, „kto ma być jego właścicielem, kto ma firmować, kto wejdzie do zarządu". Omawiając ten przypadek, zdefiniowano główną białostocką chorobę. Jej objawy w 1924 roku były takie: „Jeśli ktokolwiek rzuci myśl dobrą, pożyteczną, nie rozważamy tej sprawy bezstronnie. Pytamy – kto zainicjował? Od tego zależy powodzenie sprawy. W ten sposób nie zbudujemy niczego. […] Niechże tedy zostanie altanka na Rynku Kościuszki".

Nie została. Wkrótce magistrat zaczął prowadzić gruntowną przebudowę tej części rynku. Zburzono altankę. W sierpniu 1925 roku w miejscu, w którym dziś znajduje się fontanna, złożona została płyta z napisem „Nieznanemu Żołnierzowi Wolna Polska 1914–1920". Od tego też czasu białostoczanie nie mieli najmniejszej wątpliwości, gdzie będą obchodzone wszystkie patriotyczne uroczystości.



Obchody Święta 3 Maja przy tablicy Nieznanego Żołnierza, około 1930 r.



Powitanie Józefa Piłsudskiego na białostockim dworcu, 21 sierpnia 1921 r.

Mniej oficjalna historia honorowego obywatelstwa

Nadanie honorowego obywatelstwa Białegostoku Józefowi Piłsudskiemu w 1921 roku było uroczystością wielokrotnie później wspominaną. Wracano do przemówień, mszy, podniosłego nastroju. Ale te oficjalne momenty przeplatane były całkiem niekoturnową historią, którą niezasłużenie zepchnięto w cień. Oto mniej oficjalny przebieg tego historycznego dnia.

Przyjazd Piłsudskiego był nie lada wydarzeniem dla Białegostoku. Tak ważna osobistość nie odwiedzała w końcu miasta codziennie. Białostoczanie postanowili więc przyjąć Marszałka z należnymi mu honorami. Przejęci miejscowi włodarze z prezydentem Bolesławem Szymańskim na czele chcieli powitać go, jeszcze zanim ten dotrze do Białegostoku. Była 2.00 w nocy,



Obiad w ogrodach pałacu Branickich, 21 sierpnia 1921 r.

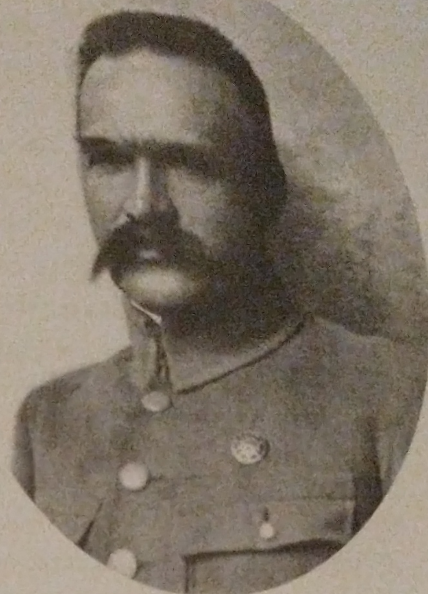
21 sierpnia 1921 roku, gdy liczne towarzystwo zapakowało się do specjalnie przygotowanego pociągu i wyjechało do Wołkowyska na spotkanie Piłsudskiemu. Planowano przywitać go tam hymnem, który miała zagrać specjalnie sprowadzona orkiestra wojskowa. Nie przewidziano jednak, że Marszałek będzie spał w najlepsze. A wiadomo, tak dostojnego człowieka budzić nie wolno.

Nie tylko białostoccy notable wyszli naprzeciw wyśmienitemu gościowi:

> Tuż obok idącego pociągu równolegle zdaje się z oknami wagonu restauracyjnego ukazuje się olbrzymi ptak. To samolot d-cy naszej dzielnej 1-ej eskadry lotniczej. Kap. Lepszy z pilotem por. Babińskim przylecieli na spotkanie pociągu. Przelatując tuż koło okien kapitan wychyla się, przesyłając ręką pozdrowienia jadącym [myśli oczywiście, że jest wśród nich Piłsudski – A.L.], ci ostatni czynią to samo.

Po tych pozdrowieniach lotnik wyczyniał wokół pociągu „najrozmaitsze ewolucje napowietrzne" i rykiem silnika obudził Marszałka.

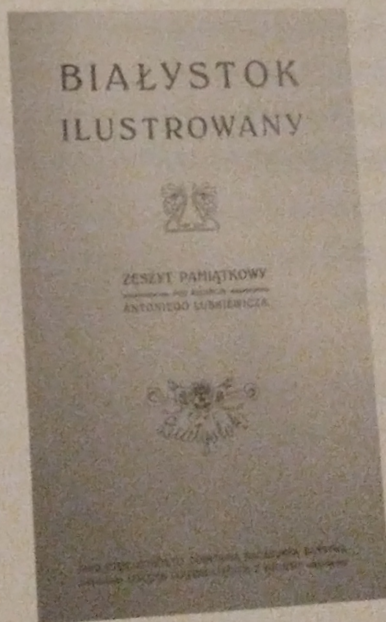
Białystok witał Piłsudskiego, jak to było w owych czasach popularne, dekoracjami i bramami triumfalnymi. Jedna z nich w stylu empire stanęła u zbiegu ulic Kolejowej, św. Rocha i Lipowej. To przy niej prezydent Szymański powitał Marszałka chlebem i solą, a jego córka Halinka wraz z Felą, córką przewodniczącego Rady Miejskiej Feliksa Filipowicza, wyrecytowała wierszyk ułożony przez Marię Kościankę:



Portret Józefa Piłsudskiego zamieszczony w *Białymstoku ilustrowanym*, 1921 r.

I myśmy też przyszły tutaj polskie dziatki
By Tobie przynieść te kwiatki.
My dobrze wiemy jakie ciężkie znoje zniosłeś dla Polski
Drogie imię Twoje świeci przykładem
W sercach naszych gorąco wdzięczność bije
Naczelnik Państwa Józef Piłsudski niech żyje!

Następnie Piłsudski wraz z całą świtą udał się na śniadanie do niewielkiego, drewnianego domku przy ulicy Starobojarskiej 30, w którym mieszkali prezydentostwo Szymańscy. O godzinie 12.00 zaczęły się uroczystości na Rynku – msze, sztandary, defilady. Po nich w ogrodzie Branickich wydano obiad dla 2 tys. gości! Za ten punkt programu odpowiedzialni byli radni Antoni Gliński i Zygmunt Maciejewski. Panie z gminy ewangelickiej nakrywały stoły. Punktualnie o 15.00 Marszałek zasiadł do obiadu. Wiemy, jakie tego dnia zaplanowano menu dla honorowego gościa: na pierwsze podano rosół z jarzynami i kawałkiem mięsa, na drugie mięsiwo pieczone z kartoflami, a do tego kompot z jabłek i piwo. Na deser… zostawiono kolejne przemówienia.

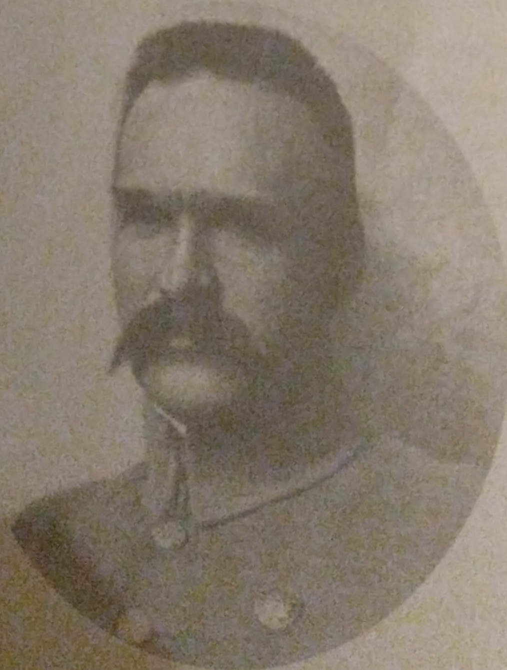


Strona tytułowa *Białegostoku ilustrowanego*, wydanego z okazji przyjazdu Józefa Piłsudskiego, 1921 r.

Piłsudski był tym wszystkim już lekko zmęczony. O 17.00 podziękował więc za obiad i udał się do swego pociągu. Zapowiedział jednak, że o 18.00 przyjedzie do koszar 42. Pułku na Traugutta, aby „przyjrzeć się zapasom w piłkę nożną między sportowemi towarzystwami Koroną warszawską a drużyną 42 p.p." O dobrym nastroju Marszałka niech świadczy to, że zgodził się zostać ojcem chrzestnym niedawno narodzonego synka kapitanostwa Grossnerów. Matką chrzestną była doktorowa Apolonia Żołątkowska, prezeska białostockiego Koła Polek. W nietypowym miejscu, bo na boisku sportowym, sakramentu udzielił kapelan wojskowy. Tego dnia nie dane było Piłsudskiemu obejrzeć meczu spokojnie. Jeszcze w jego trakcie adiutant przyniósł Marszałkowi wieniec z nutami marsza skomponowanego na jego cześć przez Natana Cygana, popularnego w mieście skrzypka, a orkiestra odegrała ów utwór.

Czas gonił. Nie czekając więc na zakończenie spotkania (białostoczanie wygrali 5 : 2), Piłsudski pojechał do magistratu. Tu otrzymał honorowe obywatelstwo. Wręczono mu też pierwszy egzemplarz książki *Białystok ilustrowany*. Bez mów się także nie obyło. Jedną z nich wygłosił Filipowicz, który na jej zakończenie wykrzyknął: „Najstarszy żołnierz polski, nasz ukochany Dziadek, niech żyje". Chodziło oczywiście o najstarszego stopniem, ale wyszło, jak wyszło. Po nim dwaj miejscowi fabrykanci, Dawid Szatja i Łazarz Frenkiel, w imieniu przemysłowców „do dyspozycji" Piłsudskiego złożyli pół miliona marek. Tyle samo wręczyli Szymańskiemu. Była już 22.00, a na Marszałka czekał jeszcze jeden punkt programu – raut w pałacu Branickich. Dzień był wyczerpujący, wypełniony zajęciami po brzegi, a mimo to przed pierwszą w nocy, gdy pociąg powoli ruszał, „Naczelnik Państwa z uśmiechem na ustach, salutując mija rozentuzjazmowane rzesze publiczności serdecznie go żegnającej".

Wojewoda, prezydent i przewodniczący Rady na ostatnich nogach, ale pełni patriotycznego uniesienia i szczęśliwi, że wszystko się udało, mogli wreszcie położyć się spać.



ŁAŹNIE, WANNY I PRYSZNICE
R. J. Bole
ULICA POCZTOWA № 27.
Oddzielne numera łaźen i wanien od 30 kop. do 1 rb.
Otwarte codziennie oprócz niedziel, od 8 godziny rano do 11 godziny wieczora.
Ogólne łaźnie dla mężczyzn I-ej kl. po 20 k. (w Piątki i Soboty), III-ej kl. po 15 kop. ... kl. po 10 kop. otwarte w Środy, Czwartki, Piątki i Soboty.
Dla kobiet w Środy po 10 kop.
Stałym abonentom ustępstwo.

Reklama łaźni Bolego, 1912 r.

Fabryka Mydła
M. O. PATT
w BIAŁYMSTOKU
ulica Białostoczańska 2
Poleca 1 gatunek MYDŁA do prania sine i żółte.
Firma egzystuje od 1870 roku.

Reklama fabryki mydła, 1921 r.

Białostoczanin w łaźni

W ostatnich dekadach XIX wieku do Europy zawitała amerykańska moda higieniczna. Pomimo że o Polakach z przekąsem mawiano, że mają oni kontakt jedynie z wodą święconą, to światowe nowinki szybko pojawiły się i w Białymstoku. Jedną z pierwszych w mieście ekskluzywnych drogerii otworzył pod koniec XIX wieku przy ulicy Lipowej Jakub Kurlandzki. Było w jego magazynie wszystko, czego ciało i dusza pragnęły. Oferowano więc sole do kąpieli, owocowe i eteryczne olejki do nacierania ciała, no i oczywiście mydła. Towar u Kurlandzkiego był najwyższej jakości, sprowadzany z samego Petersburga, ze znamienitej firmy A. M. Żukowa.

Ale prawdziwy boom higieniczny nastąpił dopiero w międzywojniu. W 1921 roku Wincenty Hermanowski sprowadził do swojej apteki „Pod Łabędziem" dużą partię „Potolu z kogutkiem", wyprodukowanego przez znaną poznańską firmę Gąseckiego. Preparat sprzedał się momentalnie. Po potolu kolejnym hitem okazał się sudoryn, specjalny talk usuwający „pot i niemiłą woń z rąk, nóg i pach". Razem z tymi higienicznymi nowalijkami w białostockich drogeriach pojawiły się wyśmienite mydła. W 1924 roku białostoczanie zachwalali mydło „Kalia". W następnym roku furorę robiło mydło „Hera", produkowane według recepty doktora Obermeyera. Mydło to „nadawało piękną płeć i gładką cerę, usuwało czerwoność i szorstkość skóry, liszaje, pryszcze, wszelkie wysypki itp." Kolejny, 1926 rok należał do „na wskroś

perfumowanego mydła Elida", które „umiejętnie pielęgnując twoją urodę", pozwalało „zachować na długo młodzieńczy wygląd". Ale Białystok miał też swoje fabryki mydła. Może nie były to światowe koncerny, ale zawsze coś. Pół miasta szorowało się własnym, tutejszym wyrobem. Przy ulicy Żytniej, nomen omen tuż obok Czystej, funkcjonowała fabryka mydła Meyera Bereszkowskiego. Nieopodal, przy ulicy Białostoczańskiej (obecnie Włókiennicza), mydło produkował Mowsza Pat. Kolejne mydlarnie zlokalizowane były bliżej rynku. Przy Berdyczowskiej (to okolice dzisiejszej Grochowej) działał Epsztajn, przy Wileńskiej (to mniej więcej plac Uniwersytecki) mydło robił Kotlar, a przy Legionowej stała niewielka fabryczka Rejzli Bryskin. Dla spełnienia kronikarskiego obowiązku dodajmy, że były jeszcze dwie wytwórnie mydła, Jurkowskiego przy Orzeszkowej i Warhaftiga przy Sobieskiego.

Jesienią 1935 roku miasto obiegła wieść o niesłychanym wzroście cen mydła – skoczyły w górę o 50%. Wiadomość ta nie wywołała bynajmniej paniki, jedynie komentarze, że wszystko drożeje, a nawet mydło. Powodem tej podwyżki był brak na miejscowym rynku łoju bydlęcego, który był podstawowym składnikiem do produkcji tego środka czystości. Białostoczanie z pewną obojętnością potraktowali jego brak w sklepach. Czystsza część opinii publicznej grzmiała jednak, że „zwyżka cen mydła nie wpłynie dodatnio na higienę naszych mas, a przecież dobrze każdemu wiadomo, że ilością zużytego mydła mierzy się stan kultury społeczeństwa".

Tymczasem „higiena naszych mas" pozostawiała wiele do życzenia. Do codziennych ablucji (i to też z tą codziennością nie przesadzajmy) najczęściej służyły balie z grzaną „na plycie" wodą czerpaną ze studni. Niewielu mieszkańców stać było na urządzenie nowoczesnych łazienek. Jeszcze w 1936 roku o Białymstoku, mając na uwadze stan higieniczny jego mieszkańców, pisano wprost „Brudnystok". Doliczono się zaledwie 1000 domów, w których były łazienki. Wnoszono więc, że w takich luksusach mieszka około 30 tys. ze 100 tys. mieszkańców. Rodziło się więc dramatyczne pytanie, „gdzie myją swe grzeszne cielska pozostałe 70 tysięcy mieszkańców stolicy województwa? I czy kąpią się w ogóle?". Byli ponoć tacy, którzy „twierdzili uporczywie, że Białystok wcale się nie myje", dodając a propos wanien prawdopodobne podejrzenie, że „w połowie z nich kąpią się jedynie ryby przed świętami". Problemu nie rozwiązywały łaźnie publiczne, w których wyłączając dni przedświąteczne, „frekwencja była minimalna".

Na przełomie XIX i XX wieku działały w Białymstoku cztery łaźnie. Najlepszą renomą cieszyła się ta zwana wówczas też „wannami", należąca do Klary i Reinholda Bole, mieszcząca się przy ulicy Pocztowej 17 (obecnie Jurowiecka). Korzystać z niej można było od 8.00 rano do 23.00 wieczorem. Ponieważ łaźnia miała „oddzielne numera", to znaczy kabiny z wannami, ale nie oddzielone dla każdej płci, zatem dla obrony obyczajności panie mogły kąpać się wyłącznie w środy, a panowie w pozostałe dni tygodnia. Za cara za wannę I klasy mężczyźni płacili 20 kopiejek, a kobiety tylko 10.

W okresie międzywojennym Łaźnie Bolego, które prowadził syn założycieli, Aleksander, spełniały rolę łaźni miejskiej. W marcu 1929 roku z Warszawy do Białegostoku dotarła



Przy ul. Nadrzecznej znajdowała się żydowska łaźnia, 1910 r.

sensacyjna wiadomość. Okazało się, że jest opracowywana ustawa o przymusie kąpielowym. „Ustawa ta zmuszałaby wszystkich mieszkańców do kąpania się przynajmniej raz miesięcznie, przyczem przymus ten podlegałby kontroli władz sanitarnych”. W związku z tym łaźnie otrzymywały subwencje z magistrackiej kasy i wstęp do nich był stosunkowo tani. Białostoczanie, gdy już przyszli do łaźni, to zachowywali się w niej na ogół swobodnie i radośnie. Ci, którzy doceniali rozkosze kąpieli, dawali więc upust swojemu zadowoleniu. W soboty trudno było znaleźć u Bolego wolną wannę. Ale o tym, czy w łaźni jest tłok, można było przekonać się jeszcze na ulicy. Dochodząc do łaziennego budynku słychać było wydobywające się na zewnątrz „śpiewy, hałas i gwizdy. Miało się wrażenie, że to nie ludzie myją się w tych termach białostockich, lecz jakaś siła nieczysta sprawuje tam swój dziki sabbat”. Bo i cóż to za kąpiel bez zaśpiewania „O sole mio” bądź przeciągłego wiele znaczącego gwizdnięcia, które każdy gentleman wydobyć z siebie musi na widok owiniętej w ręcznik nimfy.

Aby sprostać wymogom ustawy o przymusie kąpielowym, w łaźni przy ulicy Jurowieckiej wprowadzono nowy regulamin. Główny nacisk położono w nim na przepustowość wanien, wyznaczając limit czasowy na odmakanie. I właśnie po wprowadzeniu tego regulaminu wydarzyła się rzecz niesłychana. Oto w pewną lipcową sobotę 1929 roku „jakiś osobnik zamknął

się w wannie i przesiedział 3 i pół godziny". Personel i oczekujący na swoją kąpiel klienci ponaglali czyściocha, podejrzewali nawet, że stało się jakieś nieszczęście. W końcu w drzwiach kabiny ukazał się wymoczony osobnik. Wszyscy rzucili się ku niemu, pytając, dlaczego wbrew obowiązującym w łaźni przepisom tak długo się kąpał. W odpowiedzi jegomość ów spojrzał z politowaniem na niemytych awanturników i „jedynie ironicznie się uśmiechnął".

Też przy ulicy Jurowieckiej była łaźnia Szereszewskiego. Jego drugi zakład kąpielowy znajdował się przy ulicy Staroszosowej (obecnie św. Rocha). To właśnie w nim Niemcy w 1916 roku przeprowadzili upokarzającą białostoczan akcję tępienia wszy. Zgodnie z okupacyjnym rozporządzeniem do wanien mieli iść wszyscy pospołu, jak leci, bez zwracania uwagi na płeć i intymność.

Wśród białostockich Żydów największą popularnością cieszyła się łaźnia Meiera Monasewicza przy ulicy Nadrzecznej. To właśnie w tejże łaźni w marcu 1935 roku wybuchł wielki skandal. Jego przebieg był szeroko komentowany w białostockich domach. W jednych wzbudzał oburzenie, w innych stał się pożywką dla niewybrednych żartów. Jego bohaterem był jegomość obsługujący łaźnię. Skupiał on w swoim ręku całą łazienną władzę. Był bowiem i dozorcą, i palaczem, i „maszynistą", czyli takim, co to włącza pompy i nadzoruje sprawność kranów itp. Problem pojawił się nagle: gdy przed żydowskimi świętami w łaźni było szczególnie tłoczno, nadzorca dziwnym trafem miał coś do naprawienia. Szczególnie upodobał sobie oddział kobiecy. Wkraczał doń bezpardonowo pod pretekstem sprawdzenia temperatury wody albo czy maszynownia, czyli kurki w wannowych kranach, sprawnie działają. Wizyty te wzbudzały wielki popłoch i oburzenie wśród kąpiących się niewiast. Gmina żydowska, która zarządzała łaźnią Monasewicza, postanowiła w końcu przerwać ten niecny proceder i zwolniła lubieżnika. Na jego miejsce zatrudniono bogobojnego łaziennego, takiego, co to na widok odsłoniętej kobiecej łydki wznosił oczy do nieba. Natomiast zwolniony amator kobiecych wdzięków ani myślał ustępować. Zjawiał się w łaźni dzień w dzień i wszczynał awantury. Pewnego dnia, wieczorem, dostał się na wewnętrzny dziedziniec budynku i „począł tłuc kamieniami szyby w żeńskim oddziale". Kobiety „w obawie przed awanturnikiem bały się wyjść na ulicę i musiały pozostać w wannach do późnej nocy".

Dopiero w 1939 roku przystąpiono do budowy nowoczesnej, dużej łaźni miejskiej przy ulicy Słonimskiej. Miała ona rozwiązać higieniczne dylematy białostoczan: przestrzegać prawa czy nie, kąpać się przed Wigilią czy może dopiero na Wielkanoc.

Reklama łaźni, 1932 r.



Brylanty, dolary, skarby

Ci, co są przy pieniądzach, twierdzą przewrotnie, że szczęścia one nie dają. Ci, co stracą majątek, traktują to jako nieszczęście. Białostockie annały zawierają kilka pysznych przykładów obrazujących ten paradoks.

Pewnego lipcowego dnia 1923 roku dziewiętnastoletnia Chana przyszła do pracy w sortowni szmat Mosze Zilbera przy ulicy Ciepłej. Zajęcie jej polegało na segregowaniu materiałów według kolorów. Gdy trafiły się ubrania, dziewczyna musiała je porozrywać, tak aby podszewka, watolina i materiał wierzchni trafiły na odpowiednią stertę. Praca monotonna i niezbyt przyjemna, ale zawsze praca. Chana właśnie rozrywała „marynarkę watowaną, oczywiście w stanie okropnym", gdy nagle coś ostrego ukłuło ją boleśnie w palec. To coś znajdowało się w watolinie, pod podszewką. Zaintrygowana dziewczyna zaczęła szybko przeszukiwać strzępy marynarki i… osłupiała. Jej oczom ukazała się bowiem złota szpila z brylantem. Natychmiast

NINIEJSZYM PODAJĘ DO ŁASKAWEJ WIADOMOŚCI SZ. KLIENTELI, IŻ Z DNIEM 1 LUTEGO 1939 R. SKLEP MÓJ

ZEGARMISTRZOWSKO-JUBILERSKI

oraz warsztat reperacyjny

PRZENOSZĘ NA RYNEK KOŚCIUSZKI 41

obok Cukierni „Zjednoczenia"

I PROSZĘ O DALSZE POPARCIE

Z poważaniem

Jerzy Sobieraj

Reklama, 1938 r.

wokół Chany zaroiło się od robotników, którzy przerwali pracę. Znawcy biżuterii, a takich gdzie jak gdzie, ale w sortowni szmat było wielu, brali złoto na ząb, swoimi sposobami chcieli sprawdzać brylant. Sprytna dziewczyna nie dała się zwieść opiniom, że to tylko tombak ze szkiełkiem, bo i skąd złoto i brylanty w śmierdzącej marynarce u Zilbera. Po zakończeniu pracy Chana udała się do jednego z jubilerów przy Rynku Kościuszki. Ten „fachowo" ocenił znalezisko i orzekł, że warte jest 20 mln marek. Brzmiało ładnie. Tyle że dolar kosztował wówczas prawie 6,5 mln marek. Dla porównania za kilogram cukru trzeba była zapłacić 250 tys., a za litr mleka 40 tys. marek. Wynikało z tego, że znalezione precjoza warte są 3 dol. albo, jak kto woli, 80 kg cukru. Dziewczyna oświadczyła chytremu jubilerowi, że szpili mu nie sprzeda. Zachowa ją na swój posag, dzięki któremu przypuszczalnie dobrze wyjdzie za mąż. I tak to następnego dnia, skoro świt, najbardziej posażna panna z ulicy Marmurowej jak co dzień poszła do swojej sortowni szmat na Ciepłą. Ciekawe czy te 20 mln przemieniło się w jej szczęście?

Z pewnością mniej szczęścia miał pewien białostocki kupiec, który w lipcu 1923 roku po załatwieniu transakcji w Warszawie udał się pociągiem w powrotną drogę do Białegostoku. Miał przy sobie okrągłą sumkę 40 „prawdziwych, niefałszowanych dolarów". Obawiając się złodziei, schował je do czapki, pod podszewkę. Czapkę nasadził na głowę i zasiadł w przedziale. Co chwila, dyskretnie, tak mu się przynajmniej wydawało, dotykał swojego kapitału, chcąc niby to poprawić fason czapki. Upał tego dnia był okropny, ale kupiec ani myślał o zdjęciu nakrycia głowy. Gdy tylko sen go morzył, to zaraz podskakiwał i nuże sprawdzać, czy ma czapkę na swoim miejscu. Tak dojechał do Małkini. Tu zaciekawiony zwrócił się w stronę okna i to był błąd. W tym samym bowiem momencie podróżujący z nim w przedziale mężczyzna zerwał mu czapkę z głowy i zanim kupiec zdołał zareagować, wyskoczył z wagonu i znikł w krzakach otaczających zewsząd stację. Pomimo krzyków i próby schwytania złodziejaszek przepadł wraz z drogocenną czapką. Ot, taka banalna historia.

Ale to, co przytrafiło się pewnemu kupcowi spod Krakowa, było już komentowane szeroko w całym Białymstoku. Przyjechał on we wrześniu 1932 roku z zamiarem kupienia sukna,

W NOWYM POWIĘKSZONYM LOKALU
CHRZEŚCIJAŃSKI MAGAZYN
Zegarmistrzowsko - Jubilersko - Złotniczy



JERZY SOBIERAJ
Białystok, Ryn-Kościuszki 4/1
obok cukierni „Zjednoczenia"

POLECA:
ZEGARY i ZEGARKI
BIŻUTERIE

Reklama, 1938 r.

trykotu bądź innych tkanin. Na ten cel przeznaczył nielichą sumkę: 1000 zł i 700 dol., a ten „chodził" wtedy po 8 zł. Czasy były ekonomicznie niepewne, więc przezorny biznesmen wiózł gotówkę ze sobą. Aby jej w głupi sposób nie stracić, wiadomo pociągi, złodzieje, oszuści itp., włożył całą sumę w nogawkę kalesonów, które miał, rzecz jasna, na sobie. Gwarantem bezpieczeństwa zdeponowanych w kalesonach funduszy był troczek, służący do zawiązania końca nogawki wokół łydki. Tak dosłownie nadziany forsą, paradował nasz jegomość po Białymstoku w poszukiwaniu najlepszego, a zarazem taniego towaru. Na ulicy Sienkiewicza zdarzyła się rzecz straszna. Rozwiązał się kalesonowy troczek. Od tej pory każdy krok przedsiębiorcy wart był kilkadziesiąt złotych. Bo tak się mu z nogawki sypały na białostocki bruk pieniądze. Wiejący tego dnia od Białej wiatr unosił banknoty za sunącym po trotuarze kupcem. Leciała za tym „filantropem mimo woli" cała zgraja uliczników, zbierając sypiącą się jak manna z nieba fortunę. Nieszczęsny kupiec, nim się zorientował, stracił 750 zł i wszystkie dolary. Przybyłemu na miejsce policjantowi zdołał jedynie wykrztusić: „gdy zobaczyłem, jak oni się gonili – to mnie było możno powiedzieć – bardzo wesoło. Ja nie myślałem, że to moje pieniędzy. A potem pomacałem się i…".

Kolejna historyjka zahacza o najwyższe finansowe sfery. Nie od dziś wiadomo, że mieć w rodzinie choćby kierowcę czy lokaja od Rotszylda to tak, jakby Pana Boga za piętę złapać. Ale być samym Rotszyldem – to raj. Przy ulicy Szkolnej, prowadzącej z Suraskiej na Schulhof, na którym stała wielka synagoga, w skromnym drewnianym domku od dziesięcioleci mieszkała rodzina Rotszyldów. Nawet im do głowy nie przychodziło, że są tymi Rotszyldami. Aż tu nagle, w maju 1927 roku, do zarządu białostockiej gminy żydowskiej zwrócił się warszawski mecenas Leon Paryński. Oświadczył on, przedstawiając wiarygodne dokumenty, że oto w Ameryce zmarła Berta Rotszyld, która w swoim testamencie zapisała, że jedynym jej spadkobiercą jest białostocki Rotszyld, Zygmunt ze Szkolnej. Zanim warszawski adwokat skończył swe wywody w siedzibie gminy przy Sosnowej, to już sensacyjna wieść lotem błyskawicy obleciała Kaczą, Wilczą, Suraską, aż dotarła na Szkolną. Po drodze mnożyły się domysły i spekulacje. Która Berta, z którym Rotszyldem,

ile milionów, co z nimi zrobi Zygmunt? Szybko okazało się, że Berta, owszem, była Rotszyld, ale wcale nie z tych Rotszyldów. Spadek też nie robił żadnego wrażenia.

Mówi się też, że pieniądze leżą na ziemi. Wystarczy tylko schylić się po nie i wszystkie kłopoty z głowy. Ponoć tak powstała niejedna światowa fortuna. Tak też mogło być i w Białymstoku. Pod koniec stycznia 1934 roku po mieście rozeszła się sensacyjna wieść. Na dnie Białej leży skarb. I to gdzie. W samym centrum miasta, tuż przy moście na Sienkiewicza. Od tego dnia na tymże moście „zauważyć można było liczne gromadki gapiów bezustannie wpatrujących się w nurty rzeki". A tam, na dnie, jak na dłoni leżały całe masy dziesięciozłotowych monet. Czy to mroźna zima czy wstyd, faktem jest, że wszyscy gapili się w ten zatopiony skarb, a nikt nie wchodził do wody, aby go wydobyć. Widać marzenia o bogactwie sprawiały większą przyjemność niż ono samo połączone z kąpielą w cuchnącej wodzie. Nadeszła niedziela. Ludzi na moście było tego dnia, co zrozumiałe, jeszcze więcej. W pewnym momencie tłum zafalował. Dało się słyszeć przeciągłe „Oooo..." i wszyscy wstrzymali oddech. Oto w „nurty rzeki" wskoczył nieznany młodzieniec „łasy na 10-cio złotówki". Napięcie wśród gapiów doszło do zenitu, gdy młodzieniec sięgnął zamaszyście po mieniące się monety i spod wody wydobył jedynie błyszczące blaszki. I w jednym momencie wybujałe marzenia o bogactwie prysły jak mydlana bańka. „Zawiedziona w nadziejach gawiedź momentalnie rozpierzchła się".



Budynek szpitala onkologicznego w Białymstoku, lata 60. XX w.

Chęć zysku i sławy

Popołudniówka „Życie Białostockie" 24 października 1958 roku na pierwszej stronie podała sensacyjną informację: „Aresztowanie dr Kostkowskiej. Złą diagnozą powodowała kalectwa". Poruszenie wśród mieszkańców było ogromne. Sprawa była niezwykła, do tego doktor Amelię Kostkowską pomimo młodego wieku ogólnie znano w mieście. Do Białegostoku przyjechała w 1953 roku. Miała zaledwie 26 lat, a już za sobą karierę, której mógłby pozazdrościć jej niejeden doświadczony lekarz.

Zaczęła pracę w 1949 roku w warszawskim Instytucie Radowym i szybko stała się tam prawą ręką dyrektora. Rok później była już sekretarzem Polskiego Towarzystwa Onkologicznego. Zajmowała eksponowane stanowisko w redakcji pisma „Nowotwory", sekretarzowała branżowej radzie naukowej przy Ministerstwie Zdrowia. Tak szybkie awanse spowodowały konflikt z pozostałymi pracownikami instytutu. W efekcie przeniesiona została do Krakowa. Oczywiście i tu objęła kierownicze stanowisko. Warszawski scenariusz się powtórzył, wobec czego ambitną lekarkę wysłano do Białegostoku. Urażona uznała to za karę.

Po wojnie białostocka onkologia zaczęła się dopiero organizować. Doktor Kostkowska po przeniesieniu została kierownikiem powstającej Wojewódzkiej Przychodni Onkologicznej i ordynatorem oddziału onkologicznego w Wojewódzkim Szpitalu Ginekologiczno-Położniczym. Dodatkowo prowadziła prywatną praktykę. Zachowała swoje warszawskie znajomości

i wpływy, co w opinii białostockiego środowiska czyniło z niej osobę uprzywilejowaną. Także traktowano decyzję ministra zdrowia, który w 1954 roku uznał jej specjalizację drugiego stopnia w onkologii. Obiektywnie jednak zauważano, że Kostkowska poświęca pracy cały swój czas. To wszystko wróżyło niezwykłą karierę.

W Białymstoku przystępowano do realizacji planów budowy szpitala onkologicznego. Panowała powszechna opinia, że jedyną kandydatką na jego dyrektora jest doktor Amelia Kostkowska. Może i tak by się stało, gdyby 3 września 1958 roku do przychodni nie zgłosiła się Adolfina M. Po szybkim badaniu Kostkowska zawyrokowała: rak. Pacjentka była przerażona i zdezorientowana. Lekarka nalegała, żeby natychmiast rozpocząć leczenie. Nie czekając na wyniki badań histopatologicznych, założyła Adolfinie M. korki radowe. Następnego dnia w szpitalu zjawiła się córka pacjentki i po rozmowie z matką zarzuciła lekarce zaniechanie podstawowych badań i zbyt pochopne rozpoznanie. Swoją drogą, ciekawe, skąd pochodzące z podbiałostockiej wsi kobiety tak szybko zorientowały się w nieprawidłowościach leczenia. Czyżby ktoś wcześniej im to wyjaśnił? Czy była to próba rewanżu któregoś z kolegów na ambitnej lekarce? Tego wątku ani w śledztwie, ani podczas rozprawy nie poruszano.

Sprawa stała się oficjalna i rozpoczęto szpitalne dochodzenie. W jego trakcie zaczął wyłaniać się inny wizerunek doktor Kostkowskiej. Prowadzone przez nią dokumentacje pacjentek były niekompletne. Jej decyzje zaczęły budzić podejrzenia o nierzetelność. 24 października lekarka została aresztowana. W „Życiu Białostockim" pisano, że „przeciwko dr Kostkowskiej toczy się śledztwo w sprawie stawiania fałszywych diagnoz i błędnego leczenia. Dr Kostkowska dopuściła się szeregu uchybień zawodowych, wykraczających poza normy etyki lekarskiej". Rok później, 9 listopada, przed białostockim sądem wojewódzkim rozpoczął się przewód sądowy. Akt oskarżenia zawierał 33 zarzuty dotyczące błędów lekarskich, łapownictwa i malwersacji finansowych.

Co zrozumiałe, proces stał się sensacją. Sprawozdawca sądowy „Gazety Białostockiej" pisał o tłumach zainteresowanych, którzy chcieli dostać się na salę rozpraw. Liczba kart wstępu była jednak ograniczona – mogło wejść tylko 120 osób. Musiała nawet interweniować milicja, „odprowadzając sporą grupę osób oblegających drzwi sali rozpraw". Sprawie przyglądali się także przedstawiciele prasy z całego kraju oraz „świata lekarskiego, prawniczego i naukowego". Któregoś dnia przybyła też Polska Kronika Filmowa, co spowodowało opóźnienie w rozpoczęciu rozprawy, ponieważ oskarżona na wiadomość o jej obecności odmówiła wyjścia na salę.

Proces trwał trzy tygodnie. Sąd najpierw zajął się błędami lekarskimi. Doktor Kostkowska złożyła wyjaśnienia, przesłuchano za zamkniętymi drzwiami pacjentki. Co ciekawe, lekarka nie wykazywała większego zdenerwowania, jednak w końcu przyznała: „postępowałam zbyt pochopnie, zbyt uwierzyłam sobie. Uważałam, że tak mi wolno robić. Pochopnym postępowaniem zaniedbywałam czynności, do których byłam zobowiązana".



Prowadzący rozprawę sędzia Kazimierz Mochtak, wiceprezes sądu wojewódzkiego



Zeznaje dr Amelia Kostkowska



Biegli sądowi. W środku prof. Maria Byrdy

Po zakończeniu wyjaśnień biegłych, które dotyczyły aspektów medycznych, sąd zajął się nie mniej bulwersującą sprawą korupcji. Lekarkę oskarżono, że „pracując w Poradni Onkologicznej i przeprowadzając leczenie raka skóry, żądała od swoich pacjentów honorariów". Zeznawało 27 świadków. Jedna z pacjentek opowiadała, że „za pierwszą kurację radową przeprowadzoną w Poradni Onkologicznej zapłaciła oskarżonej 400 zł. Ponieważ podczas pierwszej rozmowy z Kostkowską nie miała takiej sumy, oskarżona powiedziała jej, że jak nie ma pieniędzy, to nie będzie leczenia". Publiczność wysłuchała też wstrząsającej historii męża jednej z pacjentek. Sprzedał on cały i tak niewielki dobytek, aby sprostać wymaganiom finansowym lekarki i ratować swoją żonę, której stan w chwili rozpoczęcia leczenia i tak był beznadziejny.

Kolejnym zarzutem postawionym oskarżonej były malwersacje finansowe przy tak zwanych badaniach masowych. Kostkowska rozpisywała sumy, które rzekomo wydatkowała na ich realizację, po czym część z tych pieniędzy przywłaszczała sobie.





Onkologiczny ośrodek nie zaczął najlepiej, następne lata pokazały jednak, że były to tylko złe dobrego początki. Czyn społeczny personelu medycznego przy rozbudowie szpitala onkologicznego, lata 70. XX w.

W następnych dniach procesu sąd zajął się stosunkami służbowymi w białostockich placówkach służby zdrowia. Tu kluczowe zeznania składali znani i w późniejszych latach lekarze: profesorowie Stefan Soszka, Ludwik Komczyński i Maria Byrdy. Ich zeznania obciążyły Kostkowską. Po ich wysłuchaniu oskarżona poprosiła o możliwość złożenia dodatkowych wyjaśnień. Jako że dotyczyły jej osobistych spraw, sąd utajnił tę część rozprawy. Ale i tak większość zainteresowanych procesem domyślała się, że Kostkowska opowiadała o spisku zawiązanym przez całe środowisko przeciwko niej. Uważała, że miejscowa profesura czuje się przez nią zagrożona i zeznając przeciwko niej, mści się.

Wreszcie 25 listopada 1959 roku swoje mowy końcowe wygłosili prokuratorzy. Lech Lebenstein pytał retorycznie: „kto potrafi obliczyć szkody wyrządzone przez oskarżoną?" i stwierdzał, że Kostkowska „zdyskwalifikowała się jako lekarz, człowiek i obywatel". Drugi z oskarżycieli, Tadeusz Sabat, na zakończenie swojej mowy wniósł o karę 13 lat więzienia,



Czyn społeczny personelu medycznego przy rozbudowie szpitala onkologicznego w Białymstoku, lata 70. XX w.

pozbawienie praw publicznych, zakaz wykonywania zawodu przez 10 lat, zapłacenie grzywny w wysokości 100 tys. zł i przepadek samochodu, który oskarżona kupiła za przywłaszczone pieniądze. Z kolei obrońcy – Tadeusz de Virion, Janusz Kołakowski i Zdzisław Węgliński – wnosili o uniewinnienie oskarżonej. 26 listopada ostatnie słowo wygłosiła lekarka. Sprawozdawca sądowy zanotował:

> nerwowo ściskając chusteczkę w ręku, Amelia Kostkowska wstaje i głosem przerywanym przez szloch mówi: – Chciałam powiedzieć, że przez cały okres swej pracy jako lekarz chciałam ludzi leczyć, nigdy nie chciałam ich kaleczyć. Działałam w myśl swej najlepszej woli, wiedzy i sumienia. To wszystko, co mam do powiedzenia.

30 listopada o godzinie 13.30 sąd ogłosił wyrok: dziewięć lat więzienia, pięć lat zakazu wykonywania zawodu i 100 tys. zł grzywny. Doktor Amelia Kostkowska wyrok przyjęła ze spokojem. To jednak nie koniec historii: 30 września 1960 roku przed sądem najwyższym odbyła się rozprawa rewizyjna. Tym razem wyrok był już ostateczny: 8 lat więzienia, 10 lat zakazu praktyki lekarskiej, 50 tys. zł grzywny i utrata praw obywatelskich.

Sprawa doktor Amelii Kostkowskiej weszła do klasyki polskiego pitawalu. Wanda Falkowska, opisując ten proces, zauważyła, że nie ujawnił on w sposób wyraźny pobudek oskarżonej. Wymienił je jednak prokurator Lech Lebenstein. W swojej mowie oskarżycielskiej jasno stwierdził, że oskarżona działała dla „chęci zysku i sławy".



Teatr Palace, w którym występowali Stanisław Przybyszewski i Julian Tuwim, 1912 r.

Czcigodny Przybyszewski i melancholia Tuwima

19 stycznia 1922 roku przyjechał do Białegostoku Stanisław Przybyszewski. Zapowiadano jego sensacyjny odczyt *O nagiej duszy* w teatrze Palace. Rzecz była o życiu pozagrobowym. Bilety rozeszły się jak świeże bułeczki. Każdy chciał zobaczyć i wysłuchać, co też spowity chmurą skandali i rozmaitych wyczynów pisarz i poeta o zaświatach ma do powiedzenia. Złośliwi twierdzili, że dużo, bo jak mało kto potrafił zalewać się w trupa. No ale Przybyszewski w 1922 roku to już nie ten sam Stach, co 20–30 lat wcześniej w berlińskich i krakowskich czasach. Teraz był statecznym literatem, który jako „chluba literatury polskiej" w 1922 roku obchodził jubileusz trzydziestolecia twórczości „entuzjastycznie obchodzony w całej Polsce i zagranicą".

Wykład w Palace był na tyle interesujący, że zgromadził „liczne rzesze inteligencji, która z przejęciem słuchała mistrza". Sam Przybyszewski chyba też był zadowolony, skoro po kilku miesiącach, w czwartek 1 czerwca 1922 roku, ponownie przyjechał do Białegostoku. Zatrzymał się oczywiście w hotelu Ritz. Tym razem mówił o dziejach Sztuki. Wieczór, tak jak i uprzednio,

miał się odbyć w Palace. Zapowiadając to wydarzenie, pisano: „nie wątpimy, że publiczność naszego miasta tłumnie pośpieszy, by usłyszeć zajmujące wywody wielkiego poety, a zarazem złożyć Mu należny i głęboki hołd, jako nie tylko świetnemu artyście, ale i wielkiemu obywatelowi". W ostatniej chwili, dzień przed spotkaniem, jakby coś przeczuwając, zmieniono salę, w której Przybyszewski miał spotkać się ze swoimi wielbicielami. Zamiast dużej, mieszczącej kilkaset osób sali teatru Palace, imprezę przeniesiono do sali obrad białostockiego magistratu przy ulicy Warszawskiej. Mimo tego manewru przedsięwzięcia nie uratowano – i tak wyszła z niego klapa. Na spotkanie przyszły bowiem zaledwie 54 osoby. Nazajutrz z sarkazmem pisano, że „Białystok, gród raczej skromny i niemrawy, niż umysłowością inną przodujący. Białystok przeszedł obok Przybyszewskiego, jak mija wół wyniosłe wrota". No cóż, wyblakła gwiazda krakowskich kawiarni wyraźnie nie interesowała już miejscowych dekadentów. Raz zobaczyli i wystarczyło. Ale ci, którzy przyszli, byli usatysfakcjonowani. Zaskoczeni byli tym, że prelegent „roztrząsał nie minioną dobę, lecz dzień jutrzejszy, nie pochodzenie i rozwój, lecz cel i zadanie, do których sztuka zmierza". Wszystko było w duchu dawnego Przybyszewskiego. Wizje, indywidualizm i zaskakujące pointy. Wrażenie zrobił takie, że zwracano się doń per „Czcigodny Wykładowco". Podziwiano poziom „etyczno-literacki". Słowem w magistracie powiało Młodą Polską. Zabrakło tylko nieodzownego absyntu. No cóż, w końcu to urząd.

Na wizytę kolejnego dekadenta skandalisty Białystok musiał trochę poczekać. Od spotkań z Przybyszewskim minęły dwa lata, gdy 2 czerwca 1924 roku przyjechał do Białegostoku nieodłączny jego towarzysz z szalonych krakowskich czasów, Tadeusz Boy-Żeleński. Miał wygłosić odczyt *Jak zostałem literatem*. Magnesem, który przyciągnął do teatru Palace tłumy, były słynne *Słówka*, które „wywoływały na sali huragany śmiechu". Mniejsze wrażenie robiła sława Boya jako „największego znawcy dzieł Moliera". Jak jednak zauważono, „miejscowa inteligencja" była pod wielkim wrażeniem. Z pewnością na widowni Palace było doktorostwo Berta i Wacław Szaykowscy. Bynajmniej nie z powodu Moliera, ale za sprawą samego Boya. Otóż na początku XX wieku Żeleński, praktykujący jeszcze wówczas pediatra, założył organizację pod piękną, dającą się interpretować na kilka sposobów nazwą Kropla Mleka. Tak się zaczęła w Polsce profesjonalna opieka nad samotnymi, młodymi matkami. Od Kropli Mleka do szerzenia idei świadomego macierzyństwa był już tylko krok. Żeleński, dawny bon vivant

Wielki rozgłośnej sławy wszechświatowej pisarz
STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI
WYGŁOSI ODCZYT NA TEMAT
O NAGIEJ DUSZY

Anons prasowy przyjazdu Stanisława Przybyszewskiego, 1922 r.

Zapowiedź wieczoru autorskiego Juliana Tuwima, 1927 r.

Teatr „PALACE". We wtorek, dnia 17 maja r.b. o g. 8-ej w.
JEDYNY WIECZÓR AUTORSKI
JULJANA TUWIMA.
Znakomity poeta odczyta osobiście własne utwory i przekłady
Szczegóły w afiszach. Bilety od 70 gr. do 4 zł. do nabycia w kasie teatru.

krakowskich kawiarni, nic nie straciwszy ze swego dowcipu, erudycji, a zyskawszy eksponowaną pozycję w warszawskim środowisku, stał się głównym propagatorem czegoś, co dziś wydaje się oczywiste. Takimi białostockimi Żeleńskimi byli Szaykowscy. Doktor Berta urodziła się w Białymstoku, w nieistniejącym już domu przy ulicy Mazowieckiej 7. Tak, tak, to adres rodzinnego domu prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego. Matka Szaykowskiej, Maria Oldakowska, była bowiem spokrewniona z Kaczorowskimi. Przyszła pani doktor ukończyła białostockie gimnazjum żeńskie, a następnie studia w Warszawie i Charkowie. Do Białegostoku wróciła w 1919 roku i rozpoczęła praktykę. Była ordynatorem interny w Szpitalu Miejskim przy Lipowej. Jednocześnie podjęła starania o zorganizowanie w Białymstoku pierwszej Stacji Opieki nad Matką i Dzieckiem. Nowa placówka mieściła się w charakterystycznym piętrowym budynku na rogu ulic Kraszewskiego i Starobojarskiej. W 1924 roku Stacja została otwarta. Czy Żeleński był na ulicy Kraszewskiego? Czy spotkał się z Szaykowskimi? Czy może jedynie po odczycie w foyer Palace szybko relacjonowali mu, co robią, jak sobie radzą?

Kończyła się dekadencka epoka. Z warszawskich kawiarni na salony literackie wchodzili skamandryci. Najsłynniejszy z nich, Julian Tuwim, do Białegostoku przyjechał dopiero w 1927 roku. Ale jego związki z miastem sięgają znacznie wcześniejszych lat. W 1872 roku w Białymstoku urodziła się matka poety, Adela Krukowska. Tu mieszkali jej rodzice. Co prawda małą Adelkę oddali na wychowanie babci, która mieszkała w Wiźnie, ale w Białymstoku wychowywali się jej bracia. Jeden z nich, Stanisław, był ojcem Kazimierza Krukowskiego, popularnego „Lopka", doskonałego aktora kabaretów warszawskich. Krukowscy mieszkali w nieistniejącym dziś domu przy ulicy Sienkiewicza 67. Tuwim, przyjeżdżając więc do Białegostoku w 1927 roku, zjawiał się jak u siebie. Jak zwykle przy tego formatu gwieździe najodpowiedniejszym miejscem na zorganizowanie spotkania był teatr Palace. Na jego widowni mogło bowiem zasiąść blisko 800 widzów. Za tak dużą salą przemawiało również to, że zapowiedziano tylko jeden występ poety. Odbyć się miał we wtorek 17 maja o godzinie 20.00. Organizatorzy zapowiadali, że sławny gość odczyta „wiersze liryczne, miłosne, groteskowe i satyryczne. Parodie literackie. Fragmenty poematu *Skrzydlaty Złoczyńca*. Utwory niedrukowane. Tłumaczenia poetów rosyjskich m.in. wyjątki ze *Słowa o pułku Igora*, *Jeźdźca miedzianego*, Puszkina, Baumonta, Briusowa, Sologuba i *Obłoku w spodniach* Majakowskiego". Licząc na sukces kasowy, podkręcono w górę ceny biletów. Najtańsze były po 70 gr. Na inne imprezy w Palace najtańsze bilety szły po 20–25 gr. Ci zaś, którzy chcieli dobrze słyszeć i widzieć poetę, musieli zapłacić aż 4 zł. Jeszcze w przeddzień poetyckiego występu zapewniano, że „wieczór autorski znakomitego poety Juliana Tuwima w Białymstoku wywołał tak olbrzymie zainteresowanie, zwłaszcza wśród młodzieży, że bilety są rozchwytywane". I gdy wszystko zapowiadało się wspaniale, to we wtorkowy wieczór nastąpiło ogromne rozczarowanie. Na widowni Palace zasiadło zaledwie 25-30 osób. Mimo frekwencyjnego blamażu „słuchacze wynieśli z tego wieczora autorskiego najlepsze wrażenie". Recenzent dodawał, że „wiersze czytane przez p. Tuwima, ich

rość, rytm, liryzm i ekspresja wybitnie świadczyły, iż mamy do czynienia z poetą z Bożej łaski". Co więc się stało? Przyczyną klęski była nieprzewidziana, a może zbagatelizowana konkurencja. W pobliskim bowiem kinie Apollo, przy ulicy Sienkiewicza 20, tego samego dnia, o tej samej godzinie i też z jednym występem prezentowała się grupa artystów warszawskiej operetki. W pierwszej części wykonywali „szlagier w jednym akcie" pod intrygującym tytułem *Ona ma psa!*. W drugiej części występu warszawiacy zapowiadali „humor, śpiew i tańce". Ta część wieczoru miała też atrakcyjny tytuł *Nóżki na stół!* – w finale tego popisu wykonywano brawurowy w mniemaniu organizatorów numer Felek Pompka. Tę kolizję białostockich upodobań na linii Palace – Apollo skwitowano jadowicie: „Są to gusty i gusteczki: jednemu smakują lody malinowe inny woli prosiaka w sosie chrzanowym… Kto lubi wiersze liryczne znanego poety, a kto – Nóżki na stół".

Może to właśnie w ten majowy, niezbyt udany wieczór, Julian Tuwim wyrobił sobie melancholijny stosunek do Białegostoku. Określił go dokładnie podczas swojego kolejnego pobytu w grodzie nad Białą w lutym 1935 roku. Tym razem publiczność nie zawiodła. Przybyłego na zaproszenie Koła Miłośników Historii Literatury i Sztuki poetę witano i podziwiano tłumnie. Po wieczorze Jan Glinka, prezes Koła, a jednocześnie wybitny białostocki historyk, postanowił towarzyszyć Tuwimowi w nocnej wędrówce po mieście. Czasu mieli sporo, bo pociąg do Warszawy odchodził dopiero o 2.00 w nocy. Panowie zasiedli więc w „Ritzu". Dosyć szybko skonstatowali, że jest tu nudno i pusto. Przeszli więc do pobliskiego „Cafe-Clubu", który mieścił się w Pałacyku Gościnnym przy ulicy Kilińskiego. Tu zastali „gaszenie świateł". Markotni poszli więc na Rynek Kościuszki do popularnego Akwarium. Tu, jak zauważył Glinka, siedziało „parę smętnych postaci". Widząc to wszystko, Tuwim, może też pamiętając pustki w Palace przed siedmiu laty, zwrócił się do Glinki z pytaniem: „Wie Pan, co to jest melancholia?". Nie czekając na odpowiedź, dokończył: „To gdy w lokalu jest więcej personelu niż gości".



Pusta sala restauracji „Ritz", 1935 r.



Kwartet L. Fidlera (drugi od lewej) i S. Kwarta (trzeci od lewej) w restauracji „Ritz", około 1928 r.

Hejm Majn Białystok

Hejm Majn Białystok – Białystok to mój dom. To tytuł tęsknej piosenki napisanej w 1951 roku w Stanach Zjednoczonych przez dwóch białostoczan – skrzypka i kompozytora Natana Cygana oraz poetę Abrahama Szewacha. Ich przygoda z Ameryką zaczęła się jednak dużo wcześniej.

Międzywojenny Białystok bawił się na całego. Jak grzyby po deszczu powstawały nowe zespoły muzyczne. Na Sienkiewicza, Rynku Kościuszki czy Kilińskiego wieczorami słychać było piskliwe klarnety i swingujące saksofony. To grały „Aronson orkiestra", „Kwart kwartet", „Pomeranc music", „Cytron duet" czy „Cygan trio". Tym ostatnim ansamblem kierował Natan Cygan. Pamiętano, że w 1921 roku skomponował marsza na cześć Marszałka Józefa

Piłsudskiego. W 1925 roku o Cyganie po raz pierwszy usłyszano w Ameryce. Pewną popularność zdobyła tam jego muzyka do któregoś z niemych filmów. Była tak wpadająca w ucho, że opatrzona tytułem *Dramatic Appasionato*, chętnie była grywana nie tylko w kinowych salach.

Zachęcony sukcesem, około 1930 roku postanowił więc Cygan popłynąć do Ameryki. Zamieszkał w Nowym Jorku, na Brooklynie. Aby robić światową karierę, zmienił pisownię nazwiska na Nathan Cyganerii (występował też pod imieniem Jeremia) i wkrótce stał się popularnym kompozytorem piosenek. Dyrygował też brooklyńskimi orkiestrami. W 1934 roku skomponował swój największy szlagier *In klein sztetel bin ich geboren* (Urodziłem się w małym miasteczku). To było rzewne wspomnienie Białegostoku. Sukces był gwarantowany po obu stronach oceanu. We wrześniu 1935 roku do Białegostoku dotarły nuty z piosenką Cygana vel Cigianieriego. Sprowadził je Łazarz Wołkomirski, właściciel składu instrumentów muzycznych przy ulicy Sienkiewicza 10. Do nut pieśni dołączone były teksty w oryginalnej wersji żydowskiej, ale też można było nabyć wersję angielską *A mames voontch*. Ta się jednak nie sprawdziła. Wszystkie egzemplarze z tekstem żydowskim rozeszły się jak świeże bułeczki, a angielskie jeszcze długo zalegały na półkach. W 2008 roku w Stanach Zjednoczonych wydana została płyta *Tangele – Pulse of jidysz Tango*. Na 17 utworów 3 są dziełem białostockiego duetu Cygan–Szewach.



Izaak Szkolnikow (w okularach), założyciel wielu zespołów muzycznych, w otoczeniu orkiestry uczniów Gimnazjum Hebrajskiego w Białymstoku, około 1925 r.

Inna muzyczna, białostocko-amerykańska historia zaczęła się dużo wcześniej, bo w 1889 roku, kiedy to do skromnego mieszkania przy synagodze chóralnej przy ulicy Żydowskiej (obecnie Białówny) wprowadził się młody muzyk – Jakub Berman. Jego głównym zajęciem było prowadzenie synagogalnego chóru. Wnet okazało się, że młody chórmistrz ma niepospolity talent pedagogiczny. Zatrudniony więc został jako nauczyciel śpiewu w pobliskich żydowskich szkołach. Odtąd dzień Bermana wypełniały lekcje. Zaczynał w powszechnej szkole dla żydowskich dziewcząt, prowadzonej przez Karola Kapłana, mieszczącej się w kamienicy Lejba i Simy Guzów przy ulicy Mikołajewskiej (obecnie Sienkiewicza). Ledwo skończył śpiewać z dziećmi, już czekały na niego podlotki w żydowskim gimnazjum Gwirca przy ulicy Kupieckiej (obecnie Malmeda). Po kilku latach zyskał renomę najlepszego nauczyciela śpiewu. Nic więc dziwnego, że tuż przed wybuchem wojny, w 1913 roku, pracował aż w sześciu szkołach. Ale najważniejsza w jego życiu okazała się dwuklasowa powszechna szkoła dla żydowskich dziewczynek, której dyrektorem był Lew Babicki. Mieściła się w kamienicy Wiktora i Ciwy Aszów przy ulicy Mikołajewskiej. Berman także tu prowadził chór.

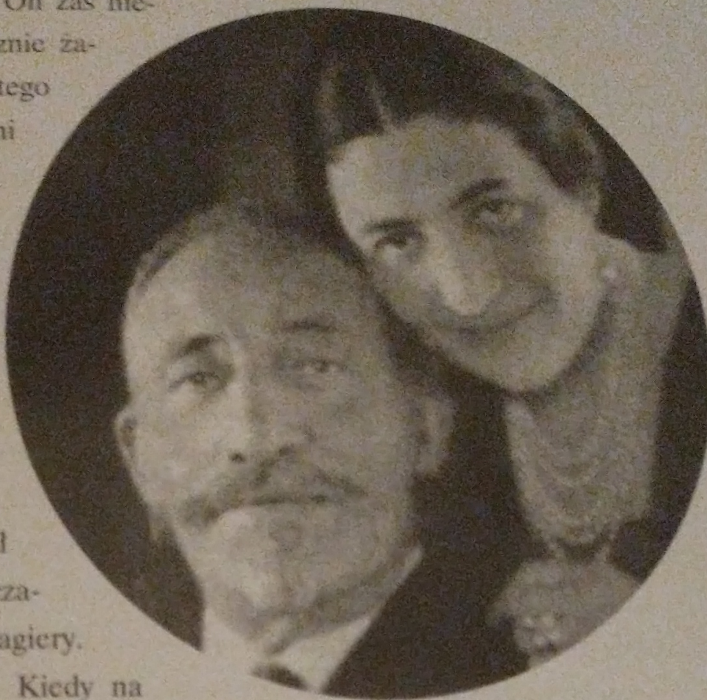
W 1900 roku do szkoły Babickiego zapisana została Rajca Bursztejn. Pochodziła z ubogiej rodziny. Była półsierotą oddaną przez ojca kuzynom na wychowanie. Berman od razu zachwycił się nadzwyczajną muzykalnością siedmioletniej dziewczynki. Nie znała nut, a bezbłędnie powtarzała podane jej melodie. Odśpiewywała też ze słuchu zasłyszane gdzieś w mieście piosenki, a nawet powtarzała Bermanowi dźwięki katarynki, które słyszała na Rynku. Mała Rajca miała też niezwykle silny, dźwięczny jak na małe dziecko głos. Berman, wytrawny nauczyciel, wiedział, że to niezwykły talent, poświęcał więc swej uczennicy więcej czasu. W czerwcu 1906 roku miał miejsce w Białymstoku tragiczny pogrom żydowski. Kuzyni Rajcy, obawiając się o swoją przyszłość, wyemigrowali wraz z dziewczynką do Włoch. Tu w 1912 roku zaczęła się wielka kariera śpiewaczki Rosy Raisy, dziewczynki, która pierwsze pieśni śpiewała w chórze szkolnym Bermana. Najpierw były Neapol, Rzym, Parma, ale już w 1913 roku Rosa wystąpiła w Filadelfii. Sukces był ogromny. Amerykanie uwielbiali historie takie jak Rosy, białostoczanka więc bez większego trudu podbiła ich serca. Na długie lata artystka związała się z operą chicagowską, ale występowała też między innymi w londyńskim Covent Garden Theatre i w mediolańskiej La Scali. Ostatni raz publiczność zachwycała się jej śpiewem w 1938 roku. Po zakończeniu kariery zajęła się nauczaniem śpiewu. Do śmierci w 1963 roku mieszkała w Los Angeles.

Ale wróćmy do Białegostoku.

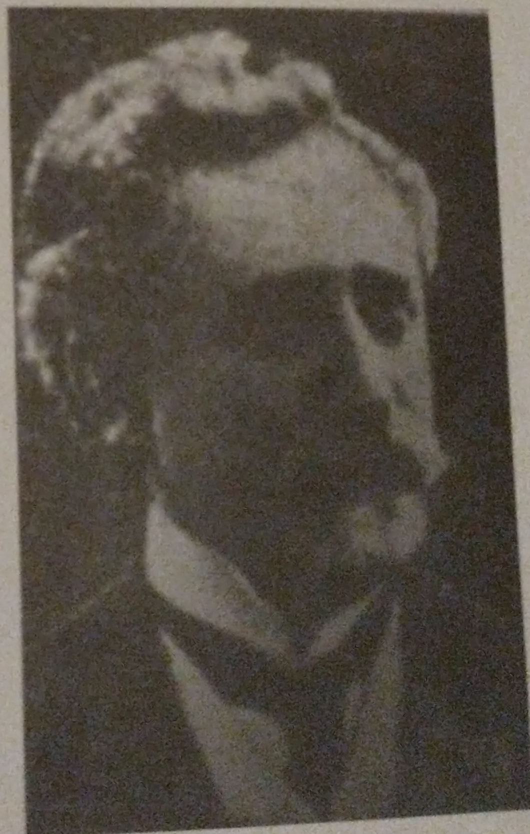
Wybuchła wojna. W sierpniu 1915 roku miasto zajęli Niemcy. Wszystkie szkoły zostały zamknięte. Berman wynajmował się ze swym synagogalnym chórem i ilustrował muzycznym podkładem nieme filmy wyświetlane w kinoelektroteatrach Palace czy Modern. Nie zwracał uwagi na repertuar, no bo przecież szło wyłącznie o zarobek, a nie o upodobania. Zdarzyło się, że synagogalny chór śpiewał pod „film ultra chrześcijański”. Natychmiast uczynione zostały

Bermanowi z tego tytułu zarzuty. On zaś niewzruszony ripostował, że „ostatecznie żaden Żyd nie wychrzci się z powodu tego filmu, a ja tymczasem wraz z moimi chórzystami zarabiam na życie na cały tydzień i dzięki temu mogę śpiewać co sobotę w synagodze".

Po zakończeniu wojny nie wrócił już do tak intensywnej pracy nauczycielskiej. Pochłonęła go natomiast inna pasja – komponowanie. Bacznie śledził światowe nowości i natychmiast reagował na zmieniające się mody. Białostoczanie z upodobaniem nucili jego szlagiery. Cieszył się więc zasłużoną sławą. Kiedy na wiosnę 1929 roku wychodząca w Białymstoku żydowska gazeta „Dos Naje Łebn" zorganizowała plebiscyt na najpopularniejszych miejscowych Żydów, to Berman znalazł się w gronie 25 wybitnych luminarzy. Byli wśród tego wyśmienitego towarzystwa doktorzy Rajgrodzki i Pines, adwokat piastujący urząd wiceprezydenta miasta Maksymilian Ziemilski, rabini Rozenman i Fajans oraz potentaci finansjery i przemysłu Tyktin, Markus i Lifszyc. W tym samym roku przypadł jubileusz czterdziestolecia pracy artystycznej Jakuba Bermana. Z inicjatywy Koła Literatów i Dziennikarzy Żydowskich w Białymstoku w teatrze Palace odbył się benefis artysty. W niedzielny wieczór, 10 marca, widownia teatru wypełniona była po brzegi. Zjawił się cały kulturalny Białystok. Nie brakowało też i dawnych wychowanek, chórzystek, które Berman wprowadzał w tajniki sztuki śpiewu. Laudację o jubilacie wygłosił inżynier Michał Zabłudowski. To, że właśnie on podnosił zasługi maestra, było dla zebranych i dla samego



Rosa Raisa z ojcem Hirszem Bursteinem, 1922 r.



Jakub Berman, około 1930 r.

Bermana ważne. Oto przedstawiciel znamienitego, potężnego rodu finansistów, przemysłowców, filantropów, który przez blisko 150 lat odgrywał wiodącą w Białymstoku rolę, skłaniał się z szacunkiem przed muzykiem, nauczycielem, chórmistrzem. Po Zabłudowskim wystąpił Pejsach Kapłan. To kolejna wielka postać. Pisarz, dziennikarz, charyzmatyczny kreator życia kulturalnego i społecznego. Kapłan przedstawił zebranym życiorys jubilata. Po przemowach zaczęto odczytywać listy i depesze gratulacyjne. Berman nie ukrywał wzruszenia. Siedząc na honorowym miejscu, na środku sceny, nie był w stanie powstrzymać łez szczęścia. Czy dotarła do Białegostoku depesza gratulacyjna od gwiazdy światowych scen operowych, primadonny chicagowskiej opery, jego dawnej ukochanej uczennicy Różyczki Bursztyn vel Rajcy Bursztejn vel Rosy Raisy? Po depeszach zaczął się w końcu długo oczekiwany koncert. Wykonywano na nim wyłącznie kompozycje jubilata, nagradzane gorącymi oklaskami.

W lutym 1935 roku największa polska wytwórnia płyt gramofonowych, „Syrena Elektro", nagrała ostatnią skomponowaną przez Bermana piosenkę. Był to walc angielski *Czy wiesz*. Śpiewał ją nie byle kto, bo sam Adam Aston (Adolf Loewensohn), aktor, piosenkarz, bożyszcze publiczności. Cała Polska nuciła za nim *Każdemu wolno kochać*. Sukces *Czy wiesz* dzięki pięknemu głosowi Astona był gwarantowany. Ale nie był on już udziałem Jakuba Bermana. Zmarł w marcu 1935 roku.





Uliczka w pobliżu Rynku Rybnego, 1911 r.

Miłosne perypetie

Wychodzący w Krakowie „Ilustrowany Kurier Codzienny", popularnie zwany „Ikacem", w październiku 1936 roku podał „niby na serio" elektryzującą wiadomość z Białegostoku. Wynikało z niej, że nad Białą przybyć miał pewien londyńczyk, przedstawiciel organizacji, której celem było ułatwienie wyjścia za mąż niezamożnym pannom. Tajemniczy przybysz miał założyć w Białymstoku filię angielskiego stowarzyszenia. Swoim członkiniom miało ono wypłacać posag w wysokości od 1000 dolarów w górę. Ale aby otrzymać tę kwotę, należało spełnić trzy statutowe warunki:

1. Panieństwo w latach od 35 do 50.
2. Premiowana brzydota
3. Agresywne usposobienie wobec przyszłego małżonka.



Ulica Kupiecka, 1910 r.

Po Białymstoku krążyły wieści, że biuro lada moment zostanie otwarte przy ulicy Lipowej. Złośliwcy zapytywali znajome panny, które spełniały statutowe warunki, czy już mają odpowiednie posagi, czy też czekają jeszcze w kolejce. Wkrótce okazało się, że wszystko to jest jedynie żartem. Ale wcale nie były fikcją zakrawające o żart miłosne perypetie białostoczan.

W 1931 roku Amor dopadł niejakiego Szymona Zająca. Młodzieniec ów mieszkał na drugim piętrze kamienicy przy Rynku Rybnym. Targały nim tak wielkie namiętności, że doprowadziły go do desperacji. Pewnego majowego, słonecznego dnia przebudził się o 6 rano i stwierdził, że jego wybranka jest jedynie sennym mirażem. Zrozpaczony wszedł na parapet, otworzył okno i skoczył. Łomot był straszny, ale Zając z niedowierzaniem stwierdził, że żyje i nic mu nie jest! Klnąc na czym świat stoi, wrócił do swojego mieszkania, wszedł na parapet i ponownie wyskoczył przez okno. Tym razem leciał krócej, bo zaczepił się o balkon na pierwszym piętrze. Chwilę na nim wisiał, a że balkon nie był zbyt solidnie wykonany, to rozległ się trzask i chłopak poleciał dalej, tyle że… z balkonem. Obtłuczonego o bruk Zająca odwieziono do szpitala żydowskiego na Warszawską. Tam lekarze ze zdumieniem stwierdzili, że desperat ma jedynie porządne siniaki.

Innego rodzaju komplikacje uczuciowe były udziałem nadzwyczaj urodziwej córki Romana Samitowskiego. Prowadził on od 1909 roku ekskluzywny magazyn z obuwiem przy ulicy Lipowej 16. Samitowszczanka w 1935 roku „uzyskała maturę i zaraz rozpoczęła romansowanie”.

Pierwszym jej wybrańcem został pewien młody handlarz manufaktury. On też był niedawnym maturzystą, przeto młodzi mieli wiele wspólnych tematów. I gdy wydawało się, że miłość będzie kwitła, to kochliwa panna szybko przerzuciła swe uczucia na bogatego wdowca, też zajmującego się manufakturą. Miał on swój sklep przy ulicy Sienkiewicza i odtąd dzień w dzień Samitowszczanka z Lipowej kursowała na bulwary, jak czasem nazywano odcinek Sienkiewicza za Białą. Tymczasem „zdradzony maturzysta szalał z rozpaczy i walczył o odzyskanie względów dziewicy". W trakcie tej walki w dyskretnym liściku poprosił ukochaną o ostatnie spotkanie. Młodzi umówili się właśnie na bulwarach. Cóż za brak roztropności! Gdy młodzian wyjaśniał żarliwie, że żyć bez dziewczyny nie potrafi, z naprzeciwka, po zamknięciu sklepu, nadszedł jego starszy rywal. Widząc, co się kroi, wymierzył sążnisty policzek konkurentowi. Ten bez namysłu oddał wybrankowi swej wybranki. A dalej to już bez czekania na riposty obaj zaczęli się bezprzykładnie bić. A co robiła ona? „Panna chusteczką ocierała krew spływającą z twarzy obu amantów, którzy dotkliwie poturbowani opuścili wreszcie plac boju". Sprawa tej romansowej bijatyki swój finał znalazła w sądzie, ale jej wynik nie interesował już Samitowszczanki. Romansowała dalej.



Oswald Trylling,
około 1930 r.

Niemniejsze kłopoty, tyle że z romansowym synem, miał białostocki potentat przemysłowy, Oswald Trylling. Fabrykancki synalek, bon vivant, pieszczotliwie nazywany Maksiem, rozbijający się po Białymstoku samochodem, upatrzył

Reklama Magazynu
Marii i Romana Samitowskich,
1913 r.





M. SAMITOWSKA



Szewc w Białymstoku.

Utrzymuje Magazyn obuwia: Damskiego, Męzkiego i Dziecinnego

PRZY ULICY LIPOWEJ, DOM EPSZTEJNA, vis-a-vis SOBORU.

sobie pewną dziewiętnastoletnią robotnicę w ojcowskiej fabryce. Dziewczyna nie potrafiła oprzeć się zalotom przystojnego, bogatego i pewnego siebie młodzieńca. Przeto „różne kumoszki i dziewice miały żniwa językowe dzięki temu romansowi". W listopadzie 1935 roku kochanka fabrykanckiego książątka zasłabła w pracy. Nikt nie zorientował się, że jest ona w stanie błogosławionym. Wezwano lekarza „nie mającego nic wspólnego z akuszerką". Ten z miejsca zorientował się w czym rzecz. Na to wszystko nadszedł Oswald Trylling. Jego robotnicy opowiadali później w swoich domach, „gdybyście widzieli jego minę, gdy oświadczono mu, że dzięki jego synowi robotnica przyczyniła się do wzrostu ludności w naszym kraju". Niestety nieszczęsna dziewczyna, może co najwyżej wsparta jakąś kwotą z Tryllingowego portfela, dalej w życiu musiała sobie radzić sama.

Dopełnieniem tych romansów niech będzie historia Manesa Wejdenbauma, mieszkającego przy ulicy Kupieckiej 33 (obecnie Icchaka Malmeda). Młodzieniec ów w 1928 roku poznał, jak to określono, stuprocentową pannę z Łomży. Tak mu przypadła do gustu, że w mig się oświadczył, a od jej ojca wziął zaliczkę *a conto* posagu. Było tego, bagatela, 3 tys. zł. Rozpoczęto przygotowania do ślubu. Tymczasem Manes zaczął grać na zwłokę. A to nie mógł przyjechać do Łomży, a to musiał z niej nagle wyjechać. Zaczęto go za to coraz częściej widywać w Grodnie. Miał tam zaprzyjaźnionego potentata loteryjnego Marejna. Ten na nieszczęście też miał córkę. No może nie tak piękną stuprocentowo jak łomżynianka, ale wiadomo – uroda przemija, a kapitał dobrze ulokowany rośnie. Zaczął więc nasz Casanova smalić cholewki do posażnej grodnianki. Rychło doszło do oświadczyn, które zostały przyjęte. Wejdenbaum dodatkowo wsparł je dwoma łomżyńskimi tysiącami, czym do końca zjednał sobie Marejna. Wkrótce odbyło się huczne wesele, na które poszedł i trzeci tysiąc. Szczęśliwy tatuś, loteryjny potentat, pomógł nowożeńcom uruchomić w Białymstoku przy ulicy Kupieckiej kolekturę loteryjną. Manes pławił się w dobrobycie. Aż tu nagle w 1931 roku zjawiła się stuprocentowa panna z Łomży z żądaniem zwrotu posagu. Zrobiła się niezła awantura. Manes udawał, że nie wie, o co chodzi. Była narzeczona, nie w ciemię bita, udała się więc do rabinatu. Manes nadal nic. Zmiękł, gdy sprawa dotarła do Grodna. Zasmucony ojciec nadesłał telegram: „Panie Manes, bądź dżentelmen. Zwróć posag i kwita".







Noworoczny dramat



Ulica Warszawska, 1942 r.

Pierwszy dzień 1924 roku wstrząsnął Białymstokiem. Przyczyną była tragedia, która rozegrała się w mieszkaniu generałostwa Marii i Stanisława Stelnickich. Ale zacznijmy od początku.

Stelnicki urodził się pod Wilnem. Rodzice posłali go do szkoły wojskowej w Petersburgu. Szlify generalskie zdobywał w boju. Walczył w Turcji i w Chinach. Gdy wybuchła I wojna światowa, powierzono mu dowództwo Brygady Finlandzkiej. W trakcie działań wojennych wykazywał się wielokrotnie niepospolitym męstwem. Jeszcze w 1914 roku Stelnicki poznał uroczą czterdziestolatkę, Marię Raczkowską. Była dentystką w dowodzonym przez niego korpusie.

Stelnicki, wtedy już żonaty i z trójką dzieci, zakochał się w młodszej od niego lekarce bez pamięci. Ona, nieszczęśliwa w swoim małżeństwie, odwzajemniła to uczucie. Odtąd byli nierozłączną parą. Gdy w Rosji do władzy doszli bolszewicy, Stelnicki porzucił służbę wojskową. Wkrótce wstąpił do kontrrewolucyjnej armii generała Aleksandra Kołczaka. Trafił do niewoli, z której uciekł. Ukrywał się, podając się za ogrodnika. Odnalazł Marię i obojgu udało się przedostać z sowieckiej Rosji do Polski. Do Białegostoku już jako małżonkowie przyjechali w 1922 roku, Stelnicki miał wówczas 74 lata. Zatrudnił się jako intendent w wojskowym szpitalu, a gdy ten został rozwiązany, generał otrzymał intratną posadkę w Banku Kredytowym. Maria została dentystką w białostockiej przychodni Kasy Chorych. Zamieszkali w niewielkim, dwupokojowym mieszkaniu na poddaszu domu przy ulicy Warszawskiej 4. Był to parterowy, ale obszerny murowany dom. Jego właścicielka Eugenia Forszteter większość pomieszczeń wynajmowała na mieszkania czynszowe.

W 1923 roku Maria, namówiona przez znajomych, postanowiła pomóc uciekinierowi z bolszewickiej Rosji, Mikołajowi Akimowowi. Ten trzydziestosześcioletni agronom, porzucony przez żonę, przyjechał do Białegostoku i zatrudnił się w Spółdzielni Rolniczo-Handlowej. Wkrótce udało mu się wydzierżawić od niejakich Michałowskich niewielki majątek Janowicze pod Białymstokiem. Aby się jakoś urządzić, potrzebował jednak gotówki. W jej zdobyciu pomogli mu liczni w Białymstoku uciekinierzy z Rosji. Akimow często nawet nie znał swoich dobroczyńców. Tak też było i z Marią, która zastawiła swoją biżuterię, a uzyskane w ten sposób pieniądze przekazała na zbiórkę. Wzruszony jej gestem Akimow w lipcu 1923 roku postanowił osobiście podziękować generałowej za jej bezinteresowny gest. Od pierwszego spotkania pomiędzy Marią a Mikołajem zawiązała się nić sympatii, która wkrótce przemieniła się w gorącą, namiętną miłość. Akimow bywał u Stelnickich codziennie, co nie uszło uwagi starego generała. Marii wydawało się, że mąż niczego nie podejrzewa. Jej plan był prosty. Doczekać, aż sędziwy generał opuści ten ziemski padół, do tego zaś czasu prowadzić grę pozorów. Tymczasem wypadki potoczyły się inaczej.

Był wtorek 1 stycznia 1924 roku. Generałostwu noworoczne wizyty składali sąsiedzi i znajomi. Przyszedł też Akimow. Gdy pozostali goście pożegnali się, w mieszkaniu pozostała tylko trójka bohaterów. Siedzieli przy stole, popijając herbatkę z samowara. Nagle, ku zaskoczeniu

Rosyjskie Towarzystwo Dobroczynności w Białymstoku

Jutro, w niedzielę dn. 7 marca rb. —
w sali restauracji „RITZ"

BLINY

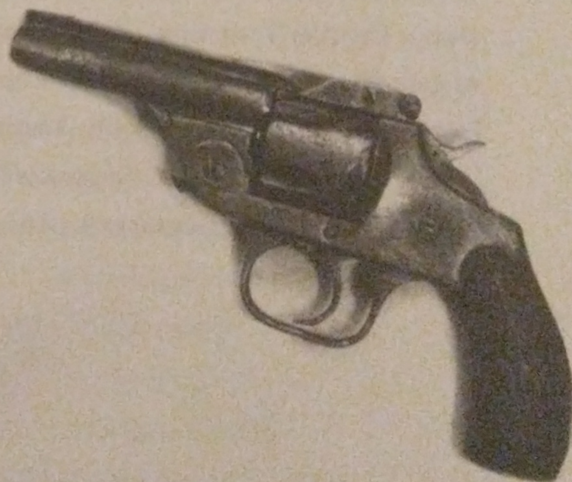
Tradycyjny dancing karnawałowy.
Chór cygański. — Cygańskie romansy. — Charakterystyczne [illegible]ce. —
Moc atrakcyi i niespodzianek
Początek — o godz. 1[illegible] wiecz

Społeczność białostockich Rosjan skupiała się w Towarzystwie Dobroczynności. Anons z 1935 r.



Marii i Michała, generał bez ogródek oświadczył im, że wie o ich romansie. Nie był przecież ślepcem, nie pozwoliłby się oszukiwać. Zaskoczeni kochankowie próbowali oponować, ale Stelnicki ich nie słuchał. Wyrwał z kieszeni surduta parabellum i dwukrotnie strzelił. Jeden z pocisków „ugodził w piersi generałową, drugi w okolice płuc Akimowa. Kule przeszyły nieszczęśliwych i utkwiły w murze". Akimow padł martwy. Generałowa, cała zalana krwią, wybiegła z mieszkania, zbiegła po schodach i zadzwoniła do drzwi mieszkającego na parterze doktora Roznatowskiego. Gdy jej otworzono, zdążyła jeszcze krzyknąć „Ratujcie!" i padła nieprzytomna. Po półgodzinie nie żyła. Tymczasem w mieszkaniu Stelnickich dramat trwał. Generał wziął przygotowaną wcześniej kartkę i napisał na niej swoją ostatnią wolę. „Wszystkie pozostałe rzeczy i pieniądze na pogrzeb mój i żony. St. Stelnicki". Następnie przeszedł do sypialni, położył się na łóżku i strzelił sobie w skroń.

Karawan na białostockiej ulicy, około 1920 r.



Wezwano natychmiast policję. Nie miała daleko, bo Komenda Wojewódzka mieściła się po drugiej stronie ulicy. Śledczy szybko zorientowali się w przebiegu wydarzeń. Pozwolono przenieść ciało Marii do jej mieszkania. Ułożono ją obok generała w sypialni. W saloniku na kanapce leżał martwy Akimow. Białystok aż kipiał od plotek i domysłów. Zastanawiano się, co pchnęło Akimowa do romansu z Marią. Spekulowano: „czy kochał ją? Czy kochał tylko ciało, a nie duszę kobiety?". Okazało się, że generał już w lipcu wiedział o romansie żony. Wystosował wówczas do Akimowa list, w którym żądał natychmiastowego zaprzestania spotkań z Marią. W pracy skarżył się, że jego stosunki z generałową od chwili pojawienia się Rosjanina znacznie się ochłodziły. Gdy nie pomogły perswazje, Stelnicki pobił żonę „okrutnie i ordynarnie, a potem groził ustawicznie – zabiję". Od sierpnia znajomym opowiadał wprost o romansie małżonki. Był tym bardzo przygnębiony. Ku przerażeniu słuchaczy mówił, że tylko kula rozwiąże ten problem. Po jakimś czasie chwalił się, że kupił parabellum. Cieszył się z tego zakupu niezmiernie i podkreślał, że „bije jak w masło". Znajomi przypomnieli sobie, że zapowiadał, że zaprosi Akimowa na noworoczną herbatkę, a później wyjedzie z Białegostoku. Sam nie będzie składał noworocznych wizyt. Już po tragedii znaleziono w banku na biurku generała pożegnalny list. Z tych faktów wyłaniał się przerażający obraz zaplanowanej zbrodni, ale też starego człowieka walczącego o swoją godność, wspomnienia, honor oficera. Opinia publiczna była po stronie Stelnickiego, Marię oceniono surowiej, suchej nitki nie pozostawiono na Akimowie. Pojawiły się nawet głosy, że zbrodnia ta odzwierciedla stan moralności emigrantów rosyjskich. Pamiętano przecież, że gdzieś tam, nawet nie wiadomo gdzie, żyje żona i trójka pewnie już dorosłych dzieci generała, mąż i syn Marii oraz żona wraz z córką Akimowa.

W piątek 4 stycznia 1924 roku odbyły się pogrzeby ofiar tej noworocznej herbatki. O godzinie 12.00 na cmentarzu prawosławnym na Wygodzie pochowano Mikołaja Akimowa. Pogrzebem zajęła się kolonia rosyjska. Dwie godziny później spod domu przy ulicy Warszawskiej 4 w kierunku cmentarza farnego ruszyły dwa karawany. Trumny Stelnickich pokryte były mnóstwem kwiatów i wieńców. Za generałem szli urzędnicy banku i jego dyrektor Piątkowski, za generałową – pracownicy Kasy Chorych i jej komisarz doktor Szaykowski. Na cmentarzu farnym kondukty się rozdzieliły. Marię Raczkowską secundo voto Stelnicką pochowano na „szarym końcu cmentarza". Stanisław Stelnicki jako samobójca i podwójny morderca spoczął „poza ogrodzeniem cmentarza w polu szczerem".

Pierwszorzędny

Pierwszorzędny zakład fryzjerski
przy Hotelu „RITZ", ul. Kilińskiego.
W. KARP
Telefon: Centrala „Ritz."
Trwała ondulacja elektryczna i parowa.
Wszelkie zabiegi, w okres fryzjerstwa wchodzące.
Nowe modele fryzur.
— Ceny umiarkowane. —

na i parowa, fryzjerstwa wchodzące

Reklama zakładu Wolfa Karpia, 1935 r.

zakład fryzjerski

Szanownej Klienteli
zasyła najlepsze życzenia noworoczne
W. KARP,
Zakład fryzjerski, Kilińskiego 2.

Życzenia noworoczne, 1937 r.

Ondulacja i szczur

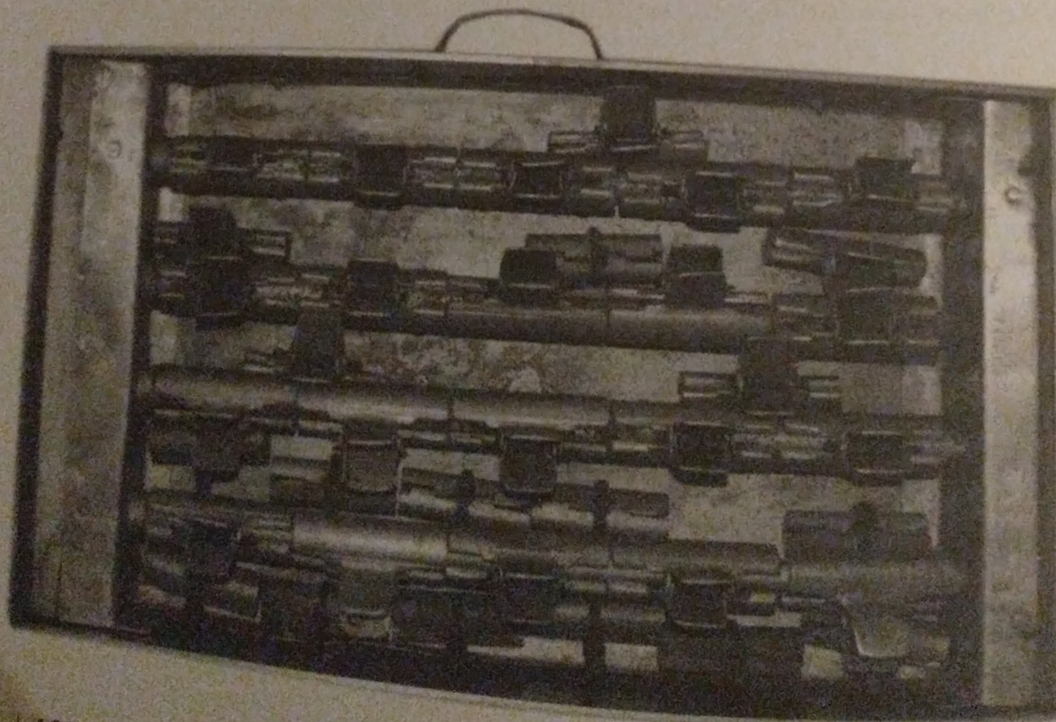
W styczniu 1936 roku w ukazującym się zaledwie przez dwa miesiące „Gońcu Białostockim", w stałej rubryce *Bajki i Satyry*, wydrukowano wierszyk o fryzjerach. Autorem tego wątpliwego arcydzieła był redaktor naczelny gazety, Marian Józefowicz, ukrywający się pod pseudonimem Józef Mayer.

Kto chce niech wierzy
Lecz fryzjerzy
To szczególnie miła nacja.
Ondulacja,
Farbowanie,
Odmładzanie.
To strzyżenie,
To golenie
Mycie głowy i fryzurki
Raz nożyczki to znów rurki.
Oj te wszystkie Władysławy,
Stanisławy
Lub Henryki –
To chłopczyki
Wielce psotne,
A wesołe, a obrotne
Brać fryzjerska niech nam żyje,
Niech nam goli łby po szyję!

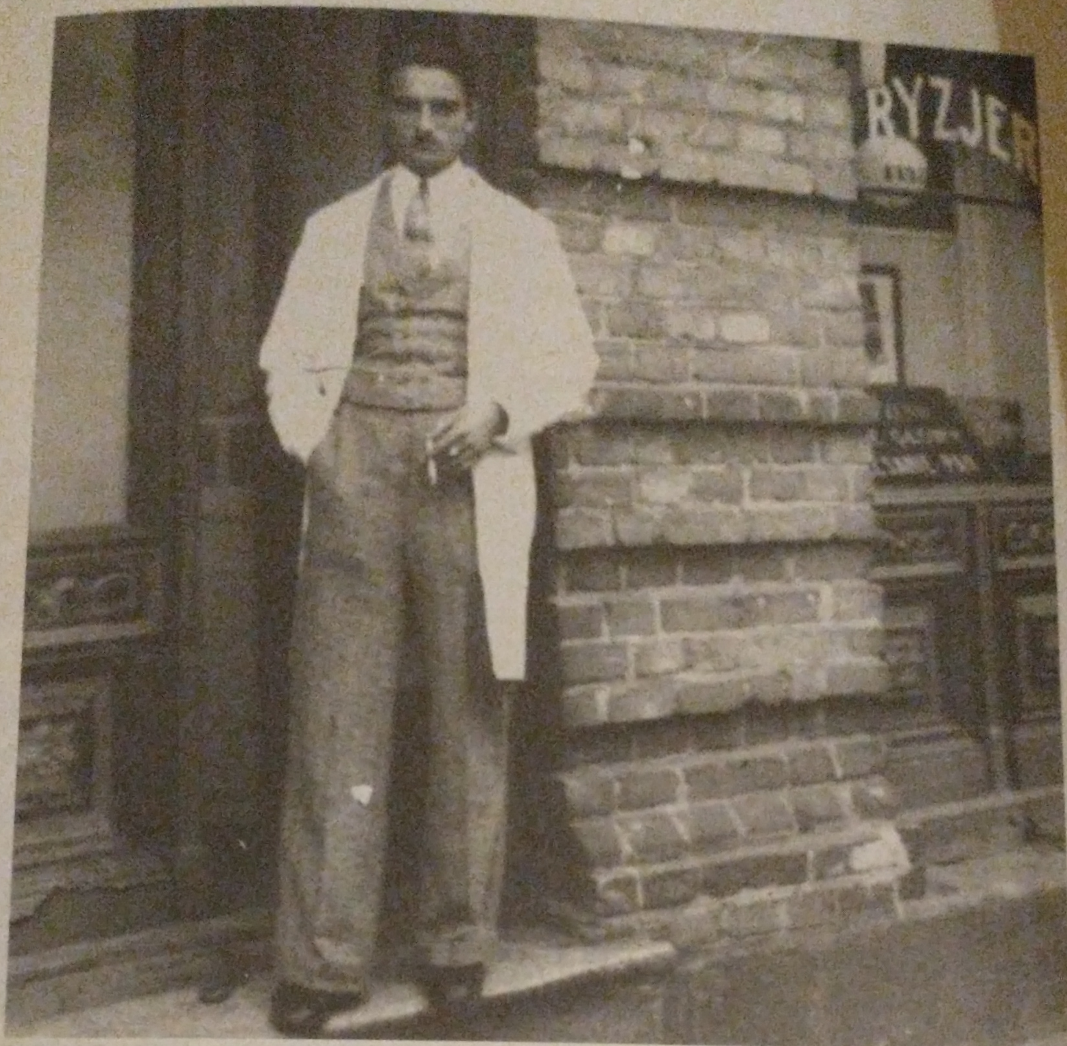
Jednym z najsłynniejszych mistrzów grzebienia w międzywojennym Białymstoku był maestro Wolf Karp. Jego zakład od 1927 roku mieścił się na parterze hotelu Ritz. Karp od początku swojej kariery odgrywał w białostockim środowisku fryzjerskim jedną z wiodących ról. To między innymi z jego inicjatywy w październiku 1927 roku rozwiązano żydowski związek fryzjerów, który uważany był za bastion miejscowego konserwatyzmu. Grupa młodych fryzjerów, w której był Karp, zgłosiła swój akces do Żydowskiego Związku Rzemieślników i utworzyła w nim sekcję fryzjerską. W następnych latach Karp był jednym z aktywniejszych działaczy cechu. Przewodniczył zebraniom majstrów fryzjerskich, golarzy i perukarzy. Gdy w 1931 roku w organizacji wybuchł ostry konflikt pomiędzy przewodniczącym Kupfenbergiem i resztą zarządu, to do nowych władz jako wiceprzewodniczącego wybrano właśnie Karpia.

Ale renomę zyskał Karp głównie dzięki swojemu fryzjerskiemu kunsztowi. Jesienią 1934 roku podekscytowane miejscowe elegantki opowiadały sobie o niezwykłych nowościach, jakie nastały w jego zakładzie. Sprowadził on bowiem „trzy różnorodne aparaty najlepszych firm światowych do trwałej ondulacji". Pierwszy z nich, aparat elektryczny spiralny, „nadawał włosom fale bez układania". Drugi, też elektryczny, służył do skręcania loków. Trzeci był na parę. Mistrz Wolf uzasadniał swój nowy nabytek tym, że potrzebne mu są aż trzy urządzenia, bowiem „doświadczenie wykazywało, że nie wszystkie gatunki włosów mogą być ondulowane jednym i tym samym aparatem". Małżonków elegantek uspokajał, że niczym nie ryzykują, wysyłając swe połowice do jego salonu. „Obawa spalenia włosów jest zupełnie wykluczona" i w ogóle cała elektryczno-parowa operacja na głowach nadobnych białostoczanek jest najzupełniej bezpieczna. Nad całym przedsięwzięciem czuwała bowiem „specjalistka" przeszkolona w Ameryce.

Maestro, chcąc zachęcić panie do korzystania z tych nowości, 20 listopada 1934 roku ogłosił „miesiąc trwałej ondulacji po rewelacyjnie niskich cenach". Potrafił zjednać sobie przychylność klientek. Składał prasowe życzenia noworoczne, wiedząc, że taka galanteria sowicie



Aparat do ondulacji włosów z zakładu Wolfa Karpia, lata 30. XX w.



Aron Jewrejski przed swoim zakładem fryzjerskim przy ul. Warszawskiej 27, 1934 r.

się mu opłaci. Ale głównie starał się nadążać za modą. Wyprzedzał w tym całą białostocką konkurencję. Przed końcem 1936 roku ogłaszał, że tylko on robi „trwałą ondulację elektryczną i parową" oraz wykonuje „wszelkie zabiegi w zakres fryzjerstwa wchodzące". Tylko u niego można było zrobić sobie „nowe modele fryzur", co najważniejsze, po cenach umiarkowanych. Szlagierem sylwestra 1936 roku była wprowadzona przez niego do Białegostoku fryzura Duchesse. Sam mistrz tak ją opisywał: „nowe uczesanie jest piękne i ma tę właściwość, że odmładza i każdej pani będzie w nim do twarzy. Ogromna masa pierścieniowatych loków, ułożona misternie na całej głowie, skroniach i karku. Włosy z czoła, lekko ściągnięte ukośną falą loków, układają się ku tyłowi". Pomimo całego skomplikowania fryzjerskiej materii Karp twierdził, że „ten nowy styl uczesania jest łatwy do skopiowania i dla przeciętnie nawet zdolnego fryzjera". Ale tylko on potrafi zrobić to należycie. Jeśli bowiem „włosy nie będą starannie ułożone w pierścienie – front głowy będzie zawsze wyglądał nieefektownie".

Ale zdarzały się też w tym słynącym z elegancji zakładzie sytuacje niemające nic wspólnego z fryzjerstwem. W sobotni, lipcowy, upalny wieczór 1933 roku było jeszcze kilka klientek. Jedne „poddawały się zabiegom”, inne czekały, aż mistrz zajmie się ich głowami. Drzwi do zakładu były otwarte, żeby choć trochę wieczornego chłodu wpadło. Nagle wszedł przez nie dorodny szczur. Na jego widok wszystkie panie z nieopisanym wrzaskiem powskakiwały na fotele, stołki, a nawet stoły. Panom strzygącym się w sąsiedniej sali na te histeryczne krzyki „stanęły dębem włosy z przerażenia – morderstwo – ktoś krzyknął”. W damskim salonie powstał nieopisany harmider. Panie rzucały się w objęcia panów, ci zaś skwapliwie przyjmowali rolę obrońców. Najbardziej przerażony tym wszystkim był jednak szczur, który widząc, co się dzieje, dał nura z powrotem na ulicę.

To był tylko incydent. W innych białostockich zakładach fryzjerskich działo się znacznie gorzej. Nie poprawiały sytuacji częste kontrole sanitarne. Opór samych fryzjerów budziły rozporządzenia, które miały przyczynić się do zmiany warunków panujących w zakładach. W 1935 roku ogłoszono, że „fryzjernie” mają mieć ściany pomalowane na jasne kolory z olejnymi, a więc zmywalnymi, lamperiami oraz szczelne podłogi. To wszyscy akceptowali. Lekki sprzeciw budził już jednak zakaz łączenia mieszkania i zakładu. Ale to, czego dalej wymagano, było już istnym zamachem na fryzjerskie kanony. Oto i próbka. „Każdy zakład fryzjerski musi posiadać umywalnię z wodą bieżącą, dostateczny zapas czystej bielizny, wycieraczki do obuwia, kosze na śmieci i napis – nie pluć na podłogę”. Szczególnie zakaz plucia budził kontrowersje. Dociekano, co ma zrobić klient, który przy strzyżeniu połknie włos. Jeszcze większy sprzeciw wywoływał zapis, że „nie wolno dmuchać na klienta”, aby oczyścić go ze ścinków jego włosów. Co ciekawe, dalej zastrzegano, że „pracownik fryzjerski musi mieć zdrową jamę ustną, albowiem podczas pracy oddychając jest zwrócony twarzą do klienta”. Temu zaś fryzjer mógł zmywać twarz tylko czystą serwetką. Zakazano również noszenia brzytwy w kieszeni. Starosta, któremu podlegała kontrola zakładów fryzjerskich, miał nawet sprawdzać, czy golibroda ma „czyste i obcięte paznokcie”.

Wszyscy narzekali, ale cóż. Starostwo przystąpiło do rygorystycznych kontroli, wydając specjalne zaświadczenia ważne zaledwie przez pół roku. Niestosującym się do zaleceń po prostu zamykano zakłady. Można było łatwo przewidzieć, że w Białymstoku pojawi się wnet podziemie fryzjerskie. Zaczęto na wielką skalę strzyc „przy drzwiach zamkniętych”. W maju 1937 roku procederem tym zajęła się białostocka Izba Rzemieślnicza. Postanowiono zwrócić się „do odnośnych władz z prośbą o wydanie surowych zarządzeń, zmuszających do zupełnego zlikwidowania nielegalnej pracy”. Ale nie na wiele się to zdało. Podziemie fryzjerskie kwitło w Białymstoku. Oj, ciężki był los fryzjera za sanacji.

Przed kinem Apollo, 1916 r.



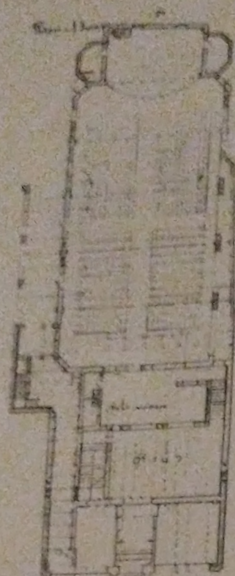
Benjamin Wajnsztadt, 1937 r.

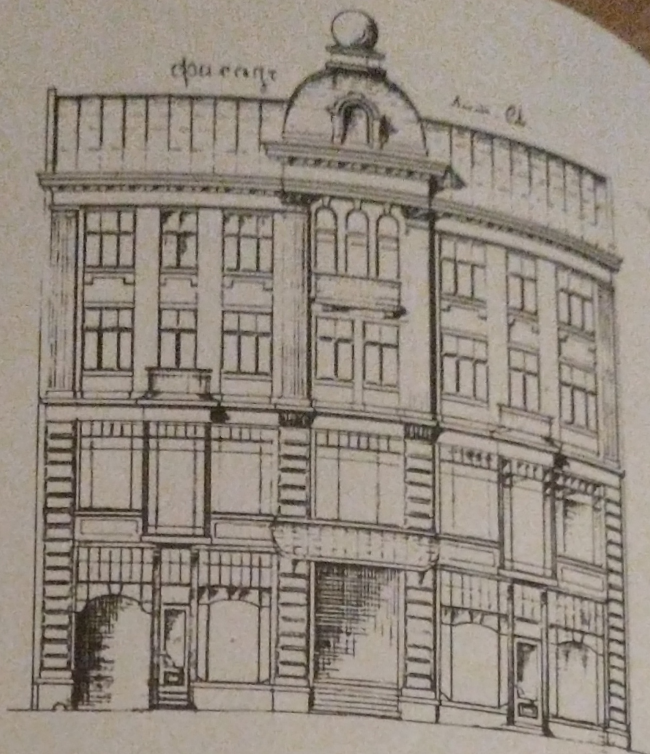
Pechowe Apollo

Jednym z najpopularniejszych białostockich kin było Apollo. Mieściło się w reprezentacyjnej kamienicy Metzów przy ulicy Sienkiewicza 22. Kinobywalcy, jak wówczas określano widzów, mogli w nim oglądać wszystkie światowe arcydzieła już od 1913 roku. Apollo działało przez cały okres międzywojenny, a jego właściciel, Benjamin Wajnsztadt, cieszył się zasłużonym szacunkiem w mieście, ale też w ogólnopolskiej kinowej branży. Zdarzyły się jednak w kinie historie, o których Wajnsztadt wolałby nie pamiętać.

W lutym 1924 roku całe miasto lotem błyskawicy obiegła wieść, że

> Czarna Dama z czarną półmaską na twarzy ukazała się na ulicy Sienkiewicza. Ukryta dyskretnie w cieniu wnęków bram nieoświetlonych, skinieniem ręki przywoływała ku sobie przychodzących do kina Apollo młodzieńców i na ustroniu czyniła im różne dyskretne propozycje.





Projekt kamienicy, w której mieściło się kino Apollo, 1914 r.

Miejsce na wieczorne łowy Dama wybrała wyśmienite. Oto bowiem na ekranie Apolla wyświetlano wówczas cieszący się niezwykłym wzięciem wśród młodzieńców „wielki dramat modernistyczny w 6-ciu aktach – *Czego pragniesz kobieto?*" i w podtytule dopytywano, czy „władzy, bogactwa, sławy czy miłości???". Film obfitował w sceny „tańców miłości i śmierci wśród fal i piorunów". Wymiennie z tym modernistycznym dramatem wyświetlano „największe arcydzieło wszechświatowej sławy – *Szał namiętności*". Ten „potężny dramat" oferował białostockim młodzieńcom „przepyszne sceny w haremach".

Czarna Dama wyławiała więc co wieczór z ciemności ulicy podekscytowanych kinomanów. Mimo że krążyła już po mieście opinia, że jest ona jedynie „szafarką płatnych rozkoszy", prosiła ich jedynie o rycerską przysługę: „Jestem sama... muszę się stawić na dworzec poleski... boję się przygód zagrażających nocą młodej i pięknej kobiecie z towarzystwa... łaknę więc opieki silnego ramienia dżentelmena". I dżentelmeni szli jeden za drugim na ten niby-dworzec. No bo jakże to nie zostać „rycerzem tajemniczej piękności, może jakiej hrabiny albo i księżniczki". Męska część Białegostoku była pod wielkim wrażeniem. Damska trochę mniej. Panie rozpuszczały nawet przerażające plotki o nieznajomej. Opowiadano więc, jak to Czarna Dama zabija mężczyzn lekkim dotknięciem ręki, a kobietom wypala swoją dłoń na twarzy. Podobno nawet, gdy z jednym amatorem spaceru udała się w stronę dworca, to w pewnym momencie „ściągnęła z rąk rękawiczki i z niepospolitą siłą schwyciła zapoznanego młodzieńca za gardło. Palce jej głęboko wtopiły się w ciało i niefortunny Don Juan upadł na ziemię zupełnie nieprzytomny, dając jeszcze oznaki życia słabem rzężeniem". Tego już było za wiele. Znalazł się w końcu stróż moralności, który wybrał się wieczorem do kina. Na ulicy Sienkiewicza



pod Apollo jak zwykle wyłoniła się z ciemnej bramy Czarna Dama, a ten niegodziwiec, zamiast silnym ramieniem służyć, wezwał policjanta. Ten, wysłuchawszy, o co chodzi, zarządził marsz do komisariatu. Ale Czarna Dama „z godnością właściwą swojej sferze" oświadczyła, że piechotą nie pójdzie na Warszawską do policyjnego gmachu, w którym dziś jest Straż Pożarna. Co było robić? Wezwano dorożkę i przewieziono „arystokratkę".

W komisariacie było już prozaicznie i bez dobrych manier. Kazano domniemanej hrabinie zdjąć maskę. Okazało się, że skrywała się pod nią niezwykłej urody mieszkanka Wysokiego Mazowieckiego, Aleksandra Janina S., lat 38. Jak twierdziła, już od dziecka „rzucała urok wyrazem swego głębokiego spojrzenia". Kiedy miała 14 lat, „wszystkich miejscowych chłopaków przyprawiała o bezsenność". Później porzuciła dom rodzinny, aby szukać szczęścia w „szerokim świecie". Była więc w Warszawie, Wilnie i ostatnio właśnie w Białymstoku. Z nostalgią wspominała czasy, gdy była jeszcze młoda. Wówczas to jej uroda i wdzięki nie pozwalały oprzeć się żadnemu napotkanemu mężczyźnie. Ostatnimi laty musiała jednak używać fortelu z maską, dworcami i dżentelmenami, ale żeby wbijać szpony w gardła swych amatorów? Co to, to nie!

Ale największa afera związana z kinem Apollo wydarzyła się w styczniu 1927 roku za sprawą filmu *Ben-Hur* z bożyszczem tamtej epoki, Ramónem Novarro, w roli głównej. Film już w innych miastach wywoływał protesty Żydów, którzy uznali go za zjadliwie antysemicki. Nie przeszkodziło to jednak Beniaminowi Wajnsztadtowi i pomimo niezadowolenia rabinów sprowadził film do Białegostoku. W miejscowej prasie żydowskiej ukazały się utrzymane w histerycznym tonie notatki, w których odsądzano właściciela kina od czci i wiary. Po kilku dniach podkoloryzowane wieści z Białegostoku trafiły na łamy ogólnopolskich dzienników, a z nich aż do londyńskiego „Timesa". Tu redaktor puścił wodze swojej fantazji, donosząc, że „w tutejszej (białostockiej) synagodze odbyła się wielka demonstracja przeciwko wyświetlaniu filmu *Ben-Hur*. Z synagogi wyruszył tłum, który rozpoczął demonstracje na ulicy obok kina Apollo. Demonstracja ta przekształciła się w rozruchy. Tłum zaatakował kino i porwał

Zapowiedź filmu *Ben-Hur*, 1927 r.

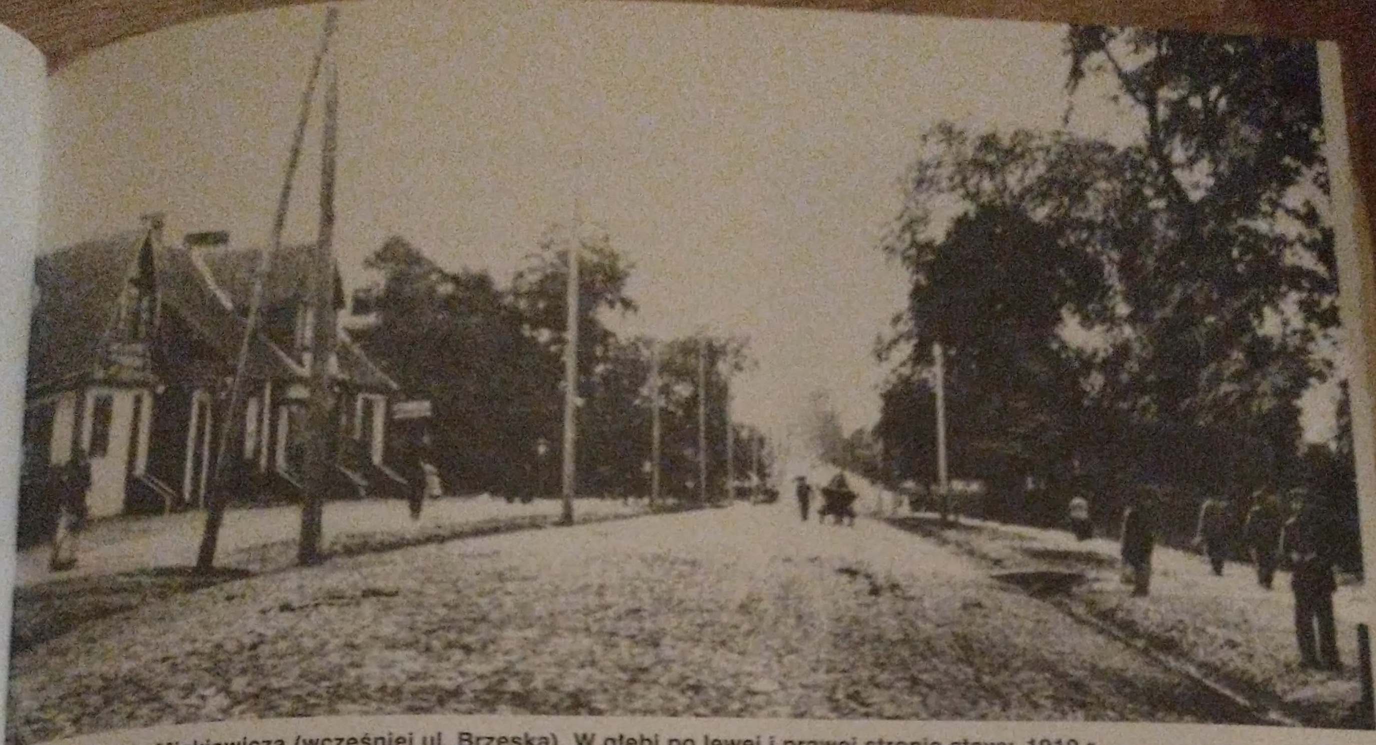
Afisz filmu *Ben-Hur*, 1927 r.

właściciela, który został mocno pobity i pozostawiony na ulicy w kałuży krwi. Na ulicy ułożony został stos, na którym spalono film. Dla stłumienia rozruchów, które się po tym auto da fe rozpoczęły, władze musiały uciec się do pomocy policji i wojska". Podawano też, że w Białymstoku w związku z tymi wydarzeniami wprowadzono stan wyjątkowy. To jedyny przypadek w historii białostockiego kina, że o istnieniu Apollo dowiedziała się Europa, i to nieistotne, że za sprawą faktu prasowego.

Pech nie opuszczał Wajnsztadta. Kolejny skandal wybuchł kilka miesięcy później, gdy w sierpniu 1927 roku, sprowadził on film *Jak powstaje człowiek. Od zapłodnienia do porodu.* Wyświetlano go wyłącznie na seansach nocnych, które zaczynały się o północy. Aby uniknąć ewentualnych skandali obyczajowych podczas projekcji, widownia została podzielona na oddzielne sektory dla kobiet i dla mężczyzn. Na seans mogły wejść panie, które miały ukończone 18 lat, i co najmniej dwudziestoletni panowie. Wszystkich dokładnie legitymowano. Zlikwidowane zostały wszelkie bilety ulgowe i abonamenty, a mimo to tłum chętnych do obejrzenia był nieprzebrany. Wajnsztadt upraszał więc, aby „celem uniknięcia natłoku" przychodzić wcześniej. Publiczność uprzedzono też, że film demonstrowany będzie bez ilustracji muzycznej. No bo i cóż miał wygrywać nieszczęsny pianista, gdy oniemiali kinobywalcy wytrzeszczali zdumione oczy na scenę zapłodnienia? Po kilku dniach władze miejskie powiadomione, że film ocieka erotyzmem, zakazały tych seansów.

Całkiem inna obyczajowa przygoda spotkała samego Wajnsztadta zimą 1929 roku. W plotkarskich kronikach prasowych określono go jako pana W., „właściciela reklamowanego przedsiębiorstwa artystycznego" z ulicy Sienkiewicza. Wszyscy w Białymstoku natychmiast wiedzieli, o kogo chodziło. Otóż zdarzyło się, że W. upodobał sobie, z wzajemnością, słynącą z urody i powabu panią N. Pech chciał, że na przeszkodzie wzajemnemu zainteresowaniu stał małżonek pani N. Pewnego dnia pan N. miał pojechać do Warszawy, o czym dowiedział się W. N. spotkał jednak na dworcu przyjaciela ze szkolnej ławy. Razem postanowili zamienić podróż do stolicy w rajd po białostockich knajpach. O tym już nie wiedzieli ani pan W., ani pani N. Interesowali się więc swymi wdziękami w poczuciu całkowitej bezkarności, gdy tymczasem o 2.00 w nocy pojawił się pod drzwiami swego mieszkania N. Cóż robić! Pan W. schował się pod łóżko. Na łóżku troskliwa żona ułożyła zmęczonego N. Gdy małżonkowie zgodnie zaczęli chrapać, W. wygramolił się z ukrycia. Nie mógł znaleźć własnej garderoby schowanej przez przezorną N., w mocno więc niekompletnym stroju zszedł do stróża kamienicy i za jedyne, co miał na sobie – złoty sygnet – otrzymał od ciecia kalosze, czapkę barankową i stary kożuch. Tak wystrojony wyszedł nad rankiem na ulicę Sienkiewicza. I tu kolejne nieszczęście. Okazało się, że z Resursy Obywatelskiej wychodziło z ostatkowego balu całe białostockie towarzystwo. Oczywiście wszyscy znali Wajnsztadta. Widząc go w takim stroju, rozbawieni pytali: A cóż to za maskarada? Wajnsztadt na te zaczepki machnął tylko ręką, burknął coś na odczepnego i pognał w cieciowych kaloszach do domu.


Ulica Micki



Ulica Mickiewicza (wcześniej ul. Brzeska). W głębi po lewej i prawej stronie stawy, 1910 r.

Potrzeba matką wynalazków

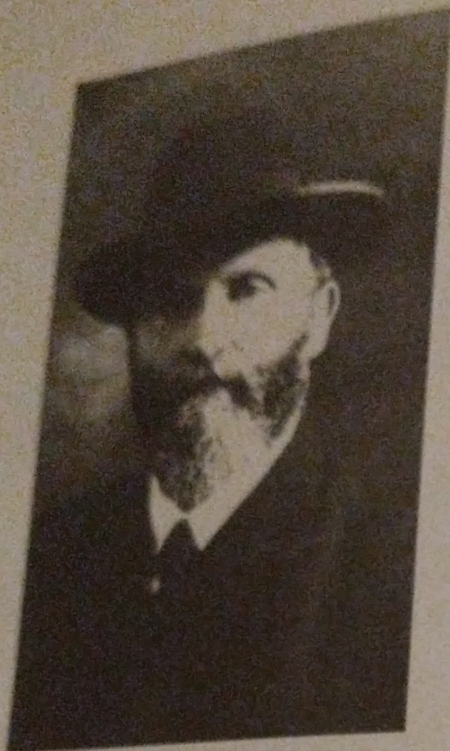


Apteka braci Kuryckich przy ul. Sienkiewicza, 1916 r.

Stare porzekadło mówi, że potrzeba matką wynalazków. Cały problem zasadza się jednak w kwestii, kto ma jakie potrzeby. Stąd i wynalazki są mniej lub bardziej poważne. Białostoczanie wypełniali tę dziedzinę doskonale.

Była niedziela 17 czerwca 1928 roku. Na ulicy Mickiewicza już od rana panował duży ruch. Kto żyw zmierzał w kierunku fabryki Nowika. Tam, na stawie, miał się odbyć, zapowiadany już od kilku dni, pokaz wynalazków skonstruowanych przez niejakiego Świderskiego. Wynalazca ów zbudował „aparat umożliwiający chodzenie po wodzie – przyrząd, za pomocą którego na zwykłym rowerze można przejechać przez rzekę, oraz łódź

składana ważącą zaledwie 3 kg i mogącą unieść 2 osoby". Wokół stawu zgromadził się tłum ciekawskich. Doliczono się ponad 2 tys. widzów. Świderski „swoją gumową łódką" opływał staw wzdłuż brzegów, tak aby wszyscy mogli zobaczyć jego dzieło. Gdy zadowolony z siebie wynalazca pruł wody stawu, stojący w tłumie miejscowy sportsmen Feliks Wazarewicz postanowił wypróbować rower jeżdżący po wodzie. Ku zdumieniu publiczności i samego Świderskiego wyjechał rowerem na środek stawu. I wtedy się zaczęło. „Wobec nieumiejętnego obchodzenia się z rowerem Wazarewicz wpadł do stawu i zaczął tonąć". Rzucono mu „pas ratowniczy", ale nieszczęśnik nie miał sił go złapać. I niechybnie utopiłby się, gdyby nie posterunkowy Kuźmicki, który wskoczył do wody i doholował go do brzegu. Gdy zamieszanie wokół niedoszłego topielca ustało, Świderski kontynuował swój pokaz, „między innemi chodzenie po wodzie […] i rower, na którym tak niefortunnie debiutował Wazarewicz". Niestety nie mógł zaprezentować publiczności wszystkich walorów swojego cudownego roweru, bo został on w trakcie akcji ratunkowej uszkodzony.



Rabin rządowy Białegostoku
Gedali Rozenman,
około 1930 r.

Mógł pozostać po tej prezentacji jedynie ból głowy spowodowany niepotrzebnymi nerwami, ale w takim przypadku pomocny był inny białostocki wynalazek – Citronerwina. W 1911 roku przy ulicy Sienkiewicza 34 otwarta została apteka braci Kuryckich. Jeden z nich, Judel, w aptecznym laboratorium opracował cudowny specyfik. Nazwał go Citronerwina Kuryckiego. Zażycie jednej tylko pigułki koiło nerwy i likwidowało bóle głowy. Lek działał „szybko, radykalnie i nieszkodliwie".



Józef Bilcharski, około 1935 r.

Skoro o medykamentach mowa, to trzeba zauważyć, że często wiedzę wynalazcy zastępowały

spryt i nieuczciwość. W 1934 roku pewną sławę zyskał mieszkaniec ulicy Dalekiej na Bojarach, niejaki Mieczysław Dębko, który w swoim domu stworzył osobliwy gabinet leczenia chorób nerwowych. Na ścianach wisiały czarno-białe makaty oraz „szereg ponurych obrazów". Na środku pokoju stał stół przykryty czarnym suknem. Na jego środku leżała ludzka czaszka. W oczodołach miała wstawione czerwone, szlifowane szkła, przez co świeczka umieszczona wewnątrz rzucała przerażające refleksy. Nad stołem, u sufitu wisiała wypchana sowa. Na jednej ze ścian „pan doktor" zawiesił tablicę z dokładnie wyrysowanym ludzkim szkieletem. W pomieszczeniu tym znajdowała się też niewielka biblioteczka, w której oprócz książek wyeksponowana była wypchana jaszczurka i wąż. Pacjentami Dębki byli przeważnie młodzieńcy, których uzdrowiciel po wysłuchaniu objawów choroby raczył stwierdzeniem: „głupsteweczko, tylko wstrzymać się na jakiś czas od picia wódki", po czym sprzedawał nieodzowne dla poprawy zdrowia mikstury własnego pomysłu. Naiwni desperaci kupowali wywar z pietruszki. W bardziej skomplikowanych przypadkach szarlatan z Bojar stosował balsam capaivo, znany też jako balsam jezuitów. Maść tę powszechnie stosowano na hemoroidy oraz w leczeniu kiły i rzeżączki. Działalność cudotwórcy, która rozniosła się echem wśród mieszkańców Bojar i Wygody, szybko jednak przerwała policja.

Podobnie przebiegła kariera innego pechowego wynalazcy – Abrama Kowalskiego, którego w kronice sądowej określono mianem „zdeklasowanego tkacza". Broniąc się przed dalszą deklasacją, w 1934 roku postanowił Kowalski wynaleźć cudowny krem przywracający niewieścią urodę. Do jego wyobraźni przemówił slogan reklamowy kosmetyków firmy Coty, zamieszczany w białostockiej prasie, głoszący, że „każda piękność chce być piękną". Zaczął więc Abram produkować kremy kosmetyczne opracowane według własnej receptury. Nie w głowie mu były patenty i kariera Coty. Chciał zarobić trochę grosza, ot i tyle. Jego kremy cieszyły się początkowo nawet niezłym wzięciem wśród niezamożnych białostockich piękności. Jednak po pewnym czasie do miejscowych dermatologów zaczęły zgłaszać się opuchnięte, czerwone jak buraki maszkary, które w niczym nie przypominały wcześniejszych bogiń. Ten stan szybko powiązano z działalnością Kowalskiego i sława jego cudownej maści na urodę prysła jak bańka mydlana. W śledztwie stwierdzono, że kremy zrobione są z niebezpiecznych dla zdrowia składników. Sąd nie był łaskawy dla początków kariery Coty znad Białki i skazał go na pół roku aresztu.

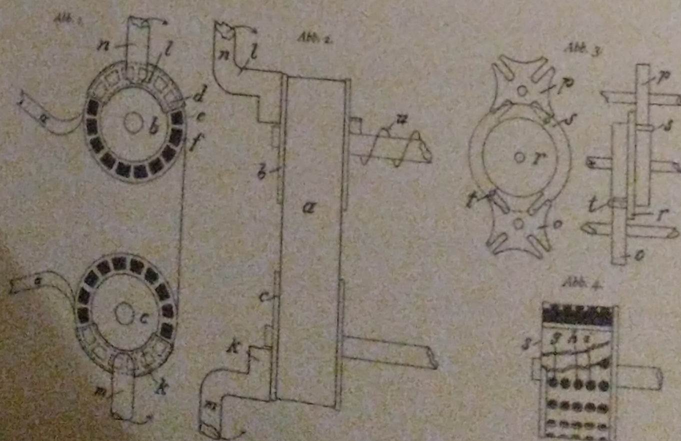
Ale wróćmy do poważnych wynalazców. Jednym z nich był Antoni Skorupko, który w 1935 roku opatentował „ulepszoną tarkę do prania bielizny p.n. Vesta". Zastąpił Skorupko falistą blachę „białą gumą o powierzchni falującej". Dzięki tej innowacji mydło używane do prania koszul i gatek pieniło się zdecydowanie lepiej i dłużej utrzymywało na powierzchni tarki. Do prania bielizny dzięki temu wynalazkowi zużywało się o połowę mniej mydła niż na tradycyjnej blaszanej tarze. Sprawdzono to empirycznie i rzeczywiście okazało się, że „dla całkowitego wyprania 100 kawałków bielizny tarka Vesta potrzebuje zaledwie jednego kawałka mydła,

wagi 10 deka". Sukces był murowany, tym bardziej że „Vesta jest przedmiotem niezbędnym w każdem gospodarstwie domowem".

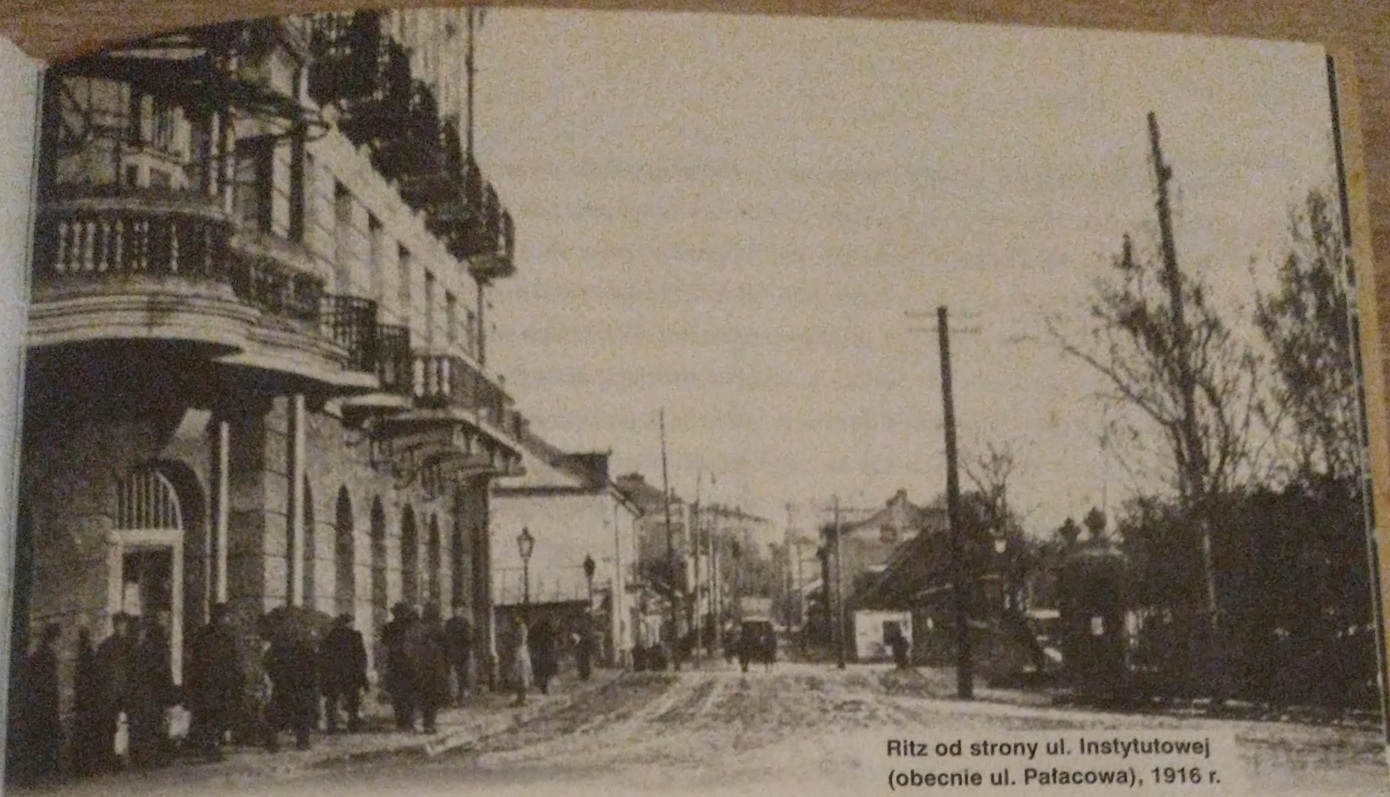
Całkiem inny, już naprawdę poważny wynalazek był dziełem legendarnego białostockiego artysty, nauczyciela rysunków miejscowego seminarium nauczycielskiego – Józefa Blicharskiego. Otóż temu młodopolskiemu, urodzonemu we Lwowie, a kształconemu w Krakowie malarzowi nie obca była technika. I to na jakim poziomie! W 1925 roku skonstruował i opatentował „aparat kinematograficzny do zdjęć i reprodukcji obrazów w naturalnych barwach" oraz „aparat do prowadzenia kinematograficznych wstęg filmowych bez perforacji i usuwający ściankę oporową do filmu w okienku przed obiektywem". Jak na uduchowionego artystę to wyczyn nie lada. Swoje konstrukcje Blicharski ponownie opatentował w 1928 roku. Jeden, być może jedyny zachowany, „aparat kinematograficzny" Blicharskiego przechowywany jest w zbiorach warszawskiego Muzeum Techniki. Jest to bodaj jedyny udokumentowany fakt białostockiego wkładu w rozwój techniki kinematograficznej.

Światową zaś karierę zrobiło urządzenie zwane od nazwiska jego konstruktora „klatką Wajnberga". Przedwojenny Białystok był jednym z ważniejszych, europejskich ośrodków teorii rytualnego uboju. Stało się to za sprawą białostockiego rabina rządowego Gedali Rozenmana, który był autorytetem naukowym w sprawach szechity, czyli uboju rytualnego. W 1936 roku w białostockiej drukarni Technograf przy ulicy Sienkiewicza 20 wydał książkę *Zagadnienia uboju rytualnego*. W jednym z rozdziałów wspomniał Rozenman o dwóch białostoczanach, którzy odegrali doniosłą rolę w kwestii uboju. Jednym z nich był rabin S. Malin, który w książce *Szechita a Bedika* (Ubój rytualny i oględziny), wydanej również w Techografie, opisał dokładnie urządzenie do dokonywania uboju rytualnego. Pisał Malin, że „maszyna ta przedstawia dużą klatkę żelazną, do której wprowadza się bydlę i umacnia przy pomocy odpowiednich drążków, by stało spokojnie. Przez następny obrót kołowy obraca się maszyna, a z nią i bydlę, zajmujące w tej chwili pozycję leżącą nadającą się bardzo wygodnie do momentalnego cięcia nożem w szyję. Dzięki temu systemowi pokładanie zwierząt odbywa się spokojnie, bez szarpania go lub wyrządzania mu jakiegoś bólu". Konstruktorem tej żelaznej klatki był białostoczanin Izaak Wajnberg.

Dziś te wynalazki mogą być jedynie przyczynkiem do anegdoty bądź muzealnym eksponatem, ale 80–90 lat temu rozpalały wyobraźnię i wielkie emocje.



Fragment rysunku technicznego aparatu kinematograficznego Józefa Blicharskiego



Ritz od strony ul. Instytutowej (obecnie ul. Pałacowa), 1916 r.

Ritz — rysy na reputacji

Hotel Ritz, legenda Białegostoku, swoich gości wabił komfortem, wannami, windą, telefonami i dekadenckim urokiem. Bywać w nim znaczyło należeć do elity. W hotelowej restauracji jadało się jak nigdzie w Białymstoku, o co dbali mistrzowie kulinarii, jak określano wówczas szefów kuchni. Czasem jednak na tej wyśmienitej reputacji pojawiały się rysy.

Oto w czerwcu 1926 roku Białystok obiegła wiadomość o „niestrawności pana posła Łaszkiewicza". Jeszcze bardziej sensacyjne było to, że nabawił się jej w Ritzu. Ale po kolei. Kazimierz Łaszkiewicz był postacią nietuzinkową. Urodził się na grodzieńszczyźnie. Po ukończeniu szkoły realnej w Grodnie wstąpił do seminarium duchownego w Petersburgu. Ukończył

Telefon № 148. Telefon № 148.

Nowootwarta pierwszorzędna restauracja

Towarzystwa Akcyjnego

„RIC"

ulica Niemiecka dom własny

ŚNIADANIA, OBIADY I KOLACJE.

Pierwszorzędny bufet, posiadający najlepsze wina krajowe oraz zagraniczne, likiery i inne napoje. Kuchnią zarządza kuchmistrz specjalista.

ODDZIELNE WSPANIAŁE URZĄDZONE GABINETY.

Podczas obiadów i kolacji grywa orkiestra smyczkowa pod batutą p. BORSZTEJNA

Reklama Ritza, 1913 r.

je, ale święceń nie przyjął. Studiował jeszcze nauki polityczne w Paryżu i tu zastał go wybuch wojny. Jako rosyjski poddany został wcielony do armii. Później była Polska Organizacja Wojskowa i rozbrajanie Niemców na Wileńszczyźnie. Po odzyskaniu niepodległości wrócił do Grodna i objął posadę nauczyciela. W 1922 roku został posłem na Sejm z listy PSL Piast. Po zakończeniu kadencji był między innymi od 1930 roku wiceprezydentem Grodna. Całe międzywojnie pracował w administracji państwowej, dlatego też często bywał w województwie białostockim. W połowie czerwca 1926 roku pan poseł, bawiąc właśnie w Białymstoku, po załatwieniu urzędowych spraw udał się na obiad do Ritza. „Zjadł w restauracji świeżo przygotowanego szczupaka, po którym w niespełna godzinę czasu miał silne bóle, gorączkę i wymioty". Przyczyną tej poselskiej niemocy był w opinii Łaszkiewicza nieświeży ritzowski szczupak. Dyrekcja restauracji nie mogła tego zbagatelizować. To było wprost niewyobrażalne, aby w Ritzu podano nieświeżą rybę. Zawsze bowiem kupowano jeszcze żywe okazy i wpuszczano je do „dużego akwarium umieszczonego tuż przy bufecie na sali". Klient sam wybierał, którą sztukę chciał zjeść. Jakże więc żywy szczupak, po kwadransie, rozpływając się w poselskiej gębusi, mógł się zepsuć? Tamte lata miały swój wyszukany *savoir-vivre*. Nikt nie mówił wprost, oględnie więc sugerowano, że taki stan posła „musiały wywołać jakieś inne przyczyny". Niewyobrażalne było powiedzenie wprost, że rybka, nawet i nieświeża, lubi pływać i być może pan poseł raczył był rzucić ją na zbyt głęboką „wodę".

Wielką atrakcją restauracji Ritza były wieczorne artystyczne występy. Po letniej przerwie czekano na otwarcie sezonu jesiennego. Angażowano głównie warszawskich artystów, którzy bawili gości śpiewem i dowcipem. Gdy zaczynał się karnawał, zapowiadano sezon zimowy. Do Ritza zjeżdżała nowa ekipa artystyczna. Tak też było z sezonem wiosennym. Miejscowa prasa z wyprzedzeniem informowała o nowościach. „Uwaga baczność. Całkowita zmiana programu, nowe, pierwszorzędne siły artystyczne". Tak zapowiadał się artystyczny sezon jesienny kabaretu w Ritzu w październiku 1924 roku. „Poziom artystyczny kabaretu popisującego się na estradzie ritzowskiej pod kierownictwem p. Maxymiliana Boczkowskiego nie pozostawia nic do życzenia". Ci, którym program nie odpowiadał, to zdaniem recenzentów „hipochondrycy, paralitycy, zdradzeni mężowie, nieszczęśliwe żony, teściowe itp." No bo jakże mógł się nie podobać ten nowy program, skoro składał się z „perełek dowcipu, lekkiej piosenki, piruetu tancerki i przyprawiał o humor szampański okraszający szare życie codzienne"? Zaraz na początku niejaka Rajewska śpiewała cygańskie romanse. Słuchacze nagradzali rzęsistymi oklaskami *Koniu mój* i *Fijołki*, i *Chryzantemy zwiędłe*. Pieśniarka wieńczyła swój występ brawurowym *Czardaszem*. Następnie rozochocona widownia z aplauzem przyjmowała „milutką, zgrabniutką i pulchniutką" Hankę Żukiewicz. Ona z kolei śpiewała *Oj, oj, oj* i *Bęben*. Po pulchniutkiej pieśniarce „schwimował z powodzeniem chociaż zbyt sentymentalnie" Zwidlicz. Ale i tak wszyscy czekali na występ Maksia Boczkowskiego. To on był największą gwiazdą kabaretu. „Zawsze dowcipny, ostry i cięty. W istocie zawsze dawał sobie radę z czasami niesforną

i hałaśliwą, albo znowu urzędową i nadętą publicznością". Maksio szalał na estradzie „nogamy i rękamy robiąc swoje schimmy". Program święcił triumfy. Ale oto rozeszła się po Białymstoku wieść, że Maksio nosi się z zamiarem zrezygnowania z kierowania ritzowskim kabaretem. Główną tego przyczyną miały być nieporozumienia pomiędzy nim a aż 11 właścicielami hotelu. No właśnie. Pod płaszczykiem elegancji i wyrafinowanej dekadencji toczyła Ritza nieuleczalna choroba biurokracji, swarów i skandali.

Ot, choćby w marcu 1926 roku. W hotelowej restauracji odbywał się wielki charytatywny bal żydowskiego Towarzystwa Ochrony Zdrowia „Oze". Na tymże balu „przeważaną część publiczności stanowiła inteligencja dyplomowana". Kulminacją wieczoru była licytacja, której główną atrakcją był „amerykański tort". Wylicytował go komisarz Tarłowski z Okręgowej Komendy Policji. Zapłaciwszy zań, ogłosił rozbawionej sali, że za chwilę pokroi tort i będzie rozdawał go do stolików za opłatą 1 zł za kawałek. W ten sposób tort sprzedano dwukrotnie. Ale był komisarz chlubnym wyjątkiem towarzystwa, bowiem reszta „dyplomowanej inteligencji" prowadziła „politykę oszczędnościową" i wcale nie kwapiła się do udziału w dalszej licytacji. Skandal jednak wybuchł dopiero wtedy, gdy rozpoczęła się część koncertowa. Wystąpić w niej mieli artyści operetki żydowskiej z Warszawy. Muzycy zorientowali się, że stolik dla nich przygotowano w bocznej, osobnej, niewielkiej salce, a nie wśród miejscowej elity. Uznali więc, że potraktowano ich jak najemnych, podrzędnych grajków. Od słowa do słowa i awantura gotowa. W jej efekcie obrażeni artyści, nie zagrawszy ani jednej nuty, opuścili bal.

Bywalcy ritzowych rautów narzekali też na nieuprzejmą obsługę. W grudniu 1926 roku wystosowali w tej sprawie list otwarty do zarządu hotelu. Pisali,

KOMFORTOWO URZĄDZONY
Hotel „Ritz"
SP. AKC.
w Białymstoku.
Winda, łazienki, gorąca i zimna woda, oraz telefon w każdym pokoju.
Pierwszorzędna restauracja, fryzjer, jak również garaż na miejscu.
— Telefon 11-36. —

Reklama Ritza, 1932 r.

„RITZ"
Reprezentacyjny danci Kresów Wschodnich
Dyrekcja
TADEUSZ PRZYBYLSKI
Telefon 11-60.
PROGRAM
„INFORMATOR"
BIAŁYSTOK
1935 r.
Program bezpłatny
prosimy zabrać ze sobą
Redaktor odp. i wyd. Zdzisław Kochański Hotel „Ritz"

Reklama Ritza, 1935 r.

że „mniejsza o rachunki, które niestety należy sprawdzać skrupulatnie, co więcej traktowanie gości pozostawia wiele do życzenia". I dalej: „my stali bywalcy tej restauracji z przykrością prawdziwą musimy skonstatować brak uprzejmości i grzeczności w stosunku do gości". W efekcie 1 stycznia 1927 roku dymisję złożył dyrektor hotelu, Mojżesz Kacnelson. Jego następcą został Zygmunt Różycki. Był znanym i niezwykle szanowanym w Białymstoku animatorem życia kulturalnego. Aby ukrócić kelnerskie impertynencje, rozpoczął swoje rządy od „filtracji personelu". W odwecie zwolnieni pracownicy zabrali księgi kasowe i postanowili udowodnić, że zarządcy hotelu popełnili wielkie nadużycia, narażając na straty skarb państwa.

Kolejny skandal wybuchł tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 1927 roku. W salach Ritza odbywał się wieczór towarzyski, na który przybyła śmietanka towarzyska i, jak to określono, „podśmietanie". Jeden z „inteligentów naszych z pod znaku magnaterii przemysłowej" upił się sakramencko. Na nieszczęście wpadła mu w oko żona jednego z miejscowych dygnitarzy. „Inteligent" postanowił zaśpiewać damie arię, w której myślał wyrazić kłębiące się w nim uczucia. Stanął obok wybranki, nadął się, aby ryknąć jakieś *O sole mio* i w tym momencie żołądek odmówił mu posłuszeństwa. „Pijanego chamułę prędko sprzątnięto, zaś bliską zemdlenia elegancką panią odwieziono do domu". Po takim początku Zygmunt Różycki długo nie zagrzał dyrektorskiego stołka. 1 marca 1929 roku ustąpił ze stanowiska. Jego następcą został Waldemar Birnbaum, pracujący w hotelu od 1922 roku. Jego doświadczenie i znajomość wewnętrznych układów nie przyniosły oczekiwanego skutku. Oto w którąś z majowych nocy 1929 roku w jednym z pokoi rozległ się „wielki krzyk i brzęk tłuczonego szkła". Okazało się, że odgłosy te to efekt poszukiwań zaginionej kochanki. Poszukiwaczem był urzędnik Wojewódzkiego Wydziału Technicznego, Czesław Rz. Zastał on swoją Wenus w pokoju z obcym (sobie) mężczyzną. Technik wojewódzki nie wytrzymał tego i tłukł, co popadło. Zdenerwowana wspólna kochanka wypiła dla uspokojenia szklankę wody, nie bacząc, że jest w niej „większa ilość potłuczonego szkła". Kochankowie, solidarnie, wezwali pogotowie ratunkowe. I jakby tego wszystkiego było za mało, Wydział Zdrowia nałożył na Birenbauma karę 600 zł i 60 dni aresztu za nieprzestrzeganie w hotelu przepisów sanitarnych. Ostatecznie jednak, dzięki obronie mecenasa Gdańskiego, biedny administrator musiał zapłacić 100 zł grzywny, ewentualnie mógł ją zamienić na tydzień w więzieniu.

Dziś po hotelu Ritz nie ma już śladu. W 1944 roku opuszczający miasto Niemcy podpalili go, a kilka lat później dzieła zniszczenia dokończyły nowe władze, gdy kazały wysadzić jego fundamenty. Pozostało po nim i jego świetności jedynie wspomnienie…

Nowootwarta pierwszorzędna restauracja
Towarzystwa Akcyjnego
„RIC"



Szkoła szoferów T. Diakowskiego przy ul. Botanicznej 4, około 1930 r.

Rolls-royce'em po Sienkiewicza

Białostoczan w połowie lat 20. ogarnął szał motoryzacji. W mieście jak grzyby po deszczu powstawały kursy samochodowe organizowane zgodnie z rozporządzeniem Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z jesieni 1925 roku o programie Kursów Kierowców Samochodowych. Nauka trwała, bagatela, sześć miesięcy. W pierwszej części uczono słuchaczy o silniku i podwoziu. Były zajęcia warsztatowe i oczywiście nauka kierowania. W drugiej części kursu wykładano nawet „technologię materiałów samochodowych". W obydwóch etapach kursu prowadzono naukę języka polskiego. Obejmowała ona „kurs dokształcania kierowców samochodowych dla biegłego używania języka polskiego w słowie i piśmie".

Od samego początku białostockiej edukacji motoryzacyjnej konkurencja była ostra, co często wywoływało konflikty. Tak też było w 1925 roku, gdy do Kuratorium Szkolnego zgłosili się Mikołaj Sochor i Bolesław Rogala-Lewicki. Po załatwieniu formalności otrzymali zezwolenie na prowadzenie kursu. Odbywał się on w warsztatach Sochora przy ulicy Sienkiewicza 43, a zajęcia teoretyczne prowadzono w sali Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" przy ulicy Świętojańskiej. Wspólnicy złożyli się i dokonali zakupu dwóch samochodów, z których „jeden był na biegu, drugi w stanie rozebranym", i rozpoczęli prowadzenie nauki. Ale już wkrótce zdumiony Sochor dowiedział się, że jego wspólnik bez uzgodnienia z nim przeniósł zajęcia praktyczne do warsztatów Kramera przy ulicy Świętojańskiej 7, a teorię zamierzał wykładać we własnym mieszkaniu przy ulicy Elektrycznej 4. Na domiar złego Lewicki „objął na swoje



Szkoła szoferów T. Diakowskiego przy ul. Wróblej, około 1930 r.

wyłączne posiadanie jeden z samochodów" oraz zabrał kuratoryjne pozwolenie na prowadzenie kursów. W tej sprawie zainterweniował białostocki Związek Zawodowy Automobilistów, stając po stronie Sochora. Związkowcy zarzucili Lewickiemu, że jest on „tylko teoretykiem" i „nadaje klasę 2 lub 3-ą według swojego widzimisię". Do tego mieli sześciu świadków, którzy kursu nie odbyli, lecz kupili u Lewickiego świadectwa ukończenia nauki. Ten zaś argumentował, że o wszystkich swoich krokach informował Sochora. Nie widząc możliwości porozumienia się z byłym wspólnikiem, mając jeszcze na karku Związek Automobilistów, postanowił całą sprawę oddać do rozpatrzenia sądowi. Białostoczanie nie chcieli jednak czekać na sądowe wyroki, chcieli jeździć samochodami! Z ulgą więc przywitali otwarcie kursów firmowanych przez Antoniego Lubkiewicza, redaktora „Dziennika Białostockiego".

Natarcie branży samochodowej na Białystok było skomasowane. Statystyki oszołamiały. W lipcu 1926 roku Urząd Wojewódzki ogłosił, że na terenie całego województwa białostockiego zarejestrowanych jest już 250 samochodów i 20 motocykli. Rozwój motoryzacji zachęcał biznes do inwestowania. W tym samym roku przy ulicy Lipowej 14 inżynier Herz Neumark otworzył salon Forda. W lipcu wielkim zainteresowaniem cieszyło się „wprowadzenie do lokalu najnowszego typu wozu". Panowała zgodna opinia, że „samochody Forda z 1926 roku wyróżniające się piękną linią oraz ładnym wykończeniem wyglądają bardzo efektownie". Gratulowano przy tym Neumarkowi, że nie szczędząc kosztów, prowadzi salon na wzór europejski.

W następnych latach, pomimo kryzysu, wielki świat wręcz wlewał się do Białegostoku. Na początku lutego 1929 roku przy ulicy Sienkiewicza 12 z wielką pompą otwarto „salon wystawowy zastępstwa rejonowego fabryk samochodowych Essex, Brockway firmy Brosexauto".

Uroczyście przecięto wstęgę, po czym zebrani goście z wielkim znawstwem oglądali „6-cylindrowy samochód 4-drzwiowej limuzyny Essex", a następnie udali się na śniadanie. W następnym tygodniu Białystok przeżywał kolejną motoryzacyjną sensacyjkę. Oto przez ulicę Lipową, Rynek Kościuszki i ulicę Sienkiewicza „przeciągnął korowód autobusów i samochodów ciężarowych". Widok ten zelektryzował białostoczan, którzy tłumnie wylegli na ulice, chcąc obejrzeć tę niecodzienną „defiladę". A defilowały chevrolety „z dorobioną karoserią przez nową tutejszą fabrykę karoserii Autokaros" z ulicy Łąkowej. To była białostocka awangarda nowoczesności.

Ale i miłośnicy historii motoryzacji (tak, tak, już wtedy była i historia) mieli swoją gratkę. Związana była z rolls-royce'em cara Mikołaja II. Ten ekskluzywny model w trakcie I wojny znajdował się w głównej kwaterze imperatora w Baranowiczach. Tam też jako mienie zdobyczne przejął to auto generał Józef Dowbor-Muśnicki. Przywiózł rollsa do Warszawy, chcąc go sprezentować Piłsudskiemu. Jednak Marszałek, znany z niechęci do luksusu, samochodu nie przyjął. Oddano je więc do użytku Ministerstwa Robót Publicznych. Rzadko go jednak używano, ponieważ wierzono, że nad rollsem wisi fatum. Wszyscy przecież wiedzieli, jak skończył żywot jego ostatni właściciel. Nikt więc nie kwapił się nim jeździć. Nie miał takich uprzedzeń prezes Wileńskiej Dyrekcji Robót Publicznych. Wziął samochód z Warszawy i ruszył do Wilna przez Białystok. I tak oto w jeden z ostatnich dni sierpnia 1927 roku ku zdumieniu przechodniów cesarska limuzyna, będąca sama arystokratką motoryzacji, w godzinach przedpołudniowych stanęła przed kawiarnią Karola Metza przy ulicy Sienkiewicza. Wspaniały samochód działał jak magnes. Zebrał wokół siebie tłum ulicznych gapiów. Niejeden przypomniał sobie wizytę cara Mikołaja II w Białymstoku w 1897 roku. Zaledwie 30 lat minęło i proszę: cara *niet*, Rosji *niet*, a imperatorskim rollsem jeżdżą sobie po Białymstoku polscy urzędnicy. Ot, jakie czasy!



Reklama prasowa, 1929 r.



Kamienica przy ul. Sienkiewicza 4. Wejście do kawiarni K. Metza w lewym dolnym rogu, 1897 r.

MONTE CARLO 1975



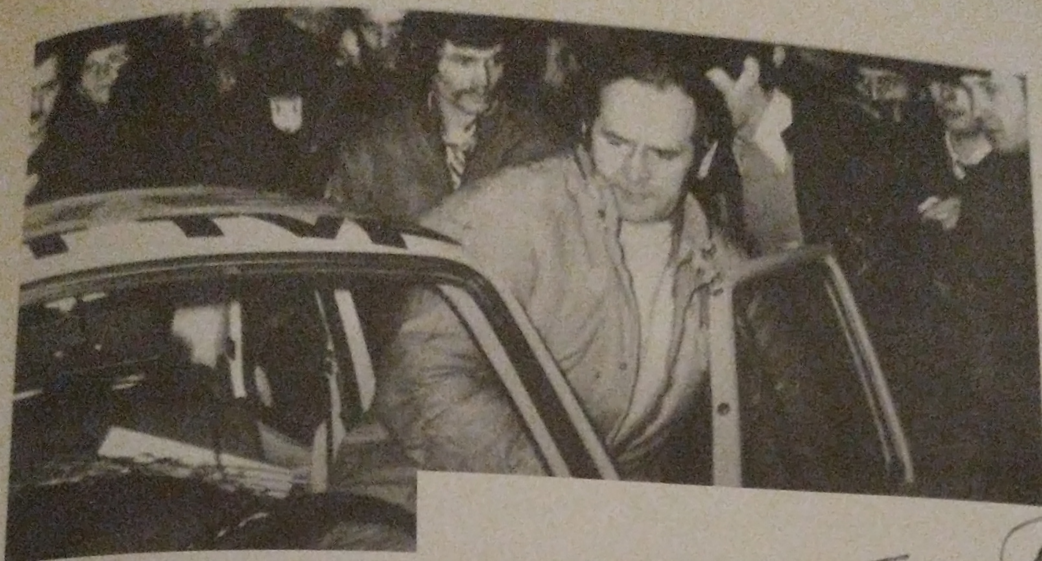
15.I.1975r B-STOK

Z Lenina do Monte Carlo

Zima 1967 roku była sroga. Na początku stycznia białostocczyzna została dosłownie odcięta od świata. Obfite opady śniegu i silny wiatr spowodowały, że – jak donosiła „Gazeta Białostocka” – „w zasadzie wszystkie drogi naszego województwa były nieprzejezdne do ruchu kołowego”. Informowano też, że „pociąg jadący do Gołdapi nie mógł się przebić przez zaspy”. Dla otuchy podróżnych dodawano, że „aby nie dopuścić do takich sytuacji, pługi odrzutowe kursują na trasach kolejowych”. Odrzutowość dotyczyła oczywiście sposobu usuwania śniegu z torów, a nie napędu pługów. Taka sytuacja meteorologiczna w latach 60. XX wieku nie była żadną sensacją, Białostoczanie przyzwyczajeni byli do mroźnych i śnieżnych zim. Ale ten styczeń, a właściwie jeden jego dzień, miał być niezwykły. Do Białegostoku mieli przyjechać uczestnicy słynnego Rajdu Monte Carlo.

Rajdowcy zjawić się mieli w mieście mało kojarzonym ze stolicą Monaco za sprawą ówczesnej organizacji zawodów. Polegała ona na gwieździstym, jak to określano, zjeździe rajdowców z różnych stron Europy właśnie do Monte Carlo, aby tam rozegrać główną, decydującą część zawodów. Jeden z wyścigów rozpoczynał się w Warszawie i aby było ciekawiej, prowadził w przeciwnym kierunku niż meta, czyli do Białegostoku, a dalej do Olsztyna. Żeby rajdowcy mogli dojechać do Białegostoku, trzeba było dokonać nie lada wyczynu, niemającego nic wspólnego z mistrzostwem kierownicy, tylko łopaty i miotły. Odśnieżano więc na potęgę.

Z Warszawy zapowiadano, że do startu szykuje się 12 załóg, a wśród nich sam Sobiesław Zasada na lancii fulvii. No i zaczęło się. Rajd z Warszawy ruszył w nocy z piątku na sobotę. 15 stycznia około godziny 5.00 rano pierwsi kierowcy zjawili się w Białymstoku. Meta z punktem pomiaru czasu znajdowała się na ulicy Dąbrowskiego przy ówczesnej siedzibie automo-



Sobiesław Zasada.
Białystok – Monte Carlo,
1975 r.

Z podziękowaniem za serdeczność i miłe przyjęcie
Sobiesław Zasada

Autograf Sobiesława Zasady
w kronice Automobilklubu
Podlaskiego
w Białymstoku, 1975 r.

bilklubu, nieopodal kościoła św. Rocha. Pierwsze przyjechały załogi austriacka i angielska. Ale blisko 2 tys. białostoczan czekało na Sobiesława Zasadę.

> Wreszcie jest. Ogromne owacje. Samochód ledwo toruje sobie drogę do parkingu. Mnóstwo młodocianych kibiców (nawet o tej porze) wyciąga ręce z notesami po autografy. Życzenia pomyślnej jazdy słyszy nasz mistrz Europy na każdym kroku od chwili wyjścia z samochodu do wejścia do kawiarni Stylowej, gdzie było śniadanie

– relacjonowała prasa. Po posiłku i krótkim odpoczynku rajdowcy wystartowali do kolejnego etapu.

Rok później scenariusz pogodowy był podobny. Notowano rekordowo niskie temperatury. Gazety donosiły złowieszczo: „Zima pokazuje pazury" lub „Zima sroży się Europie". Ale pomimo tych warunków Rajd Monte Carlo wystartował. Nad ranem 20 stycznia w dwudziestostopniowym mrozie rajdowcy zjawili się w Białymstoku. Był oczywiście wśród nich Sobiesław

Zasada, tym razem w porsche. Witał go transparent przygotowany przez młodych miłośników motoryzacji: „Precz z kwasami, niech żyje Zasada". Już dwa miesiące później, w marcu '68, autorzy takiego sloganu mieliby spore kłopoty, ale w styczniu brzmiał on bez żadnych aluzji. Tak jak i w poprzednim roku na przybyłe do Białegostoku 14 załóg czekało śniadanie w „Stylowej" i po kilkudziesięciu minutach start w dalszą drogę do Monte Carlo przez Olsztyn.

W następnych latach rajd omijał Białystok, powrócił ponownie w 1972 roku. I tu nastąpiła adresowa zmiana. Jeszcze w 1968 roku białostocki automobilklub przeniósł się do nowej siedziby, naówczas nowoczesnego budynku przy ulicy Lenina (obecnie Branickiego). Monte Carlo na Lenina to była ideologiczna sensacja. Załogi z Wielkiej Brytanii, Austrii, Francji, Niemiec. Wszyscy w zachodnich samochodach oklejonych kolorowymi reklamami. Taki widok przyciągał rozogniony wzrok białostoczan. To był powiew innego świata, który z Leninem nie miał nic wspólnego.

21 stycznia sprawozdawca prasowy odnotował: „niezliczone tłumy białostoczan witały zawodników i... przeszkadzały organizatorom. Serdeczność mile w tym wypadku widziana, ale przede wszystkim trzeba na imprezie sportowej wykazać się kulturalnym zachowaniem. A tego niestety zabrakło". Tak skomentował dziennikarz wielkie zainteresowanie białostoczan, którzy widzieli w tej imprezie ślad wielkiego, a jakże dalekiego im świata. Tym razem nic nie wspominano o transparentach. Wszyscy wiwatowali na cześć Zasady, który jechał w tej edycji rajdu na polskim fiacie 125, a jego pilotem była żona Ewa, co jeszcze bardziej wzmagało zainteresowanie widzów. W automobilklubowej restauracyjce „Czar Czterech Kółek" stolik, przy którym państwo Zasadowie jedli kolację, był oblegany.

Ostatni raz rajd zawitał do Białegostoku w 1975 roku i już nie na Lenina. Być może ktoś doszedł do wniosku, że wódz rewolucji nie powinien być patronem startu do Monte Carlo. 15 stycznia 18 załóg, które wystartowały z Warszawy, zajechało na dziedziniec pałacu Branickich. To zdecydowanie lepiej się kojarzyło. Książę Monaco to przy Janie Klemensie płotka. Był u Branickich po raz kolejny Sobiesław Zasada. Ale tym razem bardziej pasował do Lenina bo przyjechał fiacikiem 126 p.



Na punkcie kontroli czasu Rajdu Monte Carlo w Białymstoku, 1975 r.


Zespół Gilarino. Pierwszy od prawej siedzi Wiktor Bubryk, pierwszy od lewej Jakub Tapicer, 1930 r.

Śmiech i śpiew to znaczy Gilarino

Lata międzywojenne to początek i niebywały rozkwit kabaretu literackiego. Legendami tamtej epoki są Qui Pro Quo, Perskie Oko czy Cyrulik Warszawski. Na scenach kabaretowych rodziły się największe gwiazdy. Białystok miał też swój wkład w tę historię.


Siedziba Linas Hacedek przy ul. Różańskiej 3, około 1930 r.

Lato 1926 roku zbliżało się nieubłaganie ku końcowi. To znak, że niedługo rozpocząć się miał teatralny sezon. Jego zwiastunem były występy przybyłego z Warszawy żydowskiego teatru Azazel (z hebr. Upadły Anioł). Artyści odnieśli w Białymstoku niebywały sukces. W wielu domach komentowano ich występy. I oto w październiku „w pewnym kółku miejscowej młodzieży



Oskar Rozanecki, około 1930 r.



Mendel Goldman, autor większości tekstów Gilarino, około 1930 r.

żydowskiej powstała myśl o utworzeniu w naszem grodzie stałego teatru intymnego typu Azazel". Największymi orędownikami pomysłu stali się z miejsca reżyser i aktor Wiktor Bubryk i malarz Oskar Rozanecki. Ich zapał udzielił się wielu mieszkającym w Białymstoku literatom, muzykom, artystom estradowym. Pierwsze organizacyjne spotkania miały się odbyć w tak zwanej sali notariatów w kamienicy przy ulicy Sienkiewicza 5. Ale ponieważ okazało się, że przedsięwzięcie może być finansowane przez Towarzystwo Linas Hacedek, siedzibą przyszłego teatru została kamienica Towarzystwa przy ulicy Różańskiej 3. Tam też rozpoczęły się pierwsze spotkania i gorące dyskusje.

Postanowiono, że białostocki teatr-kabaret powinien wpisać się w modny nurt reprezentowany przez warszawskie kabarety. Następnie przystąpiono do stworzenia organizacyjnych ram całego przedsięwzięcia. Opiekę literacką powierzono redaktorowi białostockiej gazety „Dos Naje Łebn" Pejsachowi Kapłanowi, dziennikarzowi tej gazety Lejzorowi Mendelbrotowi i znanemu białostockiemu poecie Mieczysławowi Goldmanowi. Kierownictwo muzyczne objął świetny, doświadczony kompozytor Jakub Berman. Scenografia i kostiumy przypadły Rozaneckiemu. Za efekty świetlne odpowiadał Izaak Boskies. Reżyserię programów wzięli w swoje ręce Wiktor Bubryk i Jakub Tapicer. Do grania, śpiewania i recytowania zaangażowano 20 miejscowych artystów i zabrano się do intensywnej pracy. Trzeba było stworzyć cały teatr od podstaw. Rozanecki zaprojektował kostiumy, które szyte były przez białostockich krawców. Oni też wykonali dwie kurtyny: aksamitną i finałową. Premiera zapowiedziana została na przełom listopada i grudnia. Teatr nie miał jednak ciągle nazwy. Pejsach Kaplan ogłosił więc na łamach „Dos Naje Łebn" konkurs.

Wygrał go niejaki Ginzburg, który zaproponował nazwę „Gilarino", co po hebrajsku znaczyło śmiech i śpiew. W nagrodę pomysłodawca otrzymał „srebrny żeton".

Im bliżej premiery, tym atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Dobiegały końca prace przy malowaniu dekoracji. Wszystkie utrzymane były w „stylu ekspresjonistycznym". Bubryk z Tapicerem dopinali ostatnie szczegóły programu. Rozprowadzaniem biletów zajęli się pracownicy Towarzystwa Linas Hacedek. Można było je kupić przy ulicy Sienkiewicza 20 w sklepie z bielizną Judelewskiego i w siedzibie Towarzystwa. Wszystkie rozeszły się jak woda.

Nadeszła wreszcie oczekiwana premiera. W czwartek 2 grudnia o godzinie 21.10 aksamitna kurtyna w teatrze Gilarino uniosła się. „Intymny teatr żydowski" rozpoczął swój pierwszy występ przed wypełnioną do ostatniego miejsca widownią. „Każdy poszczególny numer programu dziwił czystością swego wykonania, oryginalnym stylem, artyzmem". Publiczność nie szczędziła braw. Zachwyciła się scenografią. Szlagierem programu, wielokrotnie powtarzanym, okazała się *Waluta Charleston* białostockiego duetu Berman (muzyka) i Goldman (słowa). Inne ich piosenki też przypadły słuchaczom do gustu. Z upodobaniem słuchano *Złatele*, *Chińskiego raju* i żydowskiej pieśni ludowej *Abecadło*, której towarzyszyła pomysłowa i zabawna inscenizacja. „Z wielkim sukcesem przeszła *Katarzynka* w wykonaniu panny Zylbersztejn i panów Knyszyńskiego i Szapiro. Bardzo podobała się Wesoła Hałastra – „chór humorystyczny z 10 osób pod batutą p. W. Bubryka". Konferansjerką zajął się Jakub Tapicer. Był zdaniem publiczności słabszym punktem programu. Raziła jego nienaturalność i to, że „był sztywny". Następne wieczory w piątek, sobotę i niedzielę ugruntowały sukces premiery. Powodzenie było tak wielkie, że artyści wystąpili z tym programem aż 17 razy.

Płynąc na fali sukcesu, Teatr Miniatur Gilarino zaczął przygotowywać kolejny, drugi program. Jego premiera odbyła się w piątek 21 stycznia 1927 roku. Różnił się od poprzedniego tym, że pojawiły się w nim utwory poważniejsze, refleksyjne. *O północy*, wykonywany przez pannę Kapelmanównę i partnerujących jej Giełczyńskiego i Zucanowicza, wywarł na słuchaczach „bardzo silne wrażenie". Jeden z recenzentów stwierdził nawet, że utwór ten przekroczył stanowczo zakres teatru miniatur". Ale reszta programu, tak jak i uprzedni, znakomicie bawiła. Salwy śmiechu towarzyszyły skeczowi *Polityka w synagodze za piecem*. Słuchacze z łatwością odczytywali zawarte w nim aluzje do spraw toczących się w sejmie, białostockiej Radzie Miejskiej i tutejszej gminie żydowskiej. Szlagierem drugiego programu stało się *Gilarino Shimy*, skomponowane oczywiście przez Bermana do słów jednego z literatów białostockich, który ukrył się pod pseudonimem Poncz. Huragany śmiechu towarzyszyły kupletom śpiewanym przez parę marionetek Ele i Szmelke, które animowane były przez pannę Łobzowską i jej partnera Katinko. Ten ostatni okrzyknięty został niekwestionowaną gwiazdą wieczora. Kuplety te ostrzem satyry cięły po znanych białostockich osobistościach. Oprócz tego wielkim powodzeniem cieszyły się piosenki *Głuptas* i *Perska mądrość*. Na finał zostawiono, tak jak i poprzednio, występ Wesołej Hałastry z nowymi piosenkami, które wywołały

„homeryczny śmiech publiczności”. Z zadowoleniem zauważono też, że konferansjer Tapicer nie był już taki sztywny.

Białystok dosłownie oszalał na punkcie Gilarino. Publiczność domagała się kolejnych występów. Wobec tego w lutym 1927 roku dyrekcja teatru z najlepszych numerów obydwu programów postanowiła zrobić jeden. I on cieszył się niesłabnącym powodzeniem. W międzyczasie, pod koniec stycznia, do Białegostoku zjechał ponownie teatr Azazel. Okazało się, że białostockie Gilarino jest o wiele lepsze! Zaczęła o nim pisać warszawska prasa. Posypały się też propozycje gościnnych występów z innych polskich miast. Tymczasem trzeba było przygotowywać kolejny już, trzeci, program. Na dzień premiery wybrano 7 kwietnia. I znów przez cały miesiąc komplety widzów cieszyły się śmiechem i śpiewem.

Pomimo że Gilarino było kabaretem żydowskim, to na jego przedstawienia chętnie przychodziła też polska publiczność. Widywano na spektaklach wojewodę Mariana Rembowskiego oraz „cały szereg innych dygnitarzy białostockich i przedstawicieli tut. polskiego społeczeństwa i towarzystwa”. Opiniotwórczy tygodnik „Prożektor” informował, że „widzowie-Polacy, nieposiadający języka żydowskiego, wychodzili jednak z Gilarino pod wrażeniem przyjemnie i mile spędzonego wieczoru”.



Ale tak jak sukces teatrzyku przyszedł niespodziewanie, tak też i jego kres nastąpił nagle. Jak zwykle poszło o pieniądze. Pierwszy zerwał współpracę Oskar Rozanecki – zażądał zbyt wysokich honorariów, a dyrektor się na nie nie zgodził. Po nim z kabaretu zaczęli odchodzić najlepsi artyści. Ciosem było, gdy odszedł twórca i główny kreator sceny, Wiktor Bubryk. „Gilarino zaczęło się dusić i kuleć”. W grudniu 1927 roku już wszyscy wiedzieli, że to ostatnie chwile kabaretu. Nowe programy już nie śmieszyły. Publiczność przestała przychodzić na wieczorne spektakle. Dodatkowym kłopotem okazała się zmiana władz Towarzystwa Linas Hacedek. Nowy zarząd nie miał niestety poczucia humoru i nie w smak mu były dowcipy i żartobliwe piosenki sypiące się ze sceny. Gilarino musiało opuścić dotychczasową siedzibę. W nowej, przypadkowej sali nic już nie było tak jak dawniej. W 1928 roku po kabarecie pozostały już tylko wspomnienia.





Wielojęzyczne szyldy na sklepach przy białostockim rynku, 1916 r.

Trudności lingwistyczne

W międzywojennym Białymstoku poszukiwano „korespondentów w języku francuskim i niemieckim". Dlaczego? Białostocka elektrownia należała do Niemców i Belgów. Ci ostatni dodatkowo zjawiali się na pertraktacje związane z ewentualnym uruchomieniem linii tramwajowych. Białostockie banki funkcjonowały w europejskim obiegu kredytu, przemysł szukał zagranicznych rynków zbytu. Trzeba zatem było prowadzić korespondencję w językach obcych. Ich znajomość była więc mile widziana. Szkoda tylko, że w Białymstoku często pojawiał się także problem z językiem… polskim.

Białostoczanie powracający z letniej kanikuły w 1925 roku opowiadali jak to na jednym z podbiałostockich letnisk pojawił się takowy pisarski popis: „Surowo wzbroniono Spacery gry wpiłke nożną tłuczenie zboża łąk a także pasenie Koz i Krów i Kompiele. Winni będą Karani Sądem". Naśmiewano się z innych, ale w samym mieście wcale nie było lepiej. Otóż w sierpniu 1919 roku w kamienicy przy ulicy Warszawskiej 6 uroczyście otwierano nowy lokal biura związku zawodowego. Przybyli goście z lekką konsternacją czytali szyld, który zawisł nad bramą: „Związek zawodowy włuknistego przemysłu".

Dyskusję ortograficzną wzbudziły afisze rozlepione w centrum Białegostoku w październiku 1930 roku. Otóż Związek Żydowskich Artystów postanowił zaprezentować w teatrze

Pałace inscenizację *Dziejów Tewjego Mleczarza* według Szołema Alejchema. Szkopuł tkwił w tym, że z afiszy wynikało, że będzie to *Towje Mleciarz*. Tak niesłychane niedbalstwo zmobilizowało szeregi obrońców polszczyzny. Podniesiono więc larum: „ponieważ druki publiczne, jak w tym wypadku afisz, często uczą, należy na przyszłość unikać tego rodzaju błędów, które świadczą albo o niedbalstwie czy ignorancji, albo też o braku szacunku do języka państwowego”. Podobne oburzenie wzbudził Judel Mikociński, właściciel sklepu z galanterią przy ulicy Suraskiej 16. Pewnego październikowego dnia 1930 roku jego klienci zastali sklep zamknięty, a w drzwiach umieszczona była kartka. Skupieni czytali: „Spowodu skleb zamknięty śmierci babcia umarła”.

Ale problem nie tkwił tylko w ekstrawagancji ortograficznej. Ogłoszono oto, że „w poniedziałek 17 grudnia 1923 roku odbędzie się w Białymstoku egzamin z języka polskiego tych oficerów Armii czynnej, którzy odbywali studia w szkołach obcych i nie składali matury po polsku”. I nie chodziło tu bynajmniej o czysty formalizm, ale o rzeczywisty stan znajomości rodzimego języka wśród części kadry oficerskiej. W uzasadnieniu konieczności zorganizowania tej „matury” pisano: „Pięcioletnie istnienie naszej niepodległej Siły Zbrojnej w zupełności usprawiedliwia to dążenie Naczelnego Dowództwa, by osoby noszące mundur oficera polskiego władały w dostatecznej mierze językiem państwowym, znały dzieje kraju i jego piśmiennictwo”. Widząc to pomieszanie języków, białostockie Towarzystwo Esperantystów w październiku 1928 roku postanowiło wprowadzić do szkół naukę języka esperanto. W tym celu zorganizowany został w siedzibie Towarzystwa przy ulicy Kupieckiej 49 (obecnie Malmeda) kurs dla nauczycieli białostockich podstawówek. Zajęcia inauguracyjne zaszczycił swoją obecnością sam Inspektor Szkolny, ale z pomysłu nic nie wyszło.

W 1926 roku amatorów angielskich słówek zelektryzowało ogłoszenie. „Przyjechała Angielka i udziela lekcji języka angielskiego”. Panna ta zatrzymała się u swego kuzyna Łazarza Frenkela przy ulicy Częstochowskiej 9. Uczniów miała bez liku. Na brak chętnych nie narzekała też anglistka (po wyższych studiach angielskich) prowadząca kursy z literatury, historii i innych przedmiotów przy ulicy Artyleryjskiej 10. Można było zapisać się na lekcje grupowe bądź indywidualne. Prywatne lekcje dawali też co zdolniejsi uczniowie. „Uczennica klasy VII udziela korepetycji z języka polskiego i francuskiego w zakresie 4 klas”. Tak było w 1926 roku przy ulicy Elektrycznej 13. Ta fascynacja językiem Szekspira miała prozaiczną przyczynę – emigracja.

Białostoczanie teoretycznie mogli się rozczytywać w literaturze obcej. W bibliotece Szołem Alejchema, która mieściła się przy Sienkiewicza nieopodal Białej, księgozbiór był wielojęzyczny. Oczywiście dominowały książki drukowane po hebrajsku, jidysz i po polsku. Było ich około 80%. Ale pozostałe dzieła wydrukowane były po niemiecku, francusku, angielsku, rosyjsku i esperanto. W 1927 roku wypożyczających w tej bibliotece „abonentów” było 1456 (827 mężczyzn i 629 kobiet). Ale dalej statystyki milczą.



Dom, w którym urodził się Ludwik Zamenhof, 1928 r.

Z tych pobieżnych informacji wcale nie należy wyciągać więc wniosków, że obcokrajowiec przybywający do Białegostoku mógł swobodnie się porozumieć i bez kłopotu trafić do hotelu czy restauracji.

Aż nadszedł czas najwyższej lingwistycznej próby. 30 kwietnia 1928 roku z kurtuazyjną wizytą przyjechał do Polski król Afganistanu Amanullah z małżonką. Wizyta miała iście królewską oprawę. Monarszą parę, jadącą z Berlina, witano na granicy. Później, już w Warszawie, defiladom, rautom, przedstawieniom w operze nie było końca. Marszałek Piłsudski ofiarował królowi sztucer przerobiony z wojskowego karabinu. Na jego drewnianej kolbie Władysław Skoczylas wyrzeźbił dwa psy i dwie kozice górskie. Ponadto król otrzymał 100 wojskowych karabinów i samolot szkoleniowy.

Posiadając perfect obce języki:
angielski, francuski, niemiecki, włoski, hiszpański i rosyjski,
ofiaruję swe usługi — w charakterze korespondenta handlowego — solidnemu przedsiębiorstwu przemysłowo - handlowemu, mającemu stosunki z zagranicą.
Honorarjum — umiarkowane.
Dyskrecja zapewniona.
Informacje: ul. Staszyca 4 m. 2

Anons prasowy, 1935 r.

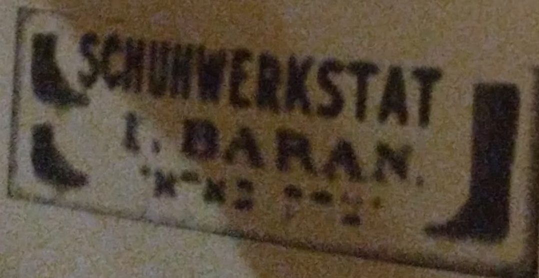
Koncesjonowane przez Kuratorjum
OKRĘGU SZKOLNEGO.
Kursa języków obcych
według systemu **BERLITZA**
prowadzone przez **N. MATWIEJEWĄ**
i p. **A. GINCA.**
Informacje i zapis w gmachu Szkoły Handlowej im. Kopernika przy ul. Fabrycznej 37
we wtorki, czwartki i soboty 5—7 pp.

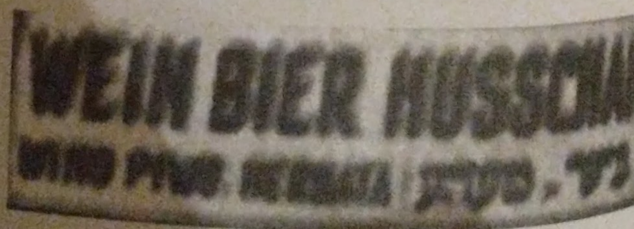
Anons prasowy, 1932 r.

W środę, 2 maja, królewska para wyruszyła do Moskwy przez Białystok. „O godzinie 12 minut 52, pociąg złożony z 12 wagonów, w liczbie których było kilka salonów" wjechał na białostocką stację. Orkiestra 42. Pułku Piechoty z miejsca zaczęła grać hymn afgański. Gdy pociąg się zatrzymał, przy królewskiej salonce białostoccy piechurzy wystawili wartę honorową. Na peronie w hierarchicznym szyku stali wicewojewoda, prezydent miasta, przewodniczący Rady Miejskiej itd., a nawet przedstawiciel poddyrekcji PKP. Słowem wszyscy. Wokół nich stłoczyli się białostoczanie zaciekawieni wizytą egzotycznego gościa. Napięcie doszło do zenitu, gdy w oknie wagonu pojawił się król Amanullah w cywilnym ubraniu. Rozejrzał się po peronie i wygłosił krótkie przemówienie w języku afgańskim. Białostockie towarzystwo stało jak na „tureckim kazaniu". Następnie świta króla, wschodnimi szerokimi gestami i ukłonami dała do zrozumienia naszym notablom, że król zaprasza ich do wagonu. Cóż robić, trzeba było iść. Wewnątrz okazało się, że monarcha akurat jadł śniadanie. Wobec tego, znów za pomocą wymownej gestykulacji, zaproszono białostoczan na kawę po turecku. Sprawozdawca z tego dyplomatycznego spotkania zanotował, że śniadanie „umożliwiło zarówno przyjezdnym, jak i witającym bliżej obejrzeć się wzajemnie". Najbardziej warta oglądania w tym towarzystwie była bezdyskusyjnie królowa Soraja. Gdy delegacje przyglądały się sobie, białostoccy kolejarze zdążyli wymienić lokomotywę. Świta królewska, gnąc i mnąc się w ukłonach, dała wojewodzie i otoczeniu do zrozumienia, że śniadanie właśnie się skończyło. Białostoccy włodarze śpiesznie wyskoczyli z wagonu. Orkiestra zagrała marsza, pociąg gwizdnął i w obłokach pary i dymu król odjechał.

No i kto by podejrzewał, że do Białegostoku przyjedzie ktoś, kto będzie przemawiał tylko po afgańsku! Tego nie przewidział nawet Ludwik Zamenhof.









Tymczasem Królowie Żelaza byli na niejednym białostockim podwórzu, 1938 r.

Ursus i Człowiek Mucha

W międzywojennym Białymstoku rozrywką rozpalającą największe emocje były pokazy rozmaitej maści akrobatów i atletów. Ich występy zapowiadane jako sensacyjne gromadziły tłumy. Tak też było w sobotnie popołudnie 28 czerwca 1919 roku. Na ten dzień zapowiedziano niezwykłe widowisko w opuszczonych przez wojsko koszarach artyleryjskich przy ulicy Lipowej 52, gdzie „znany akrobata Józef Oszczędo wykona skok śmiertelny na rowerze". Z tą śmiertelnością skoku to jedynie obowiązująca wówczas stylistyka polszczyzny, bo trudno przypuszczać, że miała to być dosłowność. Niemniej Oszczędo ryzyko podejmował wielkie. Zapewniał, że wykona skok na rowerze „z wieży czteropiętrowej". Niestety nie wiemy, czy skok poprzedzał dojazd dla nabrania odpowiedniej prędkości czy też akrobata, ot tak normalnie, poddając się grawitacji, spadł z czwartego piętra razem z rowerem; ani nie wiemy, jakie przygotowano mu lądowisko, no i jak się to wszystko skończyło.

BOJSKO SPORTOWE Ż. K. S. (ul. Branickiego 17).
Dziś, w sobotę 29 i jutro, w niedzielę 30 maja 1926 r.
WYSTĘPY wszechświatowej sławy KRÓLA ŻELAZA
Gustawa Brejtbarta
w nowych, dotychczas niewidzianych tutaj atrakcjach. Między innemi:
1) przez piersi Brejtbarta przejedzie samochód o wadze 3000 kg., obsadzony pasażerami.
2) Brejtbard ciągnie w zębach dorożkę z pasażerami.
3) na głowie Brejtbarta zostanie zgięta szyna żelazna przez 20 ludzi z pośród publiczności.
Koncert orkiestry B.O.S.O. Początek o godz. 4 po poł.
Ceny miejsc: siedzące 1.50, stojące — zł. 1 Ulgowe—gr. 75

Przed Ursusem (Stefanem Piątkowskim) Białystok odwiedził słynny Król Żelaza – Gustaw Brejtbart, 1926 r.

CYRK STANIEWSKICH CYRK
BIAŁYSTOK
ul. Nadrzeczna № 1, róg Sienkiewicza
w Niedzielę 19 kwietnia r.b. i dni następnych
Tylko kilka gościnnych występów
KRÓLA ŻELAZA ŚWIATOWEJ SŁAWY
ZYGMUNTA BREITBARTA
DZIŚ w niedzielę 19 kwietnia r.b. DZIŚ
p. BREITBART o godzinie 12 m. 25 w południe przyjeżdża z Warszawy do Białegostoku i o godz. 4-ej popołud. występuje poraz pierwszy w POPOŁUDNIOWEM PRZEDSTAWIENIU
Oprócz pana Breitbarta w powyższych przedstawieniach, jako nadzwyczajnych, przyjmuje udział cały zespół cyrkowy
Początek przedstawień. Dzienne o g. 4-ej pp. Wiecz. o g. 8.30

Prawdziwa sensacja wybuchła w 1925 roku. 14 kwietnia do Białegostoku przyjechał popularny Cyrk Braci Staniewskich, który rozbił swój namiot na placu przy ulicy Nadrzecznej. 19 kwietnia miasto zelektryzowała informacja, że na kilka występów przyjedzie do cyrku światowej sławy siłacz, Król Żelaza – Zygmunt vel Zishe Breitbart. Słynnego atletę witano na dworcu jak prawdziwego monarchę. Przy dźwiękach orkiestry tłum przeniósł go z pociągu do dorożki. Na całej trasie jego przejazdu do Ritza na ulicach stały wiwatujące tłumy. Pisano, że „przyjazd Breitbarta spowodował niezwykłą sensację. Cyrk w oblężeniu". Widzowie w kasie cyrku otrzymywali „bezpłatną



Zishe Breitbart



Występ w Cyrku Braci Staniewskich, Białystok 1925 r.

książkę z fotografiami i opisaniem przygód nadzwyczajnych z życia Zygmunta Breitbarta". Prasa donosiła o przypadkach zasłabnięcia widzów w trakcie jego występów i komentowała je komentarzem: „Oj ten p. Breitbart!". 28 kwietnia atleta dał ostatni występ przy ulicy Nadrzecznej. Wkrótce całą Polskę obiegła informacja, że król uległ wypadkowi w trakcie występów. Zmarł w Berlinie 12 października 1925 roku. Wspomnienia o Zishe odżyły w maju 1926 roku, gdy do Białegostoku przyjechał jego brat – Gustaw Breitbart. Przejął on tytulaturę po zmarłym bracie. Zapowiadano, że to on jest teraz „wszechświatowej sławy królem żelaza", ale widzowie wiedzieli, że król był tylko jeden.

Całkiem inna historia wydarzyła się w niedzielę 19 września 1926 roku, kiedy do Białegostoku przyjechał wraz z żoną inny słynny atleta Stefan Piątkowski, znany pod pseudonimem Ursus. Państwo Piątkowscy zatrzymali się w hotelu Bristol przy ulicy Lipowej 17. Miasto już od kilku dni przygotowywało się na wielkie widowisko. Na głównych ulicach wisiały afisze zapowiadające niezwykłe emocje. Ursus miał, zgodnie ze swym sienkiewiczowskim pierwowzorem, zmierzyć się z rozjuszonym bykiem. Po tej walce atleta zapowiadał wyczyn niezwykły: zostanie zakopany w głębokim na trzy metry dole i pozostanie w nim bez dostępu powietrza przez godzinę. Inni



Człowiek Mucha pokonał elewację tego Gimnazjum Żeńskiego. Zdjęcie z 1910 r.

wykonujący ten numer potrafili wytrzymać w takich warunkach zaledwie kilkanaście minut. W następnym numerze przez Ursusa miał przejechać samochód „obciążony 10 ludźmi". Na koniec występu Piątkowski obiecywał, że „nie pozwoli rozerwać sobie rąk przez dwa silne konie". Ten sensacyjny spektakl miał się odbyć na boisku sportowym przy ulicy Nadrzecznej 1.

W niedzielne popołudnie, o godzinie 17.00, cały plac sportowy był wypełniony. „Na krzesłach pod otwartym niebem siedziała inteligencja, za krzesłami tłumił się motłoch". Ludzie obsiedli wszystkie okoliczne płoty, drzewa, a nawet dachy pobliskich domów. Zewsząd było słychać komentarze związane z niespokojnie zachowującym się bykiem. Ten zamknięty był w drewnianej zagrodzie ustawionej na środku placu. Tuż po 17.00 orkiestra Białostockiej Ochotniczej Straży Ogniowej zagrała marsza i z pobliskiej szopy „wyszła sława polskiego sporta, człowiek, który nas przetrwa – Ursus". W rzeczy samej, jak to stwierdzili sprawozdawcy, był to sympatycznie wyglądający, w miarę krzepki jegomość. Ubrany był w „nocną koszulę i czekoladowe spodnie". Na piersi przypiętą miał wstęgę z medalami. Publiczność wiwatowała, orkiestra ile tchu rżnęła marsza, a Ursus tryumfalnie obchodził plac i pozdrawiał tłumy. Na zakończenie tej celebry odpiął medale i wręczył je przypadkowemu chłopcu, a sam przeszedł przez ogrodzenie i z impetem natarł na zdezorientowanego byka. „Tłukł go głową, szarpał na wszystkie strony, starał się skręcić mu kark". Byk wytrzymał tylko 10 minut takich tortur i zwalił się na ziemię. Ursus skoczył na niego i w tym momencie pękły mu na siedzeniu czekoladowe spodnie. Skonfundowany udał się do szopy, aby poprawić garderobę.

Oszołomiony byk rozejrzał się i nie widząc przeciwnika, powoli wstał. Na to tylko czekała „galeria" z płotu. Dało się stamtąd słyszeć okrzyki: „Berczyk, Berczyk". Po chwili z tłumu wyskoczył jakiś niepozorny człeczyna, zwinnym skokiem przesadził ogrodzenie i „chwycił byka za rogi i w jednej chwili powalił go na ziemię". Publika wyła z zachwytu, a gdy z szopy wyszedł Ursus, przywitała go salwa śmiechu. Piątkowski, widząc, co się stało, uspokoił tłum i nonszalancko stwierdził, że tak jak Berczyk to każdy może położyć byka, ale tak jak Ursus uczynił, nikt nie potrafi. Przemowa atlety wywołała jeszcze większą wesołość na widowni. Oliwy do ognia dolało pojawienie się białostockiej sławy zapasów – Kaganowskiego. Mistrz ubrany był zgoła niesportowo w ciemny garnitur i melonik na głowie, w ręku trzymał niewielką walizeczkę. Podszedł do Ursusa i zaproponował mu stoczenie walki. Piątkowski zaczął się dyplomatycznie wykręcać. Stwierdził, że tu na tym placu nie może walczyć, bo przecież nie będzie się tarzał w piachu. Zgodził się, że owszem, zmierzy się z Kaganowskim, ale w najbliższą środę w teatrze Palace, w którym miał wystąpić jako „król żelaza". Publiczność była jednak nieustępliwa. Na to Ursus podszedł do stojącego obok policjanta, chwilę porozmawiali, po czym atleta oświadczył, że „Władza nie zezwala". Rozległy się gwizdy i jęk zawodu.

Po tym incydencie Piątkowski przystąpił do próby z dwoma końmi. Te nie były zbyt ochocze i raczej przebierały nogami w miejscu, niż rozrywały ręce Ursusa, ale efekt był. Zadowolony



Człowiek Mucha zmierzył się też z hotelem Ritz. Zdjęcie z1938 r.

z siebie siłacz zapowiedział więc numer z samochodem. Położył się na ziemi. Przez pierś ułożono mu szeroką deskę. Publiczność zamarła, gdy na Ursusa wjechał samochód z pasażerami. Atleta trzymał się dzielnie, ale gdy już wydawało się, że wyjdzie z tej próby zwycięsko, gdy na jego klatce piersiowej znajdowały się już jedynie tylne koła auta, coś zacharczało w silniku i samochód zgasł. Wszyscy zamarli z przerażenia. Na moment zaległa kompletna cisza, którą przerwał ponowny jęk Ursusa. Ci, co stali najbliżej, rzucili się i zepchnęli auto. Zemdlałego i nieruchomego Piątkowskiego położono na prowizorycznych noszach i natychmiast zawieziono do szpitala miejskiego na ulicę Lipową 43. Za nimi biegła, zanosząc się szlochem, ale kurczowo trzymając kasetkę z pieniędzmi za bilety, pani Piątkowska. W szpitalu siłacza opatrzono i postawiono diagnozę – „zgniecenie lewego boku". Ursus powoli doszedł do siebie. Obolały, z poczuciem, że nie był to jego najlepszy występ (dobrze, że tego dnia nie zakopano go w jamie!), korzystając ze wsparcia żoninego ramienia, wrócił jak niepyszny do hotelu Bristol.

Znacznie większym sukcesem mógł pochwalić się Stanisław Nazarkiewicz, znany w całej Polsce jako Człowiek Mucha. Do Białegostoku przyjechał w maju 1931 roku. Jego popisy miały się odbyć w gmachu Gimnazjum Żeńskiego im. Księżny Anny Jabłonowskiej przy ulicy Mickiewicza o godzinie 15.00 25 maja 1931 roku. Organizatorzy zadbali o wszystko, nawet o miejsca siedzące, które kosztowały złotówkę. Nie wzięli tylko pod uwagę, że termin akrobatycznych popisów koliduje z uroczystością poświęcenia kamienia węgielnego pod pomnik żołnierzy 42. Pułku Piechoty w Zwierzyńcu. W ostatniej chwili trzeba było odwołać występ i wyznaczyć nowy termin. Wybrano 27 maja.

Tym razem występ zaplanowano na godzinę 20.00, co okazało się wyśmienitym posunięciem. Spowity wieczornym mrokiem gmach podświetlały specjalne reflektory. Człowiek Mucha pojawił się przed publicznością punktualnie. Skłonił się szarmancko i bez żadnej asekuracji zaczął wspinać się po elewacji gmachu. Publiczność, zadzierając coraz mocniej głowy, w grobowej ciszy śledziła każdy jego ruch. Gdy akrobata stanął na wieńczącym elewację gzymsie, rozległy się gromkie brawa. Ale Nazarkiewicz ani myślał kończyć występ. Zachwyconej publiczności zademonstrował, balansując na krawędzi dachu, „różne akrobatyczne ewolucje". Wrażenia były wspaniałe. Zaczęto więc namawiać go na kolejny występ. Człowiek Mucha przyjął zaproszenie. Kolejny pokaz jego umiejętności odbył się w niedzielę 7 czerwca 1931 roku. Tym razem akrobata postanowił zmierzyć się z hotelem Ritz. I ponownie wśród tłumów publiczności Nazarkiewicz wspinał się po elewacji hotelu. Zgrabnie przeskakując po gzymsach i parapetach, dostał się na szczyt budynku, gdzie wykonał zestaw akrobacji.

Takie wyczyny dziś co najwyżej zasłużyłyby na wzruszenie ramion. Kogo mogłoby ekscytować wchodzenie po elewacji trzypiętrowego budynku czy skoki na rowerze? Świat łaknie nowych, coraz większych sensacji. Nam pozostaje tylko lokalna duma, że blisko 100 lat temu występy śmiałków, które zapierały dech w piersiach, prezentowane były też w Białymstoku.



Po lewej stronie kamienica Karola Ginzburga na rogu ul. Lipowej i Krakowskiej. Funkcjonował w niej największy w Białymstoku dom publiczny, około 1925 r.

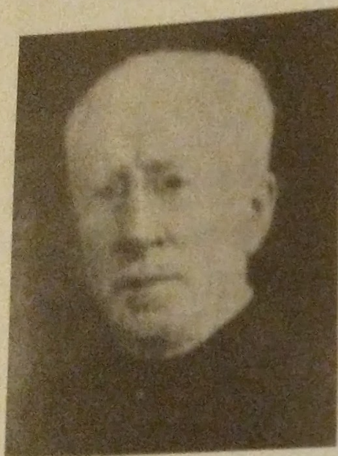
Venus trotualis

Co tu owijać w bawełnę – Białostoczanie nie byli purytanami. W centrum miasta roiło się od panienek o wyraźnie lekkich obyczajach. Nazywano je różnie – najczęściej używano określeń potocznych, by nie powiedzieć prostackich, ale nie w eleganckim świecie. Tam mówiło się o kapłankach wolnej miłości, heterach, a ci, którzy podkreślić chcieli swoją erudycję, wspominali o *Venus trotualis*.

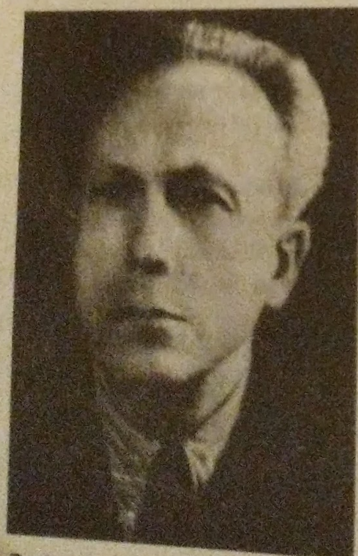
Dziś może się to wydać szokujące, ale w okresie międzywojennym prostytucja była legalna. Panienki lekkich obyczajów musiały rejestrować się w odpowiednim urzędzie, gdzie otrzymywały książeczkę zdrowia, do której wpisywane były wyniki badań kontrolnych. Według przepisów powinny były zgłaszać się na nie dwa razy w tygodniu, no ale – jak wiadomo – różnie z tym było. Jesienią 1925 roku białostocki Urząd Sanitarno-Obyczajowy podał, że w mieście zarejestrowane są 84 zawodowe prostytutki, „dorobkujących zaś nierządem" było 139. Zauważono w tym raporcie, że liczba pań trudniących się tym procederem spada, gdy wzrasta bezrobocie. Gdy ono maleje, to i pracę odzyskują nocne ćmy. Ot, życiowe prawa ekonomii. Wśród białostockich „heter" były 24 robotnice, 32 służące, 3 krawcowe, kelnerka, a reszta



Przed hotelem Ritz, 1913 r.



Dr Wacław Szaykowski, propagator idei świadomego macierzyństwa, lata 50. XX w.



Dr Jan Walewski, około 1960 r.

nie miała żadnego zawodu. Co ciekawe, zarejestrowane córy Koryntu podawały też wyznanie: przodowały katoliczki (53 panie) i Żydówki (24), a tylko pięć prawosławnych i dwie ewangeliczki parały się nierządem. Ich wiek, co w przypadku kobiet nawet lekkiego prowadzenia zawsze brzmi nieelegancko, przedstawiał się następująco: „5 heter są w wieku do lat 20, 28 w wieku do lat 25, 30 heter w wieku do lat 30, 19 do lat 40 i dwie w wieku lat 50".

Takie dane statystyczne żywo interesowały nie tylko opinię publiczną. Od 1922 roku działało w Białymstoku Towarzystwo Walki ze Zwyrodnieniem Rasy. Zorganizował je doktor Jan Walewski, znakomity miejscowy specjalista od leczenia chorób wenerycznych. Towarzystwo postawiło sobie za główny cel zwalczanie prostytucji, w której upatrywano źródło deprawacji społeczeństwa i wszelkich chorób zakaźnych. W 1923 roku zmieniło nazwę na Polskie Towarzystwo Eugeniczne. Praca w nim odbywała się w sekcjach.

Dr. J. Walewski
Choroby weneryczne skórne i moczopłciowe
Naświetl. lampą kwarcową
Przyjmuje rano do 1 od 4 do 8 . Kobiety 4–6
po poł. W niedzielę od 11 do 1 od 4 do 6 pp.
ul. Sienkiewicza 14, m. 3 (II piętro).
Telefon 9-68.

Anons prasowy dr. Jana Walewskiego, 1924 r.



Doktor Józef Lewitt prowadził sekcję kolonii letnich dla dzieci, inspektor szkolny Jurecki odpowiadał za sekcję walki z alkoholem, doktor Walewski organizował zwalczanie chorób zakaźnych, doktorowa Berta Szaykowska prowadziła sekcję opieki nad matką i dzieckiem, a doktor Klamarzyński kierował poradnią zawodową dla kobiet. W 1928 roku odbył się walny zjazd białostockich eugeników. Prezesem na kolejną kadencję wybrano mecenasa Władysława Olszyńskiego, prawicowego działacza politycznego i dziennikarza.

Teatr „Palace”
Dnia 17 kwietnia br. o g. 8^{30} w.
odbędzie się odczyt zbiorowy n. t.
Sąd nad upadłą
kobietą
Jako prelegenci wystąpią:
Oskarżyciel .. red. Tadeusz Wieniawa - Długoszowski.
Obrońca .. Szanowna Publiczność.
Bilety w cenie od 50 gr. 568

Anons prasowy, 1928 r.

17 kwietnia 1928 roku na zaproszenie Towarzystwa do Białegostoku przyjechał Tadeusz Wieniawa Długoszowski, brat słynnego generała, z odczytem *Sąd nad upadłą kobietą*. Wieczorem, sala teatru Palace pękała w szwach. Długoszowski zaczął od tego, że upadła jest i prostytutka i królowa, której jedynym celem jest „pielęgnowanie swego wypieszczonego ciała dla użytku jego królewskiej mości”. A dalej to już prelegent grzmiał, że zakałą społeczeństwa są „alkoholiczki, kokainistki, morfinistki, handlarki żywym towarem, maciory domów publicznych i prowokatorki”. Swoje wywody generalski brat popierał literackimi przykładami, jak chociażby „syfilisem, który wprost zżerał Wyspiańskiego”. Publiczność czuła niedosyt, bo wykład był chaotyczny i nie ujmował „czynników psychicznych”, a jedynie „obracał, przewracał i wywracał” upadek kobiety.



Na białostockiej ulicy, około 1928 r.

Modern

Początek 8[1], 9[30], 10[30] w.

ŻEW ZMYSŁÓW

Tragedja 16-letniej

GERDI GERDT

Spowiedź 16-sto letniej dziewczyny

Nad program:

BABETTA

komedja w 2-ch aktach

Anons kina Modern, 1928 r.

Ledwo Wieniawa wyjechał z Białegostoku, to już 29 kwietnia z inicjatywy niestrudzonego doktora Walewskiego powstało Towarzystwo Ochrony Kobiet. Jego celem było „niesienie pomocy doraźnej kobietom i młodym dziewczętom, w wypadku gdy pozostawione sobie samym mogłyby stoczyć się w otchłań nierządu i nędzy".

Niespodziewanie sprzymierzeńcem Towarzystwa stało się kino Modern z ulicy Lipowej. Na początku czerwca 1928 roku odbyła się w tym przybytku X muzy premiera filmu osnutego na „tle najdrażliwszych współczesnych zagadnień seksualnych – *Zew Zmysłów* – tragedia 16-letniej dziewczyny". Białostocka publiczność z wypiekami na twarzach oglądała „wstrząsający dramat życiowo-erotyczny ilustrujący przeżycia dziewczęcia, które wskutek nieuświadomienia ulega najzdradliwszym pokusom kolegów. Przechodzi z rąk do rąk". Film, oparty na zeznaniach w berlińskim sądzie, przed którym stanęli owi „koledzy", wykorzystywał formułę spowiedzi dziewczyny i zawierał „niedozwolone rozkosze miłosne".

Ale dopiero pod koniec czerwca nastąpiła prawdziwa sensacja. Zapowiedziano wówczas „najciekawszy i zarazem najpożyteczniejszy dla młodych kobiet i mężczyzn film obecnego sezonu" pod tytułem *Pamiętniki lekarza*. Premierę, zapowiedzianą na 21 czerwca, poprzedziły liczne anonse. „Przyczyna samobójstwa niewiadoma. Tak często czytamy w pismach, lecz wtajemniczeni wiedzą, że w wielu wypadkach jest to finał cichej tragedii zrozpaczonego, nieuświadomionego młodzieńca. Aby uniknąć przyczyn tej tragedii, każda młoda kobieta, każdy młody mężczyzna powinien poznać tajniki niebezpieczeństwa życia płciowego i groźne skutki życia rozpustnego". W dniu premiery w prasie pojawiły się hasła „Precz z fałszywym wstydem". Afisze z takim samym tekstem zawisły na szyldach umieszczonych na słupach oświetleniowych przy ulicy Lipowej i na Rynku Kościuszki. Dyrekcja kina tylko w ten sposób mogła reklamować dzieło, ponieważ „wobec treści filmu fotografie przed kinem nie mogą być wystawione". Pisano więc, że widzowie obejrzą w Modern „tysiące cichych tragedii kochających się



Rynek

młodych ludzi i tysiące nieszczęśliwych rozwodów". Film polecano narzeczonym, małżonkom, no i rodzicom. Przed nimi zdemaskowane miały być „zboczenia płciowe według sensacyjnych rewelacji prof. Forrela". Na seans mogli wejść wyłącznie widzowie, którzy mieli ukończone 20 lat. Dyrekcja kina uprzedzała, że jeśli dorosły kupi bilet nieletniemu, „to takowy bilet nie będzie honorowany". W kinie panował podwyższony rygor moralności. „Dla pań zarezerwowano loże, a dla mężczyzn parter". I rzecz najważniejsza – film postanowiono wyświetlać wyłącznie na seansach nocnych, które rozpoczynały się o 23.45.

Publiczność nie zawiodła i zjawiła się tłumnie. W milczeniu oglądano dramat oparty na pamiętnikach starego lekarza, który „z bliska w swoim gabinecie przyjrzał się tragediom mężczyzn i kobiet, zrujnowanym ogniskom małżeńskim, zwyrodniałym dzieciom itp." Stary doktor opisywał skutki rozwiązłości i idące w ślad za nią choroby weneryczne. „Wobec tego cała młodzież, a przeważnie nieuświadomione kobiety powinni tłumnie odwiedzić te arcypożyteczne seanse". Zainteresowanie filmem było tak duże, że w dwa ostatnie dni jego wyświetlania, w sobotę i niedzielę 23 i 24 czerwca, postanowiono „dla sfer pracujących" zorganizować dwa dodatkowe poranne seanse.

No cóż, świat zmienia się w zawrotnym tempie. Dziś w bezpruderyjnym panującym wszechobecnie obyczaju nazwanie pani o lżejszym prowadzeniu *Venus trotualis* mogło by być potraktowane jako wyszukany komplement.



Rynek Kościuszki, 1928 r.



Drużyna piłkarska białostockiego Żydowskiego Klubu Sportowego, 1923 r.

Wielki futbol w Białymstoku

W 1879 roku na obszarze okolonym dzisiejszymi ulicami Wojskową, M. Skłodowskiej-Curie i Wołodyjowskiego wybudowane zostały koszary dla 61. Włodzimierskiego Pułku Piechoty. Na początku XX wieku stacjonował w nich 63. Uglicki Pułk. Ale nie w tym sedno. Najważniejsze, że wśród rzędów regularnie ustawionych budynków, od strony ulicy Włodzimirskiej (obecnie Wołodyjowskiego), znajdował się rozległy plac. Na co dzień używano go do ćwiczenia musztry, ale w sierpniu 1913 roku rozegrano na nim pierwszy odnotowany w białostockiej prasie mecz piłki nożnej. Sprawozdanie z tego wydarzenia ukazało się w „Gazecie Białostockiej".

> W niedzielę d. 21 b.m. na placu 63 Uglickiego pułku piechoty odbył się „match" piłki nożnej pomiędzy istniejącymi u nas od roku grupami: „Pierwszą rosyjską grupą w Białymstoku" i „Drugą niemiecką grupą". Wynik 2:2. Pomimo takiego wyniku stwierdzić należy, że grupa niemiecka, chociaż stosunkowo jest słabsza od rosyjskiej, okazała jednak większą sprawność. Nie obeszło się i bez wypadku: w połowie gry z rosyjskiej grupy wycofał się jeden z uczestników, gdyż od silnego uderzenia spuchła mu noga.

Na następne międzynarodowe wydarzenie piłkarskie trzeba było czekać 11 lat. 27 lipca 1924 roku, o 7.00 rano na białostocki dworzec wjechał pociąg z Wilna, z którego przy wtórze wiwatów wysiedli piłkarze Hakoah (z hebr. Siła) Wiedeń. Na tamte czasy to były sławy. Nic więc dziwnego, że witały ich tłumy i oficjele z przemowami. Pierwszy wystąpił przedstawiciel Wojskowego Klubu Sportowego (WKS), a tuż po nim jego odpowiednik z Żydowskiego Klubu Sportowego (ŻKS), a następnie skautów żydowskich i gimnazjum hebrajskiego. Wszystko przetykane było występami dętej orkiestry z gimnazjum Tarbut. Nie obyło się też bez hymnu narodowego na zakończenie uroczystości. Piłkarzy ulokowano w dorożkach i autobusie i pojechano do hotelu Ritz na śniadanie.

W tym samym czasie na peronie rozpoczęła się bijatyka. Wywołało ją dwóch pijanych mężczyzn. Musiała interweniować policja. Jednego z funkcjonariuszy przewrócono na ziemię i zaczęto dusić. Spieszącego mu z pomocą kolegę ktoś zdzielił pięścią w głowę. Więcej ofiar nie było i tłum ruszył w kierunku boiska ŻKS-u na ulicy Branickiego 7. Tam miały odbyć się kolejne powitania wiedeńczyków. Gapiów było tylu, że policja piesza i konna z trudem utrzymywała porządek. Obytych w świecie piłkarzy Hakoah zdumiewał entuzjazm białostoczan. Na boisku ustawiono mównicę. Pierwszy wkroczył na nią Rafał Lifszyc, przedstawiciel gminy żydowskiej. Po nim przemówił E. Litmanowicz reprezentujący miejscowych syjonistów. W imieniu żydowskich kupców witał futbolistów znany restaurator Hirsz Wieder. Goście z kurtuazją podziękowali i odbyli defiladę wokół boiska, tak aby wszyscy mogli ich obejrzeć z bliska. Po czym piłkarze przeszli do Ritza na obiad i odpoczynek, a publiczność ruszyła w kierunku Wygody. Tam, przy ulicy Traugutta, na boisku 42. Pułku Piechoty, o 17.00 miał się rozpocząć „match".

Publiczność na meczu z Hakoah Wiedeń, 1924 r.



Główne widowisko poprzedził „formatch". Zmierzyły się w nim miejscowe, rywalizujące ze sobą drużyny WKS-u i ŻKS-u. Pojedynek zakończył się wynikiem 1:1. Ale prawdziwe emocje zaczęły się, gdy na boisko wybiegły dwie główne drużyny. Reprezentacja Białegostoku składała się z najlepszych graczy WKS i ŻKS. Wręczyli oni swym rywalom kwiaty i mecz się rozpoczął. „Gra nabrała od początku szybkiego tempa i od początku reprezentacja Białegostoku zdradzała absolutny brak zgrania się i wykazywała tremę w największym stopniu". Pierwsza bramka padła już w pierwszej minucie. Po pięciu było już 2:0. Na domiar złego w tym samym momencie jeden z najlepszych białostockich graczy, porucznik Nowicki, „pada nieszczęśliwie i łamie prawą rękę". Gole sypią się. Do przerwy jest 9:0! Część publiczności domagała się usunięcia z drużyny „nieudolnego bramkarza" ŻKS-u Pławskina. Tak też się stało. W drugiej połowie białostockiej bramki bronił bramkarz WKS-u Gryka i puścił zaledwie cztery bramki. W sumie 13:0! Sprawozdawca sportowy „Dziennika Białostockiego" zanotował, że mecz dał „ogólnie wrażenie przykre. Footbaliści nasi wykazali całe ubóstwo swojej nieumiejętności, braku treningu i techniki". Po końcowym gwizdku sędziego Kacewinera z Wilna część publiczności wbiegła na boisko i przez pół godziny fetowała zwycięzców.

Minęło kilka dni i nieoczekiwanie wybuchł skandal. Otóż w żydowskim dzienniku „Dos Naje Lebn" ukazał się artykuł Pejsacha Kapłana. Autor stwierdził, że cały ten „match" to jedna szowinistyczna manipulacja. Sugerował, że sam pomysł połączenia WKS-u z ŻKS-em miał na celu skompromitowanie tego ostatniego. Dalej oskarżał Nowickiego, że ten wcale nie złamał ręki, a jedynie symulował, aby osłabić drużynę. Pisał więc, że „co prawda upadając zwichnął sobie tę pechową rękę, ale nie mógł to być poważny uraz, skoro porucznik już we wtorek grał sobie na mandolinie". W obronie Nowickiego stanęli lekarze opatrujący piłkarza i stwierdzili, „że nie wolno wypisywać bzdur o grze por. Nowickiego na mandolinie, skoro zagipsowano jego rękę na dwa tygodnie", a sam poszkodowany „znajdował się w ciągu 24 godzin w stanie nawpółprzytomnym". Kapłan zajął się też polską publicznością – twierdził, że ta z pobudek szowinistycznych domagała się zmiany bramkarza. Nie dopuszczał do siebie myśli, że golkiper, który puszcza gola co pięć minut, niezależnie od tego, czy chodzi do synagogi czy do kościoła, czarodziejem bramki nie jest.

A tego lata piłkarski horror w Białymstoku trwał.

10 sierpnia nad Białą przyjechała drużyna Makabi Berno. To też była piłkarska potęga. Z wiedeńczykami berneńczycy wygrali 4:2. Warszawskiej Legii wlepili 8:0. Białostoczanie, pomni lipcowego lania, postanowili tym razem wystawić naprawdę najlepszych zawodników. O bramkarzu Pławskinie nikt już nie wspominał. Bronić miał Gryka. Z ŻKS-u było trzech piłkarzy, resztę stanowili zawodnicy WKS-u i BOSO (Białostockiej Ochotniczej Straży Ogniowej). Bilety na ten mecz rozeszły się jak woda. „Dla uniknięcia natłoku przy kasach" sprzedawano je w cukierni Izraela Lewina przy ulicy Sienkiewicza 13, w hotelu Ritz, w biurze ŻKS przy ulicy Warszawskiej 2, w teatrze Palace przy ulicy Kilińskiego i nawet w małym pokoiku na wieży Ratusza, gdzie znajdował się punkt obserwacyjny BOSO.



Zarząd klubu sportowego Makabi Białystok, 1928 r.

Piłkarze z Berna przyjechali do Białegostoku w piątek 8 sierpnia po południu. Zakwaterowali się oczywiście w Ritzu. W sobotę o 11.00 na Rynku Kościuszki „dyrekcja kina Modern zorganizowała zdjęcia kinematograficzne", jako że zaplanowano „skinematografowanie" całego pobytu Makabi w Białymstoku. Z Rynku futboliści poszli na spacer po parku im. księcia Józefa Poniatowskiego, a następnie udali się na obiad do restauracji „Aquarium" na Rynku. Wieczorem dyrektor kina Modern zaprosił całą drużynę na seans filmowy.

W niedzielę o 11.00 goście zjawili się na boisku ŻKS-u i z zainteresowaniem oglądali popisy gimnastyczne. Następnie dorożkami pojechali na boisko BOSO przy ulicy Lipowej. Tu rozegrano kurtuazyjny, dwudziestominutowy mecz, po którym cała drużyna Makabi została honorowymi członkami drużyny BOSO. Tego samego dnia o godzinie 17.00 na boisku przy ulicy Traugutta rozpoczął się oczekiwany przez wszystkich mecz. Publiczność nie zawiodła. Widzów było 3 tys. Nikt nie spodziewał się zwycięstwa. Kwestią były tylko rozmiary porażki, bo „Makabi jest dla naszej reprezentacji przeciwnikiem o przewadze miażdżącej". Gra przez cały mecz toczyła się pod białostocką bramką. Do przerwy pachniało sensacją. Tylko 3:0! Ale w drugiej części było już gorzej i mecz skończył się wynikiem 12:0! Tym razem pech nie ominął gracza Makabi, „który zderzył się nieszczęśliwie z graczem WKS i wycofał się z gry", lecz nie przeszkodziło to gościom „rozgromić" białostoczan.

W środę, 13 sierpnia, białostoczanie mogli jeszcze raz przeżyć emocje związane z wizytą piłkarskich wirtuozów z Berna. W kinie Modern miał premierę – „gwóźdź sezonu letniego – *Amerykanka – współczesny dramat życiowy*" z Glorią Swanson. Jako nadprogram wyświetlano film z pobytu Makabi, pokazujący też nieszczęsne 12 bramek strzelonych na Wygodzie.

Białostoczanie zawsze słynęli z gościnności, ale z tej futbolowej lekcji wyciągnęli wnioski na całe dziesięciolecia. Tak więc zaproszenie Realu Madryt na mecz z białostocką Jagiellonią nie tylko z finansowych powodów nie wchodzi w rachubę.



Gmach białostockiego magistratu, 1927 r.

Wyczyny radnego Flomenbauma

Rada Miejska zawsze była teatrem. Raz wystawiali dramat, innym razem grali komedię. Wiadomo, że oprócz repertuaru ważna jest też obsada. O, tu białostocka samorządność ma się czym pochwalić. Na scenie miejskiej występowali „artyści", co to z powodzeniem śmieszyli i przerażali.

W 1926 roku odbyły się w Białymstoku wybory uzupełniające. Jednym z nowych radnych został młody nauczyciel, Beniamin Flomenbaum. Był on działaczem żydowskiej partii socjalistycznej Bund oraz przewodniczącym Związku Nauczycieli Żydowskich Szkół Powszechnych, ale wcześniej nie angażował się zbytnio w żadne sprawy miejskie. W elity władzy wrzuciły więc Flomenbauma nie wcześniejsze zasługi, lecz nabrzmiewające konfrontacyjne nastroje nacjonalistyczne.

Zaczął nowy radny swoją karierę z animuszem. Od pierwszego posiedzenia rady stał się jej najaktywniejszym członkiem. Tygodnik „Prożektor", surowo recenzujący poczynania miejskich rajców, donosił, że „w kwestii formalnej, w kwestii zapytania zabiera głos radny Flo-

menbaum przy każdej sposobności i niesposobności, stając się istnem utrapieniem dla pana prezesa Filipowicza, nie mówiąc już o wnioskach i interpelacjach, które sypie jak z rogu obfitości". Na jednej sesji interpelował, aby w związku ze wzrastającą drożyzną władze miasta dostarczały ubogiej ludności dotowane z miejskiej kasy produkty spożywcze. Na kolejnej proponował wypłacenie robotnikom trzynastej pensji i skrócenie ich czasu pracy (pracowali 16 godzin dziennie). Nikt już nie mógł się połapać w zgłaszanych przez niego wnioskach, które dotyczyły usprawnienia pracy rady i magistratu. Nie opuszczał Flomenbaum żadnego posiedzenia. Na każde przygotowywał długie płomienne przemówienia, po których gdy ktoś ripostował, wszczynał natychmiast awantury.

Wyczyny Flomenbauma odbijały się szerokim echem po mieście, przynosząc mu znaczną popularność. Gdy więc 11 grudnia 1927 roku odbyły się w Białymstoku wybory samorządowe, to Flomenbaum bez najmniejszych przeszkód wszedł do składu nowej rady i został ławnikiem, czyli członkiem zarządu miasta. Objął w nim kierownictwo wydziału finansowego. Mógł nareszcie rzucić się w wir pracy. W spokojnym dotąd wydziale z dnia na dzień zrobiło się gwarno i rojno. Przed oblicze miejskiego skarbnika chcieli dostać się wszyscy. Flomenbaum „komu nie mógł uczynić dobra namacalnego – pocieszał go dobrem słowem". Gdy magistraccy urzędnicy wysyłali do opornych płatników sekwestorów, to zdarzało się, że Flomenbaum unieważniał ich decyzje. Krążyła opinia, że do jego gabinetu można wejść wprost z ulicy i przedstawić swoją sprawę „w języku żydowskim, nawet nie zdejmując czapki".

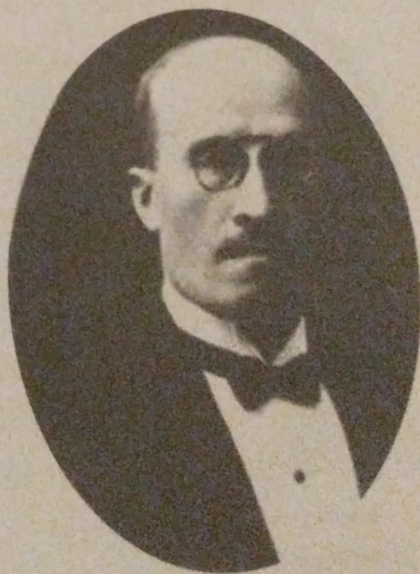
Ci, którzy mieli odrobinę wyobraźni i wiedzy na temat miejskich finansów, z trwogą przyglądali się poczynaniom ławnika-towarzysza, jak go złośliwie przezywano. Zastanawiano się, dlaczego niemający wcześniej nic wspólnego z finansami radny otrzymał tak odpowiedzialne stanowisko. Żartowano, że jest to spełnienie marzeń Flomenbauma, który w swej dobroci chciałby znieść różnice społeczne i ekonomiczne pomiędzy ludźmi. A ten jako jedyny skuteczny środek do urzeczywistnienia tego utopijnego planu wymyślił zniszczenie



Benjamin Flomenbaum, 1927 r.



Władysław Olszyński, 1927 r.



Roman Młyński, 1927 r.

[illegible] Drwiono z „mieszczańskiego" wyglądu Flomenbauma, który uważał, że urzędniczej powagi [illegible] nie będzie [illegible] ślad uśmiechu na marsowym licu. Zauważono jednak, że gdy sympatie światopoglądowe [illegible] są wyraźnie po lewej stronie, to w przypadku ko- biet [illegible] się [illegible] nie proletariuszkami. Konstatowano więc, że ma Flomenbaum serce burżuazyjne, a wygląd proletariacki. Co bardziej przewidujący twierdzili, że ściągnie on nieszczęście na Białystok.

Stało się to w sobotę 23 marca 1929 roku. Trwała kolejna sesja Rady Miejskiej. Na jej początku przemówił mecenas Władysław Olszyński. Był on zasłużonym działaczem niepodległościowym, znanym ze swych prawicowych poglądów i z ciętego, adwokackiego języka. Mecenas napomknął jedynie o sytuacji białostockich robotników. Natychmiast zareagował na to Flomenbaum: oskarżył Olszyńskiego o sympatie komunistyczne i stwierdził, że mecenas jest farbowanym lisem, bo przecież wiadomo, że był on redaktorem wydawanej w Mińsku komunistycznej gazetki. Tego było za wiele. Oburzony Olszyński rzucił się na ławnika. Za mecenasem, widząc, co się święci, ruszyli jego koledzy. Flomenbauma otoczyli natychmiast zwartym kołem jego poplecznicy. Szarżujący Olszyński, ku przerażeniu wszystkich, wyjął z kieszeni rewolwer, a w drugą rękę złapał kałamarz i natarł na wraże szyki. Flomenbaum w obronie złapał suszkę do dokumentów i wywijał nią niczym pałaszem. Ktoś w ostatnim momencie wyrwał mecenasowi broń. Ale przepychanki trwały dalej.

Przerażony przewodniczący rady, profesor Roman Młyński przerwał sesję. Awantura przeniosła się w kuluary. Szarpanina, epitety, groźby, ponowne wymachiwanie rewolwerami…

Po dłuższej przerwie wznowiono obrady. Przewodniczący oświadczył, że zajście miało charakter osobisty pomiędzy dwoma radnymi, przeto powołał sąd honorowy. Reprezentantem Olszyńskiego był Roman Wieczorek, Flomenbauma bronił działacz Polskiej Partii Socjalistycznej, S. Bialik, a superarbitrem został wiceprezes rady, doktor Zygmunt Siemaszko. Sąd stwierdził, że napaść Flomenbauma była obraźliwa i nieuzasadniona. Naruszała dobre imię Olszyńskiego. Mógł on wobec tego czuć się urażony, ale to, co zrobił, przerosło wszelką krytykę.

Na kolejnym posiedzeniu rady, 25 marca, Siemaszko odczytał protokół z posiedzenia sądu. Flomenbaum po jego wysłuchaniu złożył oświadczenie. „Przekonałem się, że pogłoski te były bezpodstawne i dlatego jako człowiek uczciwy nie uważam za wstyd przyznać się do tego. Odwołuję swoje zarzuty i p. mecenasa przepraszam". Olszyński przeprosin nie przyjął, ale i tak cała afera wkrótce rozeszła się po kościach.

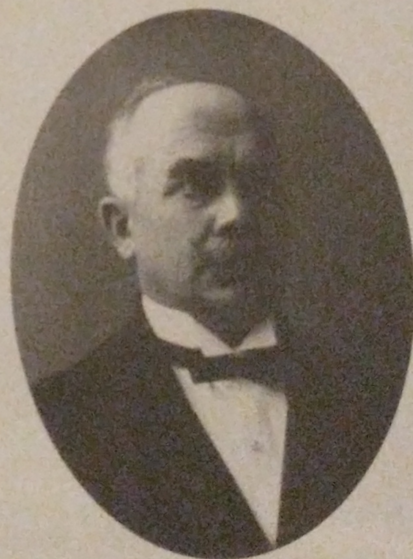
Rada Miejska drugiej kadencji nie podniosła się już z tego upadku. Brnęła w wewnętrzne, pseudopolityczne swary. 1 sierpnia 1932 roku wojewoda białostocki Marian Zyndram-Kościałkowski rozwiązał ją.



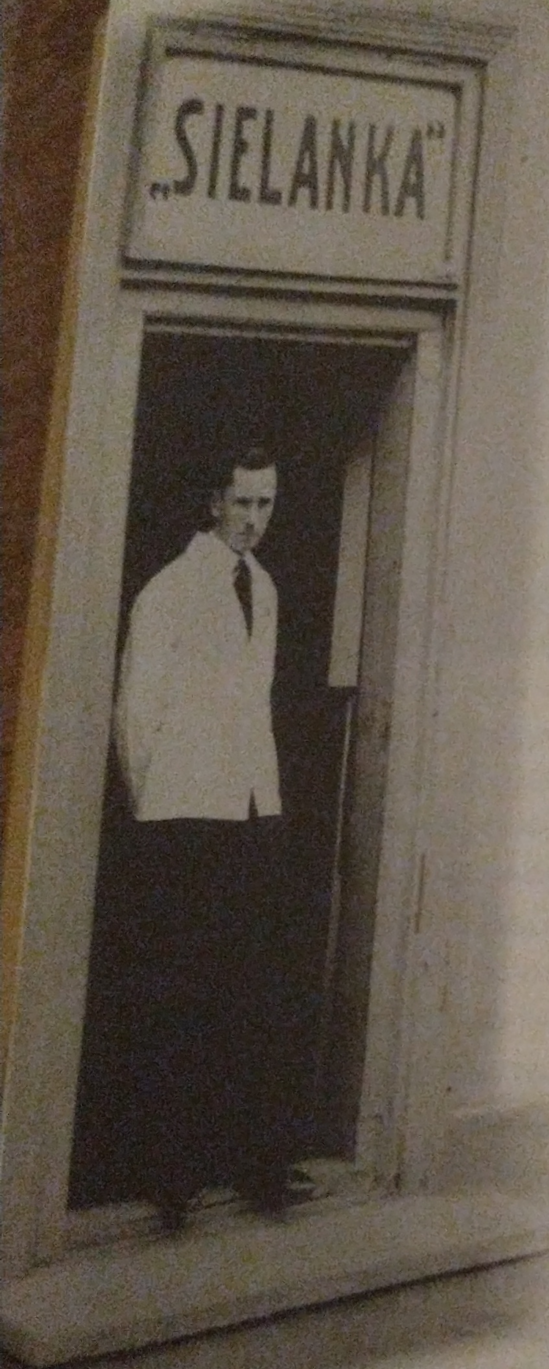
Zarząd chrześcijańskiego stowarzyszenia Praca, 1921 r.

Zdobycz Robotnicza

Zdobycz Robotnicza to wcale nie peerelowski relikt. Tak nazywała się spółdzielnia mieszkaniowa powstała w Warszawie w 1926 roku. Założyli ją członkowie Polskiej Partii Socjalistycznej. Głównym impulsem, który popchnął ich do działania w tym kierunku, był doskwierający wszystkim kryzys mieszkaniowy. Pomysł na wyjście z tej niezwykle ciężkiej sytuacji był bardzo prosty. Robotnicy, członkowie spółdzielni, mieli pracować codziennie o dwie godziny dłużej. Uzyskane w ten sposób dodatkowe zarobki miały być przeznaczone na spłatę kredytu zaciągniętego na budowę mieszkań. Zakładano, że po spłaceniu zadłużenia mieszkania te staną się własnością lokatorów.



Prezydent Białegostoku Bolesław Szymański, 1927 r.



W restauracji „Sielanka" przy ul. Kilińskiego 12 B. Zagłoba-Łozowiecki opowiadał o malwersacjach w Zdobyczy, 1936 r.

W ślad za Warszawą, pierwszy z całej Polski, ruszył Białystok. W czerwcu 1927 roku zaczęto organizować spółdzielnię opartą na tych samych zasadach. Inicjatorem tego zamysłu był prezydent Białegostoku Bolesław Szymański. Jego głównym współpracownikiem i podporą był inżynier Mieczysław Szpikowski, naczelnik magistrackiego wydziału technicznego. Ich zapleczem organizacyjnym było chrześcijańskie stowarzyszenie robotnicze Praca. W lipcu spółdzielnia liczyła już 400 członków, których nadal przybywało. 9 września 1927 roku władze Zdobyczy ukonstytuowały się. Bolesław Szymański został jej dyrektorem. 29 września na wydzierżawionym od województwa placu na Wygodzie, przy szosie do Zielonej uroczyście „położono cegłę" w pierwszym robotniczym domu. Zgodnie z tradycją nie zapomniano i o kamieniu węgielnym. Został on poświęcony 2 października. Tego doniosłego aktu dokonał sam arcybiskup wileński Romuald Jałbrzykowski. Uroczystość zaczęła się o 16.45. Na Wygodę zjechało wyborowe towarzystwo. Był minister komunikacji inżynier Paweł Romocki, wojewoda białostocki Marian Rembowski i inżynier Janusz Dzierżawski, projektant domów warszawskiej Zdobyczy Robotniczej. Przybyły też tłumy białostoczan. Pierwszy przemówił prezydent Szymański. Po krótkich słowach powitania rozpoczęły się modły pod przewodnictwem arcybiskupa. W ich kulminacyjnym momencie w poświęconych wcześniej fundamentach zamurowano akt erekcyjny. Następnie Jałbrzykowski zwrócił się z płomienną mową do zebranych. Nawoływał w niej do „uczciwej pracy nad podniesieniem dobrobytu materialnego i moralnego zarazem

robotników, przez budowanie czystych, schludnych, własnych mieszkań". Po nim równie pełne uniesienia mowy wygłosili minister i w imieniu „białostockiej siostrzycy", czyli spółdzielni warszawskiej, inżynier Dzierżawski.

Teraz można było już rozpocząć budowę. O fundusze na nią wystarał się prezydent Szymański. Spółdzielnia uzyskała pokaźne kredyty w Polskim Banku Komunalnym. Na początek zaplanowano budowę sześciu domów. Do grudnia 1927 roku w stanie surowym wybudowane zostały dwa. Zaczęto snuć dalsze, niezwykle ambitne plany. Mówiło się o 50 budynkach (!), w których znajdowałoby się 500 dwupokojowych mieszkań. Zarząd spółdzielni, aby obniżyć koszty budowy, a jednocześnie dać zatrudnienie swoim członkom, uruchomił własną stolarnię. Znajdowała się ona przy ulicy Artyleryjskiej. Rozpoczęto też starania o wydzierżawienie, a nawet zakup cegielni w Turczynie.

I wszystko szłoby znakomicie, gdyby nie zbliżające się wybory samorządowe. Od początku było wiadomo, że prezydent Szymański stoi w nich na przegranej pozycji. Pomimo to walka okazała się bezpardonowa. Jeden z pracowników Zdobyczy, Bolesław Zagłoba-Łozowiecki, zaczął rozpowiadać, jakie to malwersacje były dziełem władz spółdzielni. „Oburzał się bardzo na panujące w Zdobyczy porządki". Jego opowieści układały się w sensacyjny ciąg wydarzeń. Wobec tych pomówień Szymański i Szpikowski w specjalnym oświadczeniu powiadomili opinię publiczną, że podają sprawę „swego podwładnego do Urzędu Prokuratorskiego". Jednocześnie zwrócili się do Związku Rewizyjnego Spółdzielni Budowlano-Mieszkaniowych Rzeczypospolitej Polskiej, aby ta skontrolowała białostocką Zdobycz. Kontrola rozpoczęła się na początku stycznia 1928 roku. Nie wykazała jakichkolwiek nieprawidłowości. Wręcz przeciwnie. Kontrolerzy stwierdzili, że „spółdzielnia od września ub. r., a więc w ciągu krótkiego czasu wykonała bardzo dużą pracę, co świadczy, że władze spółdzielni stoją na wysokości zadania". Nie uspokoiło to Zagłoby-Łozowieckiego, który nie ustawał w wysiłkach, aby doszczętnie skompromitować swych dotychczasowych pracodawców. Wreszcie 25 kwietnia 1928 roku w białostockim sądzie okręgowym rozpoczął się długo oczekiwany proces. Z miejsca stał się sensacją. Było nie było, sądziły się elity Białegostoku.

Już od pierwszego dnia stało się jasne, że sprawa nie będzie prosta. Tytuły prasowe mówiły wszystko. *Zdobycz Robotnicza oskarża p. Zagłobę-Łozowieckiego*, *P. Zagłoba-Łozowiecki oskarża Zdobycz Robotniczą*. Zeznania Łozowieckiego były zaiste „sensacyjne i rzucające bardzo ujemne światło na działalność spółdzielni i jej dyrektora p. Bolesława Szymańskiego". Sąd wysłuchał, jak to za cegły płacono po 70, 75 zł, a nawet i po 81 zł, gdy tymczasem ich cena rynkowa nie przekraczała 60 zł. Podobnie było z cementem. Zdobycz kupowała „beczkę" za 24 zł, podczas gdy można było nabyć ją za około 20 zł. Według Zagłoby przepłacano na wszystkim. Na papie, drewnie, gwoździach. Twierdził, że na budowie „kradziono na okrągło. Chaos był nie do opisania". Na domiar wszystkiego nie prowadzono książeczek z wykazami godzin pracy robotników, członków spółdzielni. To powodowało, że ci czuli się oszukiwani.

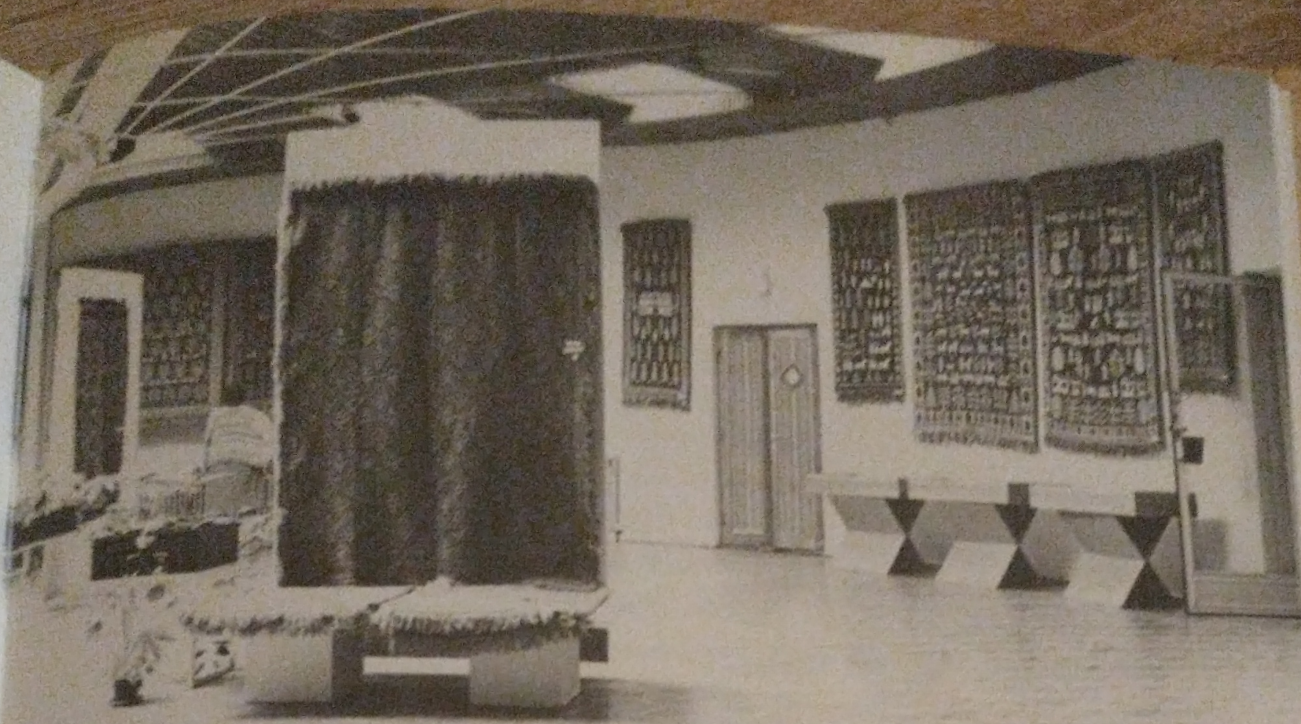
Widząc to wszystko, Łozowiecki pewnego dnia oświadczył Szymańskiemu, że chce odejść z pracy. W efekcie tej rozmowy został po pięciu dniach zwolniony dyscyplinarnie za „prowadzenie różnych pogawędek z robotnikami i ich buntowanie". Oburzony Łozowiecki uniósł się honorem i na odchodnym oświadczył, że „jest piłsudczykiem i już dlatego buntować robotników nie może". Wnet o tym zajściu wiedział cały Białystok, bowiem podekscytowany Zagłoba udał się do popularnej restauracji Sielanka przy ulicy Kilińskiego. Tu w obecności licznych znajomych, ale też i przypadkowych słuchaczy, uniesionym głosem perorował o znanych mu złodziejstwach i malwersacjach.

Przed sądem po stronie byłego prezydenta w charakterze świadków stawili się między innymi inżynier Szpikowski i kilku byłych radnych. Wszyscy powoływali się na wyniki korzystnej dla nich kontroli. Opowiadali o wielkim zaangażowaniu Szymańskiego i niebywałym warcholstwie Zagłoby. Nie zmieniło to jednak faktu, że opinia publiczna wzięła w tym sporze stronę Łozowieckiego. „Szymańszczyzna" była w wyraźnym odwrocie. Jak na zawołanie wyciągano wszelkie grzeszki rządzącego Białymstokiem od 1919 roku duetu Szymański–Filipowicz. Oskarżano ich o nieuzasadnione zadłużanie miasta, o rozgrzebane inwestycje, a nawet o arogancję. Nie oszczędzono i następcy Szymańskiego, pułkownika Michała Ostrowskiego. Wytknięto mu, że on także próbuje załatwiać w Zdobyczy jakieś pokrętne miejskie interesy. Wystarczyło, że magistrat zlecił spółdzielczej stolarni wykonanie 200 szkolnych ławek. Natychmiast podniosły się głosy zdziwienia, dlaczego zamiast budować kolejne domy, Zdobycz zajmuje się produkcją mebli. Drwiono, że może więc przyjąć i „inne obstalunki, na przykład reperację starych butów".

Proces trwał długo. Finał sprawy rozegrał się dopiero w 1933 roku przed warszawskim sądem okręgowym. Udzielający kredytów białostockiej Zdobyczy Bank Gospodarstwa Krajowego zażądał zwrotu kosztów niezrealizowanej inwestycji. Sąd nakazał zarządowi spółdzielni, w tym i Szymańskiemu, oddanie ogromnej sumy blisko 93 tys. zł.

Niedobre wieści dochodziły też i od warszawskiej „siostrzycy". Ta zdołała na Bielanach wybudować 27 domów, po czym zaczęło jej grozić bankructwo, a w 1931 roku stało się faktem.

W Białymstoku pozostał po tej sprawie niesmak, wielkie nadzieje i wzniesione zaledwie dwa budynki na Wygodzie.

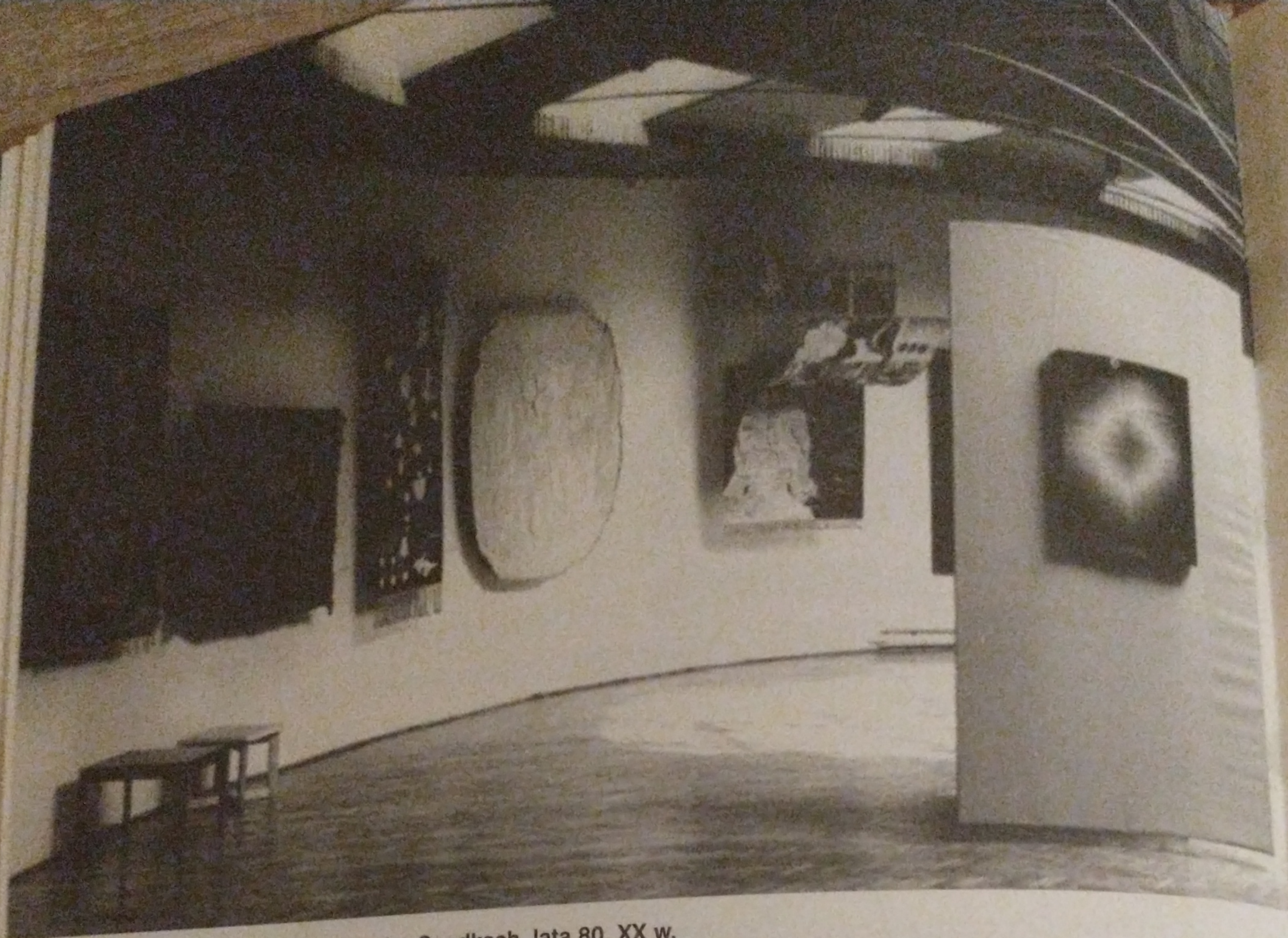


Wystawa tkaniny ludowej w Spodkach, lata 80. XX w.

Białostockie tempo

W 1973 roku w Białymstoku zaplanowano Dożynki Centralne. Było to wydarzenie nie byle jakie, bo przyjeżdżał na nie sam I sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR), Edward Gierek, znany ze swoich „gospodarskich wizyt". Tam, gdzie wizytował, wszystko musiało lśnić. Na jego przybycie postanowiono więc odpowiednio przygotować miasto.

A wszystko zaczęło się od ambitnego I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Zdzisława Kurowskiego, protegowanego Gierka. Gdy przyjechał do Białegostoku w 1971 roku zastał miasto zapyziałe i aby przypodobać się protektorowi, postanowił to zmienić. Z jego inicjatywy rozpoczął się niespotykany boom inwestycyjny, nazwany białostockim przyspieszeniem, którego ukoronowaniem miały być właśnie Dożynki Centralne. A na ich przygotowanie miasto nie miało wiele czasu. Dokazano jednak cudów. Im bliżej uroczystości, tym częściej w prasie pojawiały się krótkie komunikaty w rodzaju: „Białystok intensywnie przygotowuje się do zbliżających się Centralnych Dożynek. Porządkowane są place i ulice, wiele budynków otrzymało efektowne elewacje". I rzeczywiście. Fasady śródmiejskich kamienic pokryły efektowne sgraffita, budowano stadion, asfaltowano ulice, którymi sekretarz ze świtą mógłby



Wystawa tkaniny artystycznej w Spodkach, lata 80. XX w.

jechać. Starano się dbać o najmniejsze szczegóły. Ale wiadomo, że to w nich tkwi diabeł. Tak było z wystawami sklepowymi. Otóż okazało się, że wydział handlu Miejskiej Rady Narodowej „nie skoordynował prac dekoracyjnych wystaw sklepowych". O zgrozo „instytucjom i zakładom zostawiono wolną rękę". Szybka interwencja zakończyła tę samowolę.

Uwagę białostoczan przyciągały charakterystyczne pawilony. Z racji ich kształtu nazwali je latającymi talerzami, co miało nawiązywać do UFO. „Gazeta Białostocka" opatrywała je obco brzmiącymi w Białymstoku określeniami. „Bar-bistro przy ul. Dąbrowskiego, aperitif-bar przy al. 1 Maja, bar kawowy przy ul. Akademickiej (w pobliżu Rozgłośni Polskiego Radia), cocktail-bar przy ul. Akademickiej (róg ul. Krasińskiego)". To był wyraźny zgrzyt. Dożynki i aperitif czy bistro. Gazeta ogłosiła więc konkurs na nazwę pawilonów. Na zwycięzców czekały w jej mniemaniu niezwykle cenne nagrody: cztery samowary, dwa torty i trzy karty wstępu dla dwóch osób „na imprezę rozrywkową w kawiarni Kolorowa". Już w pierwszych dniach do redakcji wpłynęło kilkaset propozycji i jak komentowano, żadna z nich się nie powtarzała.

Największe zainteresowanie budziły jednak pawilony przy ulicy Dąbrowskiego. Ten wyśmienity projekt inżyniera architekta Henryka Toczydłowskiego zachwycił wszystkich. W swojej futurystycznej formie nawiązywały do rotundy pobliskiego kościoła św. Rocha,

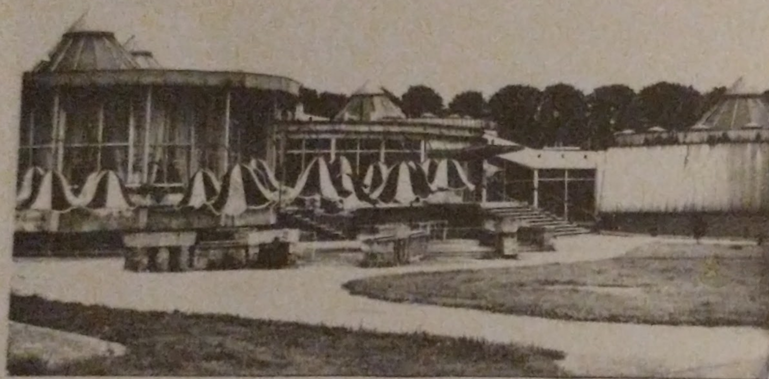
a jednocześnie zostały świetnie wkomponowane w jego najbliższe otoczenie. Nic więc dziwnego, że prasa skupiała się na doniesieniach właśnie z tego placu budowy. Nawiązywano do lat 50. XX wieku. Opisywano „białostockie tempo latających talerzy". Redaktor swoją relację okrasił wspomnieniem, że „w latach mojej młodości wraz z innymi zachwycałem się warszawskim tempem. Ba, śpiewałem o nim piosenki. Obecne dożynkowe, białostockie tempo bije jednak na głowę tamto z lat pięćdziesiątych. I nawet nikt o nim nie zanuci. Cóż, czasy się zmieniają". Reporterzy opisywali, że pracowało tam „całe mrowie ludzi". Niezwykły w ich opinii był styl pracy, „prawdziwy podziw budziła celowość i wzorowa organizacja niemal każdego ruchu" wśród robotników. A budowali Spodki oprócz pracowników Przedsiębiorstwa Robót Budowlanych Gospodarki Komunalnej także żołnierze i więźniowie z białostockiego zakładu karnego.



Pamiątkowe karty pocztowe z Dożynek Centralnych w Białymstoku







Spodki, lata 70. XX w.

Oprócz nich zatrudniono wielu podwykonawców, z których najważniejszym były zakłady konstrukcji stalowych w Starosielcach. To białostockie tempo podkreślano w cyfrach. Przewidywany cykl budowy z planowanych 18 skrócono do 4 miesięcy.

Jeszcze na zewnątrz trwały prace budowlane, a już w jednym ze Spodków ceniony i szanowany przez wszystkich artysta Aleksander Wels przygotowywał wystawę miejscowego środowiska plastycznego. Postanowiono już bowiem, że Spodki zostaną siedzibą Biura Wystaw Artystycznych. Na rozpoczynające się 1 września dożynki biuro przygotowywało aż pięć wystaw. Pokazywano więc rzeźbę z popularnych Międzynarodowych Plenerów w Hajnówce, były unikatowe meble, tkanina artystyczna, malarstwo z pleneru w Nowogrodzie, no i wspomniana wystawa białostocka. Wszystkie ekspozycje udostępniono zwiedzającym w dniu otwarcia dożynek, ale dopiero 5 września nastąpiło oficjalne otwarcie nowej siedziby biura. Pozostała jeszcze nierozstrzygnięta kwestia bistro, zajmującego jeden ze Spodków. Jego wnętrze zwracało uwagę niezwykłym wystrojem. Zachwycała fontanna umiejscowiona w centrum sali. Oryginalne szklane, podświetlane stoliki mogły niejednemu kojarzyć się też z kosmicznymi formami.

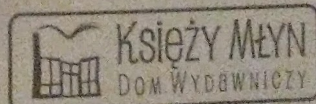
7 września rozstrzygnięto konkurs na nazwy wszystkich białostockich latających talerzy. Wygrały Ruczaj, Przepióreczka i Kasztelanka. Największe zainteresowanie czytelników wzbudzały jednak Spodki. Uczestnicy konkursu proponowali, aby bar nazwać którymś ze znaków zodiaku, gwiazd lub planet. Uwagę jury zwróciły kosmiczne propozycje: Sputniki, Kosmodromy, Mołnie, Skylaby. Proponowano też nazwy związane z umiejscowieniem Spodków: Rocho, Pod Skarpą, Pod Wiaduktem, a nawet Bar Kolejarz. Przez dawne sentymenty jeden z czytelników zaproponował Ritza, a inny pewnie warszawski bywalec, chciał mieć w Białymstoku Adrię. Całkiem abstrakcyjny był pomysł, aby na małą czarną wpaść do Bangladeszu. Jury wybrało Elidę. Gazeta przyklaskiwała tej propozycji. „Elida bowiem, to historyczna kraina w starożytnej Grecji, w której odbywały się Igrzyska Olimpijskie”. Z przestrogą jednak dodawano, „oby nowy lokal był oazą spokoju i wypoczynku, bo rywalizacja na polu sztuki też będzie – w sąsiednich salonach wystawowych”.

Dożynki wypadły doskonale. Ojcem sukcesu słusznie okrzyknięto Zdzisława Kurowskiego. Białystok dzięki jego inicjatywie i możliwościom zmienił się diametralnie. Sami białostoczanie przecierali oczy ze zdumienia. Spodki były niemalże symbolem tej metamorfozy. Przez następne lata Elida uchodziła za modne miejsce spotkań. Dodatkowo w piwnicach pawilonów ulokowało się Akademickie Centrum Kultury Sepularium. Stanowiło doskonałe uzupełnienie statecznej kultury prezentowanej w wystawowych salach. Ale nadchodziły już chude lata. Najpierw z Białegostoku wyjechał Kurowski. Kultura i gastronomia w latach 80. miały się też nie najlepiej. Ale białostoczanie dobrze pamiętali o dożynkowym przyspieszeniu. Gdy w 2000 roku ogłoszono plebiscyt na 100 najwybitniejszych białostoczan, ku zaskoczeniu organizatorów, ale też i samego zainteresowanego znalazł się on na 21. miejscu, wyprzedzając o sześć miejsc ojca przyspieszenia z lat 30., wojewodę białostockiego Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego.

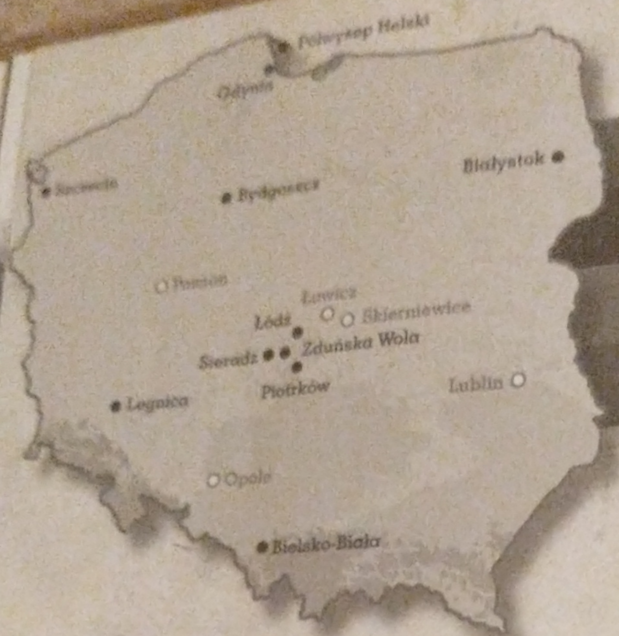
Za lekturę tej książki

Dziękujemy

Polecamy się na przyszłość



Książki dla ludzi ciekawych



POZNAJ SEKRETY POLSKICH MIAST









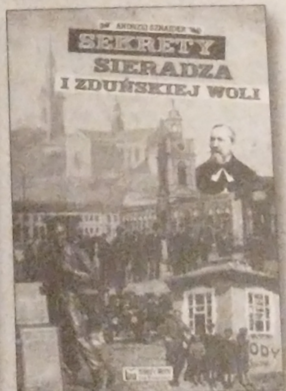








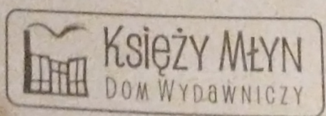












Książki dla ludzi ciekawych



**BESTSELLEROWA
SERIA KSIĘŻEGO MŁYNA**

KSIĘŻY MŁYN
DOM WYDAWNICZY

Książki dla ludzi ciekawych

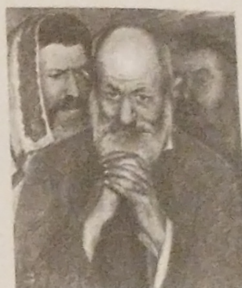
poleca:

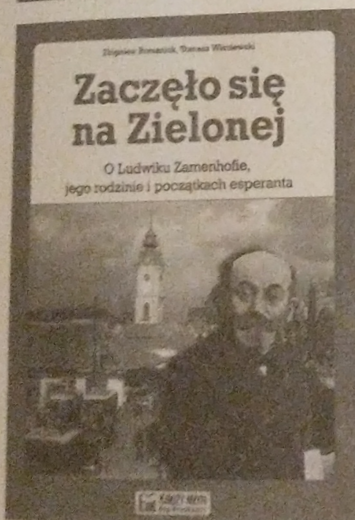




Nawracanie Żydów na ziemiach polskich

Misja Barbikańska w Białymstoku










km

Białostockie ulice i domy skrywają wiele tajemnic. Krew w żyłach mroziły takie historie, jak choćby noworoczna herbatka u generała Stelnickiego zakończona trzema trupami. Życie dawnych białostoczan nie było przecież łatwe. Zgodnie z przepisami musieli poruszać się tylko prawą stroną chodników. Ba! Uważać nawet na fryzjerów dmuchających im... w szyje. Z pomocą spieszyli na szczęście wynalazcy. Bo to właśnie tu wymyślono aparat umożliwiający chodzenie po wodzie czy cudowną tabletkę kojącą nerwy...

Opowieści Andrzeja Lechowskiego odkrywają wielkie miłości, zdrady, kradzieże i pospolite przestępstwa. Zdradzają sekrety przybytków zwanych „pluskwiarniami" i eleganckiego hotelu – legendy Białegostoku – Ritza. A wszystko to ilustrują liczne fotografie z epoki.





Książkę polecają:



kurier Poranny

Polskie Radio Białystok



ISBN 978-83-7729-325-6





Księży Młyn Dom Wydawniczy

Książki dla ludzi ciekawych



www.km.com.pl www.facebook/ksiezymlyn Infolinia 604 600 800 gg 4147954